

# Ścieżki pamięci

PUBLIKACJA UKAZUJE SIĘ POD PATRONATEM  
PREZYDENTÓW MIAST PARTNERSKICH

**Izrael**



**Rishon LeZion**  
*Meir Nitzan*

**Polska**



**Lublin**  
*Andrzej Pruszkowski*

**Książkę wydano dzięki życzliwości i pomocy finansowej**

**Urzędu Miejskiego w Lublinie**

**Miasta Rishon LeZion**

**Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie**

**Komitetu Lubelskiego w Izraelu**

**Krokus Trading Company Czesław Caryk – Pająków**

**Fundacji Dominikańskiej „Ponad Granicami”**

**KTS Lublin**

**Lubelskiego Ośrodka Informacji Turystycznej**

**Idea Media Lublin**

**Wydawnictwa Tekst Bydgoszcz**

**Muzeum Lubelskiego w Lublinie**

**Muzeum Historii Miasta Lublina**

**Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Lublinie**

**Kawiarni „Szeroka 28” w Lublinie**

# Ścieżki pamięci

ŻYDOWSKIE MIASTO W LUBLINIE – LOSY, MIEJSCA, HISTORIA

POD REDAKCJĄ

JERZEGO JACKA BOJARSKIEGO

Norbertinum

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Izraelskiej w Lublinie

Stowarzyszenie Środkowoeuropejskie „Dziedzictwo i Współczesność”

Lublin - Rishon LeZion  
2001

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

**Opracowanie redakcyjne:** Janina Hunek

**Opracowanie graficzne:** Agnieszka Muchowska

**Projekt okładki i stron tytułowych:** Jerzy Jacek Bojarski

**Na okładce:**

Zdjęcie z wydarzenia artystycznego „Jedna ziemia – dwie świątynie”, fot. Andrzej Borowiec.  
Makieta nieistniejącego Żydowskiego Miasta w Lublinie znajdująca się  
w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”, fot. Iwona Burdzanowska

**Autorzy zdjęć:**

Andrzej Borowiec, Jan Bulhak, Iwona Burdzanowska, Feliks Kaczanowski, Stefan Kielsznia,  
Paweł Królikowski, Marta Kubiszyn, Piotr Maciuk, Stanisław Magierski, Andrzej Misztal,  
A. Stepanoff, Stanisław Turski, W. Ziółkowski.

**ISBN 83-7222-095-6**

**Dwieście dziewięćdziesiąty piąty tytuł *Norbertinum***

***Norbertinum Sp. z o.o.***

WYDAWNICTWO-DRUKARNIA-KSIEGARNIA  
ul. Księżycowa 15 20-060 Lublin tel./fax (0-81) 533-38-95  
e-mail: [norbertinum@norbertinum.com.pl](mailto:norbertinum@norbertinum.com.pl)  
<http://www.norbertinum.com.pl>

**Druk:**

Drukarnia Petit, Lublin

# SPIS TREŚCI

<b>Wstęp</b>	<b>7</b>	Ewa Czerwińska <i>Cisza niebieskich łąk</i> ..... 78	
Monika Adamczyk-Garbowska <i>Wyrywać z zapomnienia</i> ..... 9		Mosze Handelsman <i>Z Lublina, Wieniawy... fotografie pamięci</i> ..... 81	
Jerzy Jacek Bojarski <i>Owoce spotkań</i> ..... 13		Ichhak Carmi <i>Powrót do przeszłości</i> ..... 87	
<b>Losy</b>	<b>17</b>	Aleksander Szryft <i>Lublin, jaki pamiętam</i> ..... 91	
Irena Gewerc-Gottlieb <i>Mój Lublin szczęśliwy i nieszczęśliwy</i> ..... 19		<b>Miejsca</b>	<b>101</b>
Helena Ziemia <i>W getcie i kryjówe w Lublinie</i> ..... 27		Władysław Panas <i>Brama</i> ..... 103	
Regina Winograd <i>Na Lublin patrzę oczami trzynastoletniej dziewczynki</i> ..... 37		Beata Pleskaczyńska <i>„Szeroka 28” – smak przeszłości</i> ..... 110	
Barbara Odnous <i>Strażnik cmentarza</i> ..... 52		Barbara Odnous <i>Powrót drugiego miasta</i> ..... 113	
Ewa Czerwińska <i>Kołysanka dla Cyrli</i> ..... 58		<i>Miasto w skali 1:250</i> ..... 118	
Bazyli Chmielewski <i>Wierzyłem, że się uda</i> ..... 61		Jerzy Jacek Bojarski <i>Siedem dni w Izraelu</i> ..... 124	
Marian Milsztajn <i>Wspomnienia</i> ..... 63		Jerzy Jacek Bojarski <i>Rishon LeZion – współpraca i kontakty</i> ..... 128	
Mosze Opatowski <i>Zapamiętajcie, co przeżyłem</i> ..... 73		Grzegorz Józefczuk <i>List do przyszłości: „Jedna ziemia – dwie świątynie”</i> ..... 131	

Ewa Czerwińska <i>Uratowany za pięć dwunasta</i> .....	147	Tadeusz Radzik <i>Zagłada ludności żydowskiej Lublina w latach II wojny światowej</i> .....	206
Tomasz Kranz <i>Majdanek – pomnik i miejsce pamięci</i> .....	153	Barbara Odnous <i>Z czterdziestu tysięcy – nikt!</i> .....	216
<b>Historia</b>	<b>159</b>	<b>Refleksje</b>	<b>219</b>
Robert Kuwałek <i>Ludność żydowska w Lublinie</i> .....	161	Abp Józef Życiński <i>Wspólnota cierpienia i modlitwy</i> .....	221
Konrad Zieliński <i>O świeckim życiu kulturalnym Żydów lubelskich</i> .....	166	Rabin Michael Schudrich <i>Chodząc ulicami Lublina</i> .....	223
Renata Bartnik <i>Zapomniani artyści</i> .....	176	Meir Nitzan <i>Pamięć – pomostem do przyszłości</i> .....	224
Robert Kuwałek <i>Żydowskie ślady</i> .....	179	Andrzej Pruszkowski <i>Ścieżkami pamięci ku przyszłości</i> .....	226
Tomasz Czajkowski <i>To był prawdziwy dom</i> .....	202	<b>Szlak Żydów Lubelskich</b>	<b>229</b>
		<b>Lublin's Jewish Heritage Trail</b>	<b>251</b>
		<b>Strażnicy Pamięci</b>	<b>263</b>

# Wstęp

*Na świecie, wszędzie poza Lublinem, wrzało. Co dzień polskie gazety zamieszczały wiadomości o wojnie, rewolucji lub o kryzysie. Wszędzie wypędzano Żydów ze wsi. Wielu emigrowało do Ameryki. Ale tu, w Lublinie, odczuwało się tylko stabilność z dawna istniejącej społeczności. Niektóre synagogi zbudowano jeszcze za czasów Chmielnickiego. Na cmentarzu leżeli rabi- ni, jak również autorzy komentarzy, praw- nicy i święci, a każdy miał własny nagrobek lub kapliczkę. Panowały tu dawne obyčza- je: kobiety zajmowały się interesami, mę- czyźni studiowali Torę.*

(Isaac Bashevis Singer:  
*Sztukmistrz z Lublina*)



Przedwojenne zdjęcie lotnicze placu Łokietka i Bramy Krakowskiej, Magistratu, wylotów ulic: Królewskiej, Nowej (część Lubartowskiej), Krakowskiego Przedmieścia, Koziej. Widoczny fragment Starego Miasta. Ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Lublina, dalej MHML.



## WYRWAĆ Z ZAPOMNIENIA

Przez całe wieki Lublin stanowił ważne centrum w życiu polskich Żydów. Tutaj corocznie w latach rozkwitu Rzeczypospolitej zbierał się Waad Arba Aracot, czyli Sejm Czterech Ziem, zwany popularnie żydowskim sejmem, którego początek stanowił sąd rabinacki odbywający posiedzenia na lubelskich jarmarkach. W okresie swojej świetności miasto było nierzadko nazywane „żydowskim Oxfordem” ze względu na wysoki poziom nauczania w tutejszej jesziwie, a także imponujący poziom edytorski miejscowych drukarni wydających święte księgi. Nic więc dziwnego, że Lublin pojawia się tak często w utworach Isaaca Bashevisa Singera (1904-1991), zarówno w powieściach, opowiadaniach, jak i jego twórczości dla dzieci.

Singerowskie opisy Lublina nie są tak dokładne pod względem topograficznym jak jego opisy Warszawy, przy okazji których ciągle padają nazwy ulic i placów, a nawet numery domów. Trudno się temu dziwić. W Lublinie nigdy pisarz nie mieszkał, natomiast w Warszawie spędził większą część dzieciństwa i młodości i znał tam niemal każdą ulicę i dom w dzielnicy żydowskiej. Zważywszy jednak znaczenie Lublina w historii i tradycji żydowskiej, często osadza tutaj akcję swoich utworów. To właśnie do Lublina wraca sztukmistrz – Jasza Mazur po próbach podboju wielkiego świata. Lublin, bowiem, to miejsce spoczynku rabinów i świętych, miasto stosunkowo bezpieczne i głęboko związane z losem Żydów polskich, gdzie dawne obyczaje wytrzymują próbę czasu.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pod wpływem przypadkowego zetknięcia z twórczością Isaaca Bashevisa Singera zaczęłam zgłębiać żydowską przeszłość rodzinnego miasta. Pisarz był wtedy objęty cenzurą, podobnie jak większość tematów żydowskich – dość powiedzieć, że antologia poezji żydowskiej przygotowana przez Salomona Łastika i Arnolda Śluckiego w 1967 roku dla PIW czekała na

wydanie piętnaście lat. Kiedy w 1977 roku zaniósłam przekład jednego z opowiadań Singera do lubelskiej „Kamery”, redaktor działu literackiego oznajmił z przekąsem: „Wie pani, co? Dobre, ale trefne”.

Trefne oczywiście dla ówczesnej cenzury. Niedługo potem Singer otrzymał Nagrodę Nobla, co sprawiło, że część jego twórczości uległa odblokowaniu; później na fali „Solidarności” temat żydowski pojawił się w ramach gorączkowego uzupełniania białych plam, dając początek swego rodzaju modzie „na Żydów”, ale upłynęło wiele lat zanim ślady żydowskiej przeszłości Lublina zaczęły docierać do szerszej świadomości mieszkańców miasta.

Na przedwojennym planie Wielkiego M. Lublina z 1931 roku w spisie ważniejszych obiektów bez trudu znajdziemy szpital żydowski przy Lubartowskiej, trzy bóżnice (na Jatecznej, Leszczyńskiego i Bychawskiej), Bank Morajne na Kapucyńskiej czy „Wyzszą Uczelnię Duchowną Żydowską”, jak określono tam Jeszywas Chachmej Lublin. To do tego Lublina przyjechał w latach dwudziestych z Niemiec pisarz Alfred Döblin odbywając swoją podróż po Polsce. Zapamiętał Lublin jako zaniedbany i prowincjonalny, ale żywy i gwarny:

*Długo toczę się po nie oświetlonych ulicach, potem nagle robi się jasno. Wjeżdżam na ulicę ciasno wypełnioną ludźmi. I słyszę coś, co mnie już nie opuści przez wszystkie te dni w Lublinie: śmiech, gwar, dźwięczny śmiech na ulicy. Dolatuje od gromadnie przebadzających się ludzi, mężczyzn. W Wilnie nie widziałem takich tłumów. To dziwne. Jedzie się wiele mil przez piachy, głuchy step, bagna i nagle, te miasta takie oddzielne, nagle ten śmiech (Alfred Döblin: *Podróż po Polsce*, Kraków 2000, s. 139).*

Sześćdziesiąt lat później polska dziennikarka, Małgorzata Niezabitowska, rusza niejako śladami Döblina. W numerze „Więzi” z kwietnia 1983 roku pojawił

się jej reportaż poświęcony Żydom lubelskim, którego fragment zamieszczono następnie w angielskojęzycznym albumie *The Last Jews* (wydanie polskie pt. *Ostatni* 1993 r.) Lublin początku lat osiemdziesiątych, oglądany oczami reporterki, która przyjechała tu, aby przekonać się, co pozostało z „żydowskiego Oxfordu”, to ponure, wymarłe miasto. *Krążę długo szukając śladów – starych czy odnowionych – dawnego rucbliwego i barwnego, śmiesznego i tragicznego świata. Na próżno (Przymiarza do tematu, s. 34).* Warto dodać, że w relacji tej aż roi się od ingerencji cenzury.

W reportażu Niezabitowskiej Marian Adler, ówczesny prezes Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów, wspomina:

*Jeszcze do sześćdziesiątego ósmego w naszym klubie było pełno. Mieliliśmy kawiarnię, zespół młodzieżowy, taki big-beat, wieczorki taneczne. Młodzi wyjechali wszyscy. Zostało trochę starszych... Instrumenty muzyczne oddaliśmy do domu dziecka. Odbywają się odczyty, niekiedy jakiś aktor przyjedzie... Zajmujemy się pomocą dla chorych i samotnych. Ot i wszystko (s. 32).*

Po wojnie zdziesiątkowana społeczność żydowska Polski podjęła próbę wskrzeszenia tragicznie okaleczonej egzystencji, stąd jeszcze do późnych lat sześćdziesiątych istniały także w Lublinie przejawy zorganizowanego życia, o jakich mowa wyżej. Rok 1968 jest nierzadko w potocznej świadomości bagatelizowany pod względem szkód, jakich dokonał. A przecież był to ostatni cios. Gdyby nie ówczesna nagonka antysemita może istniałby jeszcze w mieście minjan, może aby uczyć się języka jidysz, nie trzeba by jeździć teraz na kursy do brytyjskiego Oxfordu. Cisza, jaka objęła wtedy tematy żydowskie, dzwoni z ówczesnie wydawanych przewodników. O ile jeszcze w przewodniku po Lublinie z wczesnych lat sześćdziesiątych spotykamy trochę informacji na temat bytności Żydów w mieście, o tyle w dziesięć lat później wzmianki są zdawkowe, a nawet – zapewne w sposób niezamierzony – dwuznaczne, kiedy czytamy, że dekret Augusta II „zakazał w mieście handlu i szynkowania trunkami oraz polecił Żydom usunięcie się z miasta. Realizacja tego dekretu napotykała jednak na trudności”. Na „trudności” nie napotkano natomiast zacierając ślady po zburzonej w 1943 roku przez

Niemców dawnej dzielnicy żydowskiej na obecnym placu Zamkowym „w ramach robót porządkowych zrealizowanych w 1954 r. na X-lecie PKWN.” Po roku 1968 nie dokończono rozpoczętego w 1965 roku porządkowania cmentarza żydowskiego przy ul. Walecznych – widocznym śladem są pozostawione bezimiennie tabliczki na grobach.

Pod koniec lat osiemdziesiątych następuje trochę zmian na lepsze, np. od 1989 roku działa w Lublinie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Izraelskiej dając początek wskrzeszaniu pamięci. Proces ten nabiera tempa w ostatnich latach dzięki działalności Teatru NN. Centrum Brama Grodzka w obecnym kształcie to jedno z najciekawszych miejsc w mieście, gdzie z dumą można przyprowadzić gości, miejsce, gdzie wieje wielkim światem, dlatego że jego pracownicy potrafią dbać o małe światy. Porównując więc sytuację z lat siedemdziesiątych do obecnej, kiedy w Lublinie działa kilka stowarzyszeń zajmujących się kulturą żydowską, w nowym przewodniku poświęcono sporo miejsca zabytkom i ważniejszym postaciom żydowskiego życia, a niedawno otwarto dobrze oznakowaną trasę żydowską dla turystów, należy się oczywiście cieszyć. Nie zmienia to jednak faktu, że inicjatywy te, które mogły, być może, zachęcić młodych ludzi do pozostania, przyszły za późno. To, że nie jest to cecha właściwa jedynie Lublinowi, ale dotyczy ogólnej atmosfery panującej w Polsce w tamtych latach, nie zmienia istoty rzeczy.

Nechama Tec, profesor socjologii z University of Connecticut w USA napisała książkę o swoim dzieciństwie zatytułowaną *Dry Tears (Suche łzy)*. Większa jej część dotyczy okresu okupacji, opowiada o ukrywaniu się, walce o przetrwanie. Ale jeden z rozdziałów poświęcony jest Lublinowi, jej rodzinemu miastu, sprzed wojny. Autorka szczegółowo opisuje bliskich, ulice, mieszkanie przy Pijarskiej. Choć pochodziła z zamożnej i niezbyt ortodoksyjnej rodziny, a w domu, gdzie mieszkała z siostrą i rodzicami większość lokatorów stanowili chrześcijanie, uzmysławia sobie z perspektywy czasu jak ograniczone były jej kontakty ze światem chrześcijańskim. Książka kończy się, gdy autorka po wstrząsających przeżyciach wraca na jakiś czas do Lublina i widzi, jak bardzo zmieniło się jej miasto:

*Wciśnięta w kąć ciężarówki, pogrążona byłam w smutku. Wokół mnie rozciągał się Lublin. Moje miasto. Słyszałam je. Czulałam jego zapachy. Ale ani jego odgłosy, ani zapachy nie były znajome. Czulałam się obco. Czy to miasto, które znalazłam? Nie chciałam patrzeć w obawie, że to, co zobaczę potwierdzi moje wątpliwości. W zamian więc zamknęłam oczy* (Nechama Tec: *Dry Tears*, Westport 1982, s. 216).

Urodzony w Lublinie Symcha Wajs doznawał podobnych odczuć, kiedykolwiek przyjeżdżał do miasta. Nie mógł odnaleźć dawnych ulic:

*Powstały nowe, piękniejsze może?... i choć nie są mi obce, tęsknię za tamtymi. Nie spotykam już tych, którzy tu żyli, chodzili do szkoły, do pracy, na spacer, do domów modlitwy. Przechodzę ulicą Nową i nie spotykam ani jednego Żyda. Nie ma ich również na Lubartowskiej, Kowalskiej, Ruskiej, Kalinowszczyźnie, Czwartku czy Furmańskiej. Ani starych, ani młodych. Po prostu nie ma już śladu po żydowskim Lublinie* (Symcha Wajs: *Żydzi lubelscy*, Lublin 1996, s. 97).

Nie miałam możliwości poznać przedwojennego Lublina, nie mogę więc uzurpować sobie prawa do dzielenia uczuć człowieka, który był z nim głęboko związany i który później wiele zrobił dla miasta (to m.in. dzięki panu Wajsovi w drugiej połowie lat osiemdziesiątych wmurowano w Lublinie tablice upamiętniające ważniejsze żydowskie obiekty). Jednak w miarę poznawania przeszłości coraz bardziej zdaję sobie sprawę ze sztucznego niejako charakteru miasta w jego obecnym kształcie (zresztą dotyczy to nie tylko Lublina, ale wielu miast i miasteczek Lubelszczyzny, gdzie przed wojną ludność żydowska stanowiła znaczną część mieszkańców). Uczucie to, obudzone początkowo na pewno lekturą utworów Singera i innych pisarzy tworzących w jidysz, potęgują wizyty w krajach, gdzie istnieją duże społeczności żydowskie żyjące dalej w diasporze. Widząc Żydów śpieszących do synagogi w szabas w Bostonie czy Nowym Jorku nie mogę oprzeć się smutnej refleksji, że przecież podobnie mogłoby być dzisiaj w Lublinie. I nie jest to bynajmniej łzawa nostalgia za chasydzkim światem rodem z Mea Szearim, ortodoksyjnej dzielnicy Jerozolimy, lecz raczej świadomość niewyobrażalnego zniszczenia, jakiego

dokonano, i poczucie, że to co przyjmujemy za normalne jest w istocie dalekie od normalności.

Lepiej można pojąć słowa Symchy Wajsa o ludziach, których nie można już spotkać, kiedy przeczytamy fragment z autobiograficznej powieści żydowskiego pisarza Jakuba Głatsztejna (1896-1971) opisujący spacer po Lublinie u progu pierwszej wojny światowej:

*Moi koledzy i ja chodzimy po ulicach Lublina z głowami uniesionymi wysoko jak bobaterowie „Nowizny” Hamsuna... Wokół nas kwitnie życie gojów – jedno polskie, a drugie rosyjskie, jedni z drugimi na noże – i życie żydowskie, wiele żydowskich istnień, oddzielonych od siebie jak kasty, od żydowskich pariasów po żydowskich arystokratów jeżdżących bryczkami zaprzęgniętymi w narowiste konie. Wokół nas roi się od krawców, szewców, blacharzy, papierosiarzy, murarzy, robotników z cegielni i z cukrowni, garbarzy, ślusarzy, melamedów, nosiwodów, panien służących, pończoszarek, rękawiczników, szwaczek, grajków, perukarzy, magnatów, dajanów i rabonim.* (Jakub Głatsztejn: *Podróże Jasia*, „Akcent” 1998, nr 4, s. 105-106).

Piszący te słowa mając osiemnaście lat wyjechał z Lublina do Nowego Jorku, aby powrócić tu dopiero na jakiś czas po dwóch dziesięcioleciach. Wizyta ta znalazła silne odzwierciedlenie w autobiograficznych powieściach *Wen Jasz iz geforn* (*Gdy Jasz pojechał*) i *Wen Jasz iz gekumen* (*Gdy Jasz powrócił*), w których można znaleźć dokładniejsze pod względem topograficznym – niż u Singera – opisy miasta. O jego silnych związkach z Lublinem świadczy też fakt, że wydanemu pod koniec życia zbiorowi poezji nadał tytuł *Żyd z Lublina*. W najnowszym elektronicznym wydaniu *Encyclopaedia Britannica* po napisaniu hasła „Lublin” wyskakuje nam natychmiast obszerna nota dotycząca Głatsztejna, podczas gdy w polskich źródłach bardzo trudno natknąć jakiegokolwiek informację.

Lublin dawno przestał tętnić żydowskim życiem i rozbrzmiewać jidysz, językiem codziennego bytowania, i hebrajskim, świętym językiem modlitwy. Dlatego symboliczne niemal znaczenie miało przemówienie wygłoszone we współczesnym języku hebrajskim przez Meira Nitzana, mera Rishon LeZion, miasta partnerskiego Lublina, w czasie zorganizowanego przez Teatr

NN wydarzenia „Jedna ziemia – dwie świątynie” w ramach Kongresu Kultury Chrześcijańskiej we wrześniu 2000 roku. W przemówieniu tym, zamieszczonym zresztą w tej książce, znajdujemy ciepłe, przyjazne słowa wyrażające chęć dalszej współpracy. Miejmy więc nadzieję, że coraz więcej Żydów o polskich i nie tylko polskich korzeniach będzie przyjeżdżać do Lublina, aby przemierzać ścieżki pamięci prowadzące nie wyłącznie do miejsc zagłady, ale także tych dających świadectwo dawnego bujnego życia.

\* \* \*

Książka ta powstała dzięki zapałowi i samozaparcu lubelskiego radnego Jerzego Jacka Bojarskiego, któremu udało się zarazić swoim entuzjazmem wielu ludzi i wykorzystać potencjał już istniejący w mieście, wprowadzając tym samym w życie inicjatywę zgłaszaną już wcześniej przez kilka środowisk, m.in. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Izraelskiej.

Choć w Lublinie wydano dotąd sporo książek poświęconych kulturze i historii Żydów, głównie o charakterze naukowym oraz wspomnieniowym, ta ma inny charakter – łączy bowiem w sobie relacje lublinian z żydowskiego i chrześcijańskiego środowiska, teksty naukowców i dziennikarzy, opatrzona jest też bogatą ikonografią. Stanowi wielogłos, dzięki któremu te same fragmenty rzeczywistości możemy poznać ze wspomnień konkretnych ludzi, zobaczyć je z punktu widzenia historyka i literaturoznawcy, obejrzeć na fotografii. Czytając te teksty, jedne rzeczowe, niemal suche, zawierające za to mnóstwo cennych informacji, inne o silnym ładunku emocjonalnym, budzące głębokie wzruszenie, zadajmy sobie pytanie co można zrobić, aby zainteresowanie kulturą żydowską w Lublinie nie ograniczało się do nostalgicznych trawestacji *Sztukmistrza* i powierzchownej fascynacji Widzącym. Otóż do zrobienia jest bardzo wiele: choćby odremontowanie domu modlitwy przy ulicy Lubartowskiej, zadbanie o stary cmentarz żydowski, wprowadzenie w lokalnych muzeach stałych ekspozycji poświęconych kulturze i historii Żydów, wzbogacenie programów szkolnych i uniwersyteckich o tematykę żydowską, wydanie utworów pisarzy związanych z Lublinem, zwłaszcza Głatsztejna, ale także wspomnianej wyżej Nechamy Tec

i Zofii Grzesiak, która wprawdzie nie pochodzi z Lublina, ale tutaj napisała większość swojej prozy, i wreszcie uświadomienie mieszkańcom i władzom, że jeśli Gmina Żydowska w Warszawie reprezentująca mikrospołeczność lubelskich Żydów czyni starania, aby odzyskać część żydowskiego mienia w Lublinie, czy uzyskać przynajmniej częściową finansową rekompensatę, to nie dlatego, że Żydzi chcą coś „zabrać”, bo trudno zabierać własność, która się prawnie należy. Gdyby choć jeden z tych budynków wrócił do spadkobierców lub reprezentujących prawowitych właścicieli organizacji czy instytucji, albo też gdyby za pieniądze uzyskane na drodze odszkodowania można było postawić skromne Centrum Kultury Żydowskiej lub wielkie muzeum poświęcone pamięci lubelskich Żydów, świadczyłoby to o tym, że miastu zależy nie tylko na duchach.

Majer Bałaban w przedmowie do swojej książki o Żydowskim Mieście w Lublinie, sygnowanej 3 marca 1918, czyli w ostatnim roku pierwszej wojny światowej, pisał:

*Książka ta chce tych ludzi [pokolenia Żydów mieszkających w Lublinie] wyrwać z zapomnienia, chce być drogowskazem do getta przeszłości i getta teraźniejszości. Być może obecna krwawa wojna zburzy mury ostatnich gett, a wówczas przyszłe pokolenia będą się mogły z książki tej dowiedzieć, jak żyli i cierpieli w zamierzczłej przeszłości ich przodkowie* (Majer Bałaban: *Żydowskie miasto w Lublinie*, Lublin 1991, s. 8).

Wybitny historyk żydowski używał oczywiście pojęcia „getto” w innym sensie niż ten, jakiego nabrało ono w czasie drugiej wojny światowej za sprawą nazistów. Nie mógł wiedzieć, że w Lublinie na terenie dzielnicy żydowskiej powstanie getto innego, złowrogiego rodzaju i że zostanie ono po zgładzeniu mieszkańców zburzone, ale nie po to by łączyć, lecz zatrzeć ostatnie ślady o „ludziach, którzy w tym mieście żyli i działali, głosili Słowo Boże, leczyli choroby, uczyli dzieci, kochali żydostwo i za nie cierpieli”. Co jednak zachowało aktualność w słowach Bałabana to potrzeba „wyrwania z zapomnienia” i przekazu dla „przyszłych pokoleń”. Niech ta książka choć w skromnym stopniu spełnia tę rolę.

Jerzy Jacek Bojarski

## OWOCE SPOTKAŃ

Jest 1999 rok. W piękny majowy dzień w ratuszu lubelskim władze miasta przyjmują delegację miasta partnerskiego Rishon LeZion z Izraela. Chciałem tu być i oto jestem. Tak się zaczyna historia moich spotkań – jako radnego Rady Miejskiej – z Żydami. Obecny jest burmistrz Rishon LeZion Meir Nitzan ze swoją asystentką Riną Shiponi – dyrektorką Wydziału Współpracy Zagranicznej oraz dziennikarz z radia FM 91 Gideon Lev Ari. Świetnie mówi po polsku, mimo że wychował się w Izraelu. To dzięki swojej matce, która zachowała sentyment do Polski – kultury, języka. Zwracam uwagę na Mosze Handelsmana – rodowitego lublinianina, który przybył, by odwiedzić swoje rodzinne miasto, razem z córką i wnuczką.

W naszym mieście społeczność żydowska jest nieliczna. Jeszcze tylko niektóre zabytki są świadkami kilkusetletniej obecności Żydów w Lublinie. Kirkut: groby i macewy Szaloma Szachny, Szłomo Lurii zwanego Maharszalem, Jakuba Icchaaka Horowica – Widzącego z Lublina. Jeszywas Chachmej Lublin – Uczelnia Mędrców Lublina na Lubarrowskiej, której pierwszym rektorem był Majer Szapira, i Majdanek - miejsce naznaczone piętnem okrucieństwa. Odszedł tamten świat. Powiało smutkiem. I wtedy przypomniałem sobie opowieść o *Smutku i grzechu* i stosunek do tych pojęć Widzącego z Lublina:

*Pewien chasyd żalił się rabbiemu Lewiemu Icchakowi z Lublina, że dręczą go nieczyste myśli i popadł w wielki smutek.*

*„Strzeż się przede wszystkim smutku – rzekł mu na to rabbi – on jest gorszy i bardziej szkodliwy od grzechu. To, co zły duch zamierza, kiedy podsycza zachcianki człowieka, nie polega na skłonieniu go do grzechu, lecz uczynieniu tak, by popadł w smutek” (Daniel Lifschitz: Z mądrości chasydów).*

Tego samego dnia w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” miało miejsce otwarcie wystawy z markietą nieistniejącego Żydowskiego Miasta, której program budowy, w ramach podpisanej między naszymi miastami umowy o współpracy, wspomógł burmistrz Meir Nitzan. To przy oglądaniu tej markiety parę miesięcy później znakomity historyk profesor Jerzy Kłoczowski powie do jej pomysłodawców: *Mogłyby tu przyjeżdżać też wycieczki z Izraela. To jest wielkie nieszczęście, że ludzie, którzy przyjeżdżają z Izraela, oglądają tylko martylogię. A u was można zobaczyć życie tego dwukulturowego, polsko-żydowskiego miasta do 1939 roku.* Później w Trybunale Koronnym ma miejsce wręczenie pięciu Polakom przez konsula izraelskiego Michała Sobelmana medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. We wszystkich uroczystościach biorą udział miejscowi Żydzi. Goście z Izraela odwiedzają także bóżnicę Chewra Nosim przy Lubartowskiej 10 (obecnie także Izba Pamięci Żydów Lubelskich). Udziela mi się atmosfera tego dnia: również chciałbym coś uratować dla pamięci obu narodów, obu miast siostrzanych. Chciałbym dać odpowiedź na pytanie, co wypełniało puste dziś przestrzenie i place wokół zamku. Kto tu mieszkał? Przeciętny mieszkaniec Lublina mało wie na ten temat. Zaprzagnąłem oddać głos ocalonym – niech opowiedzą o naszym mieście, a także tym, którym udało się ocalić „choć jedno życie” i mają swoje drzewko w Yad Vashem.

Pobył w Ziemi Obiecanej w lutym 2000 roku w mieście braterskim Rishon LeZion sprawił, że postanowiłem zebrać okrucieństwa historii. Poznałem tam wielu ludzi – rodowitych lublinian oraz innych, z Ziomek Lubelskiego – między innymi Aleksandra Szryfta i Icchaka Carmi. Ten ostatni zarzekł się, że już nigdy do Lublina nie przyjedzie, ale jed-

nak przyjechał, po raz pierwszy od przeszło sześćdziesięciu lat, i to wraz z wnukiem Nave. Towarzyszyłem im między innymi przy oglądaniu rodzinnego domu na rogu ulic Unickiej i Lubartowskiej. Icchak był bardzo wzruszony. Nie żałował, że odwiedził swój Lublin.

Wsluchajmy się w głos ludzi, którzy tworzą historię obu narodów, także miast siostrzanych, i zachowali w pamięci Żydowskie Miasto w Lublinie. Przejdźmy ich śladami przez te – choć zawile, to dla nielicznych jednak cudowne, bo przynoszące ocalenie – ścieżki.

Nam, mieszkańcom Lublina, nie wolno zapomnieć, że tu na Wieniawie, Podzamczu, Kalinowszczyźnie i Piaskach żyła wielka społeczność żydowska ze swoją kulturą, religią i obyczajami. Wprawdzie nie ma już ulic Szerokiej, Krawieckiej czy Jatecznej, ale naszym obowiązkiem jest przypominać Żydowskie Miasto. Utrwalił je dla nas na przedwojennych fotografiach Stefan Kielsznia. Dzięki niemu udamy się do miejsc Lublina, które żyją jedynie w pamięci niemłodych już jego mieszkańców. Spójrzmy przez chwilę na domy, zmiecione przez historię z powierzchni ziemi i poznajmy życie w zaułkach istniejących już tylko w innym wymiarze.

Brama to symbol dwóch światów i miejsce spotkań. Nazywana Grodzką, ale też Żydowską, dziś spełnia rolę miejsca magicznego. Przekracza się ją jak próg nadziei. W historii była granicą, która dzieliła dwa światy: chrześcijański i żydowski. Dzisiaj jest przestrzenią szczególnego braterstwa. Tutaj unosi się duch Mędrców z Lublina, którzy patronują wszelkim poczynaniom i działalności Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” (nomen nescio – imię nieznanne). To niezwykle miejsce wciąga w swoją orbitę, jak soczewka rozproszone światło, rozmaite osobowości, reprezentujące różne nacje i kultury, pasje życiowe i poszukiwania. Brama jest dzisiaj dla nas szansą na to, iż ze starego pnia pamięci wyrosną nowe oliwki nadziei. To nie przez przypadek restauracja obok nosi nazwę Szeroka 28, gdyż pod tym numerem mieszkał wielki cadyk Widzący z Lublina. Tutaj można posłuchać muzyki klezmerskiej, zanurzyć się w atmosferę żydowskiego sztetu.

Wydarzenie artystyczne: „Jedna ziemia – dwie świątynie” z 16 września 2000 roku przywróciło z wielką mocą w sposób symboliczny pamięć o narodzie żydowskim, który żył w symbiozie, choć nie bez problemów, ze społeczeństwem polskim. Uczestnikami wydarzenia byli ludzie, którzy przeżyli zagładę i dali światu poruszające do głębi świadectwo z tamtych strasznych lat. Po raz kolejny Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” z dyrektorem Tomaszem Pietrasiewiczem na czele stworzył fantastyczny projekt. W przedsięwzięcie zaangażowane było przeszło dwa tysiące młodzieży ze szkół średnich, młodzież żydowska z Warszawy oraz zaproszona z miasta partnerskiego Rishon LeZion. Także wielotysięczne zgromadzenie mieszkańców Lublina podkreśliło solidarność z uratowanymi Dziećmi Holocaustu i było wyrazem szczególnej wdzięczności dla tych Polaków, którzy chronili – z narażeniem swojego – życie Żydów. Obecność arcybiskupa Józefa Życińskiego i rabina Michaela Schudricha oraz prezydentów miast siostrzanych Meira Nitzana i Andrzeja Pruszkowskiego podkreślała więź dwóch narodów i rangę niezwykłego wydarzenia.

To swoiste przywołanie pamięci sprzyja także budowaniu pojednania i zbliżenia się dwóch światów: żydowskiego i polskiego. Dwie ścieżki pamięci, żydowskiej i polskiej, miały swoją dramaturgię zarówno w historii, jak i tego wrześniowego wieczoru. Wymowny był symbol pobrania ziemi z miejsca nieistniejącej Wielkiej Synagogi – Maharszalszul i z terenu nieistniejącego kościoła farnego pod wezwaniem świętego Michała, a potem podawania jej z rąk do rąk na przemian po stronie żydowskiej i polskiej. Na końcu właśnie w Bramie Grodzkiej przekazano ziemię księdzu Romualdowi Jakubowi Weksler-Waszkinelowi. Ten „wymieszany człowiek”, urodzony z matki Żydówki, a wychowany przez matkę Polkę, o swoim pochodzeniu dowiedział się w 35 roku życia, będąc księdzem katolickim. W swojej książce *Błogosławiony Bóg Izraela pisze: w lipcowy dzień 1992 roku, wtulony w fotel samolotu lecącego do Izraela, powtarzałem w myślach, przed paroma zaledwie miesiącami*

*odnalezione, nazwisko moich rodziców oraz ich imiona; powtarzałem moje nazwisko zagubione w wojennej zawierusze. Wreszcie powróciło – w 49 roku mojego życia; a raczej to ja, niczym oderwany w czasie wichury liść, niesiony niepojętymi drogami Opatrzności, wracałem poniekąd do ocalałych „szczątków drzewa”. Dane mi jeszcze było ucałować dłonie siostry i brata mego ojca, Jakuba Wekslera”. To właśnie ksiądz miesza ziemię i podaje młodej Polce Milenie Migut z Lublina i młodemu Żydowi Nave Carmi z Rishon LeZion. To oni sadzą dwa krzewy winorośli: jeden z Polski, drugi przy-*

wieziony z Izraela. Ten gest potwierdza, że Brama Grodzka jest miejscem spotkań i nadziei na dziś i jutro.

Teatr NN niedawno odwiedziła 120-osobowa grupa młodzieży z Izraela. Cieszy fakt, że oprócz Majdanka poznali również fragment szlaku upamiętniającego „Ślady Żydów lubelskich”. Mam cichą nadzieję, że takie wizyty będą częstsze i stworzą nową, bardzo dobrą tradycję, z pożytkiem dla obu narodów i miast partnerskich: Rishon LeZion i Lublina. To są nasze owoce spotkań. Trzeba je pielęgnować.

# Losy

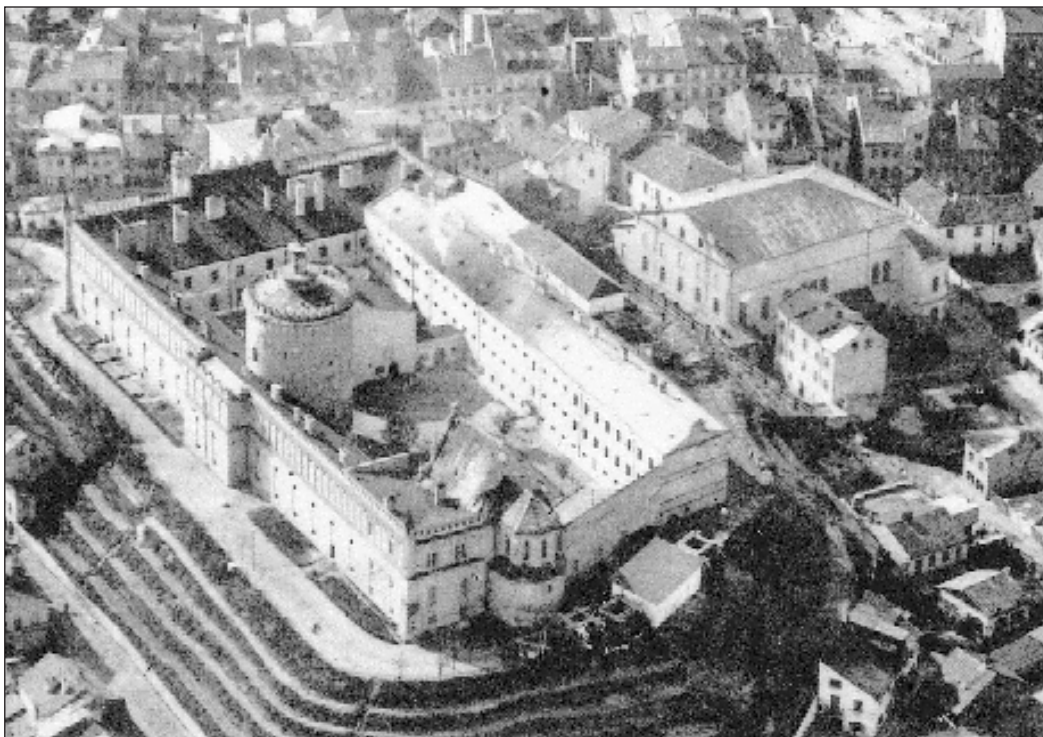
## ***bracia***

*krw Ablę wsiąkła w ołtarz  
głowę Szczepana roztrzaskał kamień  
John utonął w mulistej wodzie ryżowiska  
nieznanego Wietnamczyka spalił napalm  
Joban zamarł na przedmieściach  
Stalingradu  
Wanię przywały mury Reichstagu  
Staska rozerwała mina pod Monte Cassino  
Antonia zwłoki rozwlokły po pustyni biony  
François poległ w lesie  
Moszka spalili na Majdanku  
Abłu*

## ***gdzie jest twój brat dzisiaj***

(Wacław Oszejca: ...Ty za blisko,  
my za daleko...)





Przedwojenne zdjęcie lotnicze z widokiem na zamek i Wielką Synagogę. Ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie.

Irena Gewerc-Gottlieb

## MÓJ LUBLIN SZCZĘŚLIWY I NIESZCZĘŚLIWY

Jestem wzruszona, widząc Lublin. Chodzę po mieście i oglądam wszystko oczami duszy. Myślę, że moja rodzina, to znaczy mąż, córka widzą to inaczej. Córka widzi niezaplanowane miasto, biedną, zdewastowaną Starówkę. Jest to coś zupełnie innego niż w Izraelu, gdzie wszystko jest zaplanowane, nowoczesne i przede wszystkim zadbane. Serce mi się ścisnęło, gdy przechodziłam koło hotelu „Europa” na Krakowskim Przedmieściu. Ja pamiętam ten hotel sprzed wojny. To było bardzo eleganckie miejsce. Tam przychodziły panie w futrach. Przed hotelem stali inwalidzi, ale nie żebracy. Pracowali jako posłańcy, którzy obsługiwali gości, na przykład nosili listy miłosne do pań od panów, którzy mieszkali w hotelu, a w mieście mieli swoje miłosne przygody.

Pamiętam, jak do Lublina przed wojną przyjeżdżała wybitna aktorka żydowska z Warszawy, Ester Rachel Kamińska. Na dworcu kolejowym w Lublinie już czekali na nią żydowscy studenci, którzy zaprzęgli się zamiast koni do jej dorożki i tak wieźli ją do „Europy”, gdzie się zazwyczaj zatrzymywała.

Pamiętam Lublin szczęśliwy. Teraz, stojąc przed własnym domem, odczuwam wielki ból. Żyłam tam razem z rodzicami i rodzeństwem, byłam tam szczęśliwa. Obecnie ulica Noworybna jest inna i ludzie też mieszkają tam już inni. Boli mnie, że nie mogę odnaleźć mojej przedwojennej dzielnicy żydowskiej, a to, co po niej pozostało, jest w strasznym stanie. To wrażenie jest bardzo mocne.

### DZIADKOWIE

Mój dziadek od strony ojca Benjamin Gewerc był chasydem, zwolennikiem cadyka z Bełżyc i cho-

dził do jego domu modlitwy w Lublinie, tzw. sztibl. Był człowiekiem zamożnym. Przed I wojną światową miał fabrykę mosiądzu i skład żelaza na ul. Furmańskiej. Mimo iż miał ośmioro dzieci, w jego domu nie odczuwano problemów finansowych, a warto dodać, że każde z jego dzieci otrzymało wykształcenie. Dwóch wujków było adwokatami, ciotki studiowały na uniwersytecie. Rodzina biedy nie cierpiała. Mieszkali w pięciopokojowym mieszkaniu, a babka, pochodząca z Warszawy, pracowała w sklepie dziadka. Mieszkali w domu Borensztajna, znanym przed wojną budynku, położonym na rogu Furmańskiej i Cyruliczej, gdzie dawniej były dwa przejścia, na obydwie ulice. Obecnie można tam wejść tylko od Cyruliczej.

Dziadek, jako chasyd, wcale nie był zadowolony z tego, że jego dzieci mają świeckie wykształcenie, ale to był wpływ mojej babci, osoby nowoczesnej, warszawianki, która nie mogąc sama się kształcić, pragnęła dać wykształcenie swoim dzieciom. Mój ojciec, wujkowie i ciotki, kontakt z żydowską tradycją i religią utrzymywali wyłącznie ze względu na dziadka. Na przykład mój wujek potrafił w największy post żydowski, w Jom Kipur (Sądny Dzień), pójść rano do bóżnicy, a potem, po południu siedział ze swoją polską przyjaciółką w kawiarni.

Rodzice mojej mamy, Aspisowie, mieszkali na Grodzkiej. Dziadek Aspis, do połowy lat dwudziestych miał duży skład win na rogu Kowalskiej i Nowej, ale w 1924 roku zbankrutował, gdy poddawał wszystkie długi wierzycielom. Był pobożny, ale nie był chasydem, zresztą nie bardzo ich lubił. Chodził do ogólnej synagogi – był ortodoksem, misnagdem. Każde z jego dzieci miało swoje przekonania polityczne, podobnie, jak u dziadków Gewerców. Mój ojciec był zwolennikiem Żabotyńskiego i całego ru-

**Irena Gottlieb**  
z domu Gewerc,  
rodowita lublinianka,  
pochodząca ze znanej  
przed wojną rodziny  
kupców metalowych  
w Lublinie, mieszka od  
1949 roku w Izraelu.  
Od kilku lat piastuje  
funkcję sekretarza  
tamtejszego Ziomko-  
stwa Lubelskiego, które  
skupia byłych  
mieszkańców Lublina  
bądź ich dzieci  
i wnuki. W sobotę  
23 lipca 1994 roku  
przybyła do Lublina  
uraz z mężem  
Eugenem i córką  
Hagit. Była to podróż  
sentymentalna,  
głównie ze względu na  
córkę, której pani  
Irena chciała pokazać  
miasto swojego  
dzieciństwa. Pani  
Irena zmarła  
w sierpniu 1999 roku.



Róg ulicy Kowalskiej i Lubartowskiej. Fot. Stefan Kielsznia.

chu Betar. Żyjąca do dzisiaj w Izraelu moja ciocia należała do żydowskiego lewicującego harcerstwa – Haszomer Hacair, którego członkowie popierali lewicowy syjonizm. Gdy dowiedział się o tym dziadek, był na nią wściekły. W 1935 roku uciekła z domu wbrew woli dziadka, biorąc fikcyjny ślub z człowiekiem, który miał zezwolenie na wyjazd do Palestyny. Pozostała z nim do końca życia, ale dziadek nie chciał już o niej słyszeć. Również ojciec nigdy jej tego nie wybaczył. Kontakt utrzymywała tylko z matką i rodzeństwem.

Brat mojej mamy, Eliasz Aspis, był w latach 30-tych znanym kasjerem w Elektrowni Miejskiej.

#### DOM RODZINNY I SZKOŁA

Moi rodzice byli młodzi i nowoczesni. Mieszkaliśmy w domu Kolberga na Noworybnej, a ojciec, który był ekspedientem w firmie dziadka, założył własny interes na ulicy 1 Maja. Był to również skład żelaza, nazywający się „Żelazo-Łom”. Utrzymywaliśmy się z tego na dobrym poziomie, to znaczy, mieliśmy własną służącą, a na wakacje jeździliśmy do popularnego w tym czasie jako letnisko Nowego Dworu koło Lubartowa. Ojciec dojeżdżał tam do nas na soboty i niedziele.

W domu utrzymywało się raczej tradycję żydowską. Była kosztowna kuchnia, w piątek palili się świece, ale ojciec nie był specjalnie religijnym człowiekiem. Ze względu na dziadka chodził w sobotę do bóżnicy, ale zaraz potem biegał po urzędach załatwiać różne sprawy, czego nigdy nie zrobiłby dziadek. W domu zawsze mówiło się po polsku. Ja, dopóki nie przyjechałam do Izraela, nie znałam jidysz, a i teraz rzadko się nim posługuję, bo w domu mówimy po hebrajsku. Mieliśmy polską literaturę, ale były również żydowskie śpiewniki z ludowymi piosenkami Gebirtiga i Kirpisa, ponieważ moja mama bardzo lubiła i umiała pięknie śpiewać po żydowsku. Zresztą życie kulturalne odgrywało u nas bardzo dużą rolę. W soboty wieczorem moi rodzice chodzili do teatru lub do kina.

Miałam dwoje rodzeństwa. Ja byłam najstarsza, potem był mój brat Kubuś, który w 1939 roku



Ulica Lubartowska 13.  
Fot. Stefan Kielsznia.



Ulica Lubartowska 15.  
Fot. Stefan Kielsznia.

Ulica Lubartowska 15.  
Fot. Stefan Kielsznia.



Ulica Lubartowska –  
Nowy Plac Targowy  
zdjęcie z okresu między-  
wojennego. Ze zbiorów  
Ośrodka „Brama Grodzka –  
Teatr NN” w Lublinie.  
Fot. Stefan Kielsznia.





Ulica Lubartowska,  
most na Czechówce.  
Fot. Stefan Kielsznia.

chodził do syjonistycznej szkoły Tarbut na Niecałej, gdzie uczono częściowo po hebrajsku, i najmłodsza siostra, Rachelka, w momencie wybuchu wojny mająca pięć lat. Naukę rozpoczęła dopiero w getcie.

Czytać umiałam już w wieku czterech lat. Rok później rodzice zdecydowali, że powinnam pójść do szkoły. Zdałam specjalny egzamin i rozpoczęłam naukę w żeńskiej szkole powszechnej Beth Jakow na Lubartowskiej. To, że trafiłam do tej szkoły, a nie polskiej, państwowej, też nastąpiło ze względu na dziadka. Szkoła była praktycznie polskojęzyczna, ale z większym nastawieniem na religię żydowską. Uczono tu także języka żydowskiego i nauka nie odbywała się w soboty. Dlatego też nie miałam specjalnie kontaktu z polskimi dziewczętami. Nie miałam polskich koleżanek również na podwórku, bo kamienica, w której mieszkaliśmy z rodzicami na Noworybnej, była żydowska, podobnie jak dom dziadków Aspisów na Grodz-

kiej, gdzie często się bawiłam. Za to mój ojciec miał wielu przyjaciół Polaków i to bardzo nam się przydało w czasie wojny.

Po skończeniu w 1939 roku szkoły powszechnej trafiłam do żydowskiego Gimnazjum Humanistycznego na Niecałej, ale niedługo się tam uczyłam, bo Niemcy zaraz na początku okupacji zamknęli wszystkie żydowskie szkoły.

## OKUPACJA I GETTO

W 1939 roku wkroczyli do Lublina Niemcy. Dla Żydów zaczęły się tragiczne dni. Po zamknięciu Gimnazjum siedziałam beczynnym w domu przez kilka miesięcy. Na ulicach było niebezpiecznie. Hitlerowcy urządzali łapanki na Żydów, wywożąc ich do obozów pracy. W 1941 roku miałam 14 lat i byłam wyrośnięta, jak na swój wiek, a ponieważ w tym czasie Niemcy polowali na dziewczęta żydowskie, zabierając je do upokarzającej pracy przy

myciu podłóg w instytucjach niemieckich, więc musiałam unikać częstych spacerów po ulicach.

W marcu 1940 roku zmarła moja mama. Umarła w Szpitalu Żydowskim na Lubartowskiej na skutek wydawałoby się niewinnej choroby brzucha, która ze względu na panującą w szpitalu nędzę okazała się przypadkiem beznadziejnym.

W 1941 roku, 21 marca Niemcy ogłosili, że w Lublinie będzie getto. Wyrzucono nas z domu na Noworybnej i przeniesliśmy się do dziadków Gewerców na Cyruliczą.

Początkowo było to getto otwarte, można było z niego wychodzić do miasta. W zasadzie nie było jako takiego oficjalnego getta – była Żydowska Dzielnica Mieszkaniowa w Lublinie. Nam nie wolno było mieszkać w mieście. W 1941 roku getto było nadal otwarte. Nie było żadnych drutów, ani murów, ale nie wolno było Żydom przechodzić na lewą stronę ulicy Lubartowskiej.

W getcie byli ludzie bardzo bogaci i bardzo biedni. W naszym domu nie było głodu. Żyliśmy tak jak przedtem. Mieszkała z nami kobieta wysiedlona z Łodzi, która pracowała u nas, prowadziła nam kuchnię. Jednak w getcie ogólnie panowała nędza, tyfus. Ludzie umierali z głodu. Dzieci żebrały, tyle tylko, że może trupy nie leżały na ulicy, tak jak w Warszawie. W getcie była również policja żydowska, składająca się z bardzo różnych ludzi – jedni wysługiwali się Niemcom, inni byli łagodniejsi – myśleli, że uratują rodziny i siebie. Pamiętam doskonale Szamę Grajera, pamiętają go wszyscy, którzy przeżyli getto w Lublinie. To był szantażysta, przyjaciel gestapowców. Przed wojną również nieciekawa postać. Policjanci chodzili po getcie z pałkami, uczestniczyli w łapaniach. Mieli swojego szefa. Funkcjonował również Judenrat. Jego prezesem był najpierw inżynier Henryk Bekkier, a potem adwokat Marek Alten.

W getcie istniała także żydowska szkoła. Mieściła się ona w naszym mieszkaniu na Cyruliczaj. Prowadził ją znany lubelski nauczyciel, Nachman Korn. W ciągu dwóch lat zdążyliśmy zrobić cztery klasy. Szkoła działała chyba aż do wysiedlenia.

*Szama Grajer był głównym konfidentem gestapo w lubelskim getcie, a jego restauracja pełniła miejsce punktu kontaktowego dla hitlerowców.*

## WYSIEDLENIE

Tego dnia trwała właśnie lekcja Korna, gdy na ulicy Nadstawnej Niemcy zaczęli gonić ludzi. Nazajutrz walili już w drzwi mieszkania mojej babci. Uciekliśmy, tak jak staliśmy, na Grodzką do dziadków Aspisów. Tam ukrywaliśmy się przez kilka dni. W tym czasie Niemcy wywozili lubelskich Żydów do Bełżca. Mój ojciec pracował. Był oficjalnie zatrudniony u Niemca Kremina, komisarza, który przejął nasz zakład. To był bardzo dobry człowiek. Wiele nam pomógł. Dzięki tej pracy ojciec posiadał J-Ausweis (żydowski dokument uprawniający do pozostania w getcie i chroniący tymczasowo przed deportacją – przyp. red.). Takie J-Ausweisy zdobył również dla nas i mogliśmy wyjść z kryjówki. Zostaliśmy zatrudnieni u Kremina, który w tym czasie prowadził trzy placówki pracy w Lublinie – szmacciarze pracowali na Kalinowszczyźnie, skup żelaza był w naszym zakładzie na 1 Maja, szkła na Zamojskiej. Mieszkaliśmy w szczątkowym getcie na Majdanie Tatarskim, gdzie Niemcy urządzali częste selekcje. Na Majdanie został zastrzelony mój dziadek – wydał go podczas „akcji” Szama Grajer, który był panem życia i śmierci Żydów w getcie. Mój ojciec miał bardzo bogatego przyjaciela, nazywał się Owadia Frydman. Grajer zaprosił do siebie najbogatszych z getta i każdemu z nich powiedział, że są mu winni duże pieniądze, na przykład po 20 tysięcy złotych. Oczywiście ludzie ci powiedzieli, że nie pożyczali od niego żadnych pieniędzy, na co on stwierdził: „To będziecie mi winni te pieniądze” i każdy z nich musiał mu przynieść żadaną sumę. Chodził ubrany jak esesman, z pejczem. W czasie „akcji” wskazywał tym pejczem i spokojnie mówił „kolego, wstań”. Było to równoznaczne z wydaniem na śmierć. Jego siostra żyła po wojnie w Izraelu. Przez ludzi była traktowana różnie. W każdym razie nigdy nie przyszła na spotkanie z Ziomkostwem Lubelskim.

Kremin, u którego pracowaliśmy, był przyjacielem szefa policji i SS Globocnika i informował nas o każdej selekcji na Majdanie. Uprzedził nas również, że w 1943 roku Niemcy będą likwidować

wać wszystkich pozostałych w Lublinie Żydów i kazał nam uciekać. Uciekliśmy, a u Kremina pozostała moja babcia, która nie miała już siły ukrywać się.

## BYŁAM KRYSYNA GRAJDA

Z Lublina uciekliśmy w maju 1943 roku do Warszawy. Razem ze mną uciekał mój ojciec, moja siostra i ciotka. Ojciec przez swoich polskich przyjaciół załatwił nam polskie dokumenty i zaczęło się nasze ukrywanie w Warszawie. Ciotka z siostrą w innym miejscu, a my z ojcem na Chmielnej. Mieszkały tam też Żydówki lublinianki, które oficjalnie były zameldowane w Warszawie jako Polki. Ja też stałam się Polką – według dokumentów nazywałam się teraz Krystyna Grajda. Panie, z którymi mieszkałam, pochodziły z zamożnych rodzin lubelskich – słynna piękność z Lublina Rubenlichtówna i kupcowa bławatna z Cyruliczej, pani Cynamonowa. Było to jednopokojowe mieszkanie, z którego nie można było w ogóle wychodzić. Jednak pewnego dnia przyszli polscy policjanci i trzeba było uciekać. Ojciec wysłał mnie do Wesołej pod Warszawę, gdzie mieszkałam w domu polskiego kolejarza i nauczycielki. Gdy mąż jej wyjeżdżał do pracy, ona przyjmowała w domu Ukraińców. Pieniądze od ojca otrzymywałam przez Polaka, Andrzeja, ale gdy pewnego dnia nie przyszedł, nauczycielka wyrzuciła mnie z domu. To była jesień, a ona mnie wyrzuciła bez żadnego płaszcza. Pojechałam do Warszawy, do starego mieszkania, ale nikt nie chciał mnie przyjąć. Zrozumiałam wtedy, że ojca już nie ma.

Szczęście w nieszczęściu – spotkałam na ulicy męża znajomej Żydówki z Lublina. On był w podziemiu i pomógł mi ulokować się w nowej kryjówce. Miałam ich w sumie kilka. Raz było to mieszkanie polskiego komunisty, innym razem ukrywałam się w mieszkaniu u „babki” dokonującej nielegalnych aborcji – to była prawdziwa „fabryka aniołków”, aż wreszcie trafiłam na Stare Miasto. Tu mieszkałam razem z warszawską rodziną żydowską, której syn działał w Żydowskiej

Organizacji Bojowej. Na cały dzień zamykano nas na kłódkę w tym mieszkaniu. Pewien polski inżynier przychodził, by wynieść kubło z nieczystościami i przynieść nam jedzenie i gazety. Tam nauczyłam się grać w szachy i tam zastało nas powstanie warszawskie.

My wcale nie mieliśmy świadomości tego, co dzieje się w Warszawie. Gdy zaczął palić się nasz dom, doszliśmy do wniosku, że jest to zapewne rosyjski nalot. Udało wyrwać nam się z tego mieszkania, a z piwnicy wygarnęli nas Niemcy. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się, że w Warszawie jest powstanie. Moich znajomych wywieziono jako Polaków na wieś. Dopiero tu wydali ich chłopci. Mnie natomiast przez Pruszków wywieziono na roboty do Berlina. Pracowałam jako spawacz w fabryce. Udawałam, że jestem Polką, udawałam, że się modłę.

W Berlinie przeżywałam koszmar. Co noc bombardowania. W dzień się pracowało, a w nocy siedziało w bunkrze, aż wyzwolili nas Rosjanie.

Widziałam zrujnowane Niemcy, widziałam Niemców upodlonych, bitych przez Rosjan. Nas nie ruszali, nawet ochraniali i żywili. Aż do powrotu do Lublina nie przyznawałam się, że jestem Żydówką.

## LUBLIN NIESZCZĘŚLIWY

Wróciłam do Lublina i samotnie kręciłam się po Krakowskim Przedmieściu. Z Noworybnej mnie wygoniono. Nowi gospodarze, Polacy, nie oddali mi żadnej rzeczy, która należała przed wojną do mojej rodziny. Moją tragedię pogłębiały straszliwe wieści o bliskich i znajomych.

Ja znam Lublin szczęśliwy i nieszczęśliwy. To był ten nieszczęśliwy. Wałęsałam się po ulicach. Od znajomego dozorca dowiedziałam się, że moja rodzina nie żyje, jedynie siostra jest w domu dziecka. Mój brat oraz moi dwaj wujkowie zostali rozstrzelani na tydzień przed wyzwoleniem. Koszmar i pustka. Nie miałam co tutaj robić. Po miesiącu wyjechałam do Łodzi, a stamtąd przez Będzin, specjalnym transportem, dostałam się do Włoch.



## DROGA DO IZRAELA

We Włoszech przebywałam przez dwa lata. Uczyłam się i już wiedziałam, że moje miejsce jest w ówczesnej jeszcze Palestynie. W drodze do niej złapali nas Anglicy i osadzili razem z innymi Żydami na Cyprze. Tam siedziałam przez półtora roku, aż wreszcie w styczniu 1949 roku, już po utworzeniu państwa Izrael, dotarłam do ojczyzny. Tu pracowałam jako nauczycielka, tu też poznałam swojego męża.

Ziomkostwo Lubelskie w Izraelu istniało już przed moim przyjazdem. Ja jestem w tej organizacji dopiero od dziewięciu lat. Zaczęłam chodzić na spotkania dopiero po przejściu na emeryturę. Ziomkostwo prowadzi w Izraelu swoje szkoły. Na spotkaniach rozmawia się w jidysz i po hebrajsku. Po polsku raczej się nie mówi, bo ludzie dość słabo mówią w tym języku. Mamy swoją gazetę – „Kol-

Lublin” („Głos Lublina”). Istnieje Księga Pamięci Lublina z bogatymi ilustracjami. Moja wnuczka w szkole napisała bardzo dobrą pracę o Lublinie. Do ziomkostwa należą lublinianie, żyjący obecnie w Izraelu, Stanach Zjednoczonych – najwięcej w Nowym Jorku i Los Angeles – duża grupa we Francji. Lubelscy Żydzi żyją w Szwecji, pewne grupy w Anglii i Australii.

Jakie jest ich nastawienie do obecnego Lublina? Bardzo różne. Wielu z nich boi się szoku. Lublin bez Żydów jest dla nich szokujący. Myślę jednak, że powinno się tutaj przyjeżdżać, bo mimo wszystko jest inaczej, niż piszą gazety w Izraelu czy w Ameryce. Przed wojną też byli antysemitami, a Żydzi przecież żyli tutaj od wieków. W każdym razie uważam, że jest to bardzo indywidualna sprawa. Przecież ci ludzie, którzy obecnie żyją w Lublinie, nie są winni temu, co stało się tutaj przed pięćdziesięciu laty.

Spisał i opracował: *Robert Kuwałek*

Helena Ziemba

## W GETCIE I KRYJÓWCE W LUBLINIE

Urodziłam się w 1916 roku w Warszawie, gdzie akurat wtedy przypadkowo byli moi rodzice, ale przez całe życie mieszkałam w Lublinie. Mój ojciec był robotnikiem w garbarni Pejsacha Brykmana na Kalinowszczyźnie i tutaj mieszkaliśmy przy ulicy Towarowej 21. Moja matka prowadziła dom. Miałam jeszcze starszego brata, dwóch młodszych i młodszą siostrę.

Dom był średnio religijny; to znaczy przestrzegano się tradycji, obchodziło się żydowskie święta, ojciec mój odprawiał nawet poranne nabożeństwa w bóżnicy przy Towarowej, gdy nie było rabina, ale przy tym należał do związków zawodowych działających przy lubelskim Bundzie. Ja należałam do bundowskiego klubu sportowego, którego siedziba znajdowała się przy ulicy Ruskiej. Bardzo religijnym człowiekiem był mój dziadek, Dawid Herszenhorn, nauczyciel religii. Prowadził na Kalinowszczyźnie prywatny bethamidrasz dla dorosłych. Cieszył się bardzo wielkim uznaniem wśród swoich uczniów, a na starość chciał nawet egzaminować rabina Finkelmana, który mieszkał przy Towarowej 27 i odprawiał nabożeństwa w naszej synagodze na Kalinowszczyźnie. Gdy dziadek zmarł, jeszcze przed wojną, uczniowie nieśli jego ciało na cmentarz na swoich ramionach.

Moja mama była kobietą tradycyjną. Prowadziła kosztowny dom, pomagała biednym. To znaczy, gdy na Kalinowszczyźnie było jakieś biedne wesele żydowskie, to moja mama razem z innymi kobietami zbierały wśród mieszkańców Kalinowszczyzny pieniądze na posąg dla panny młodej. Ludzie chętnie dawali. Dawał też i sam Brykman, który znany był ze swojej ofiarności. W swojej garbarni urządził dla żydowskich robotników dom modlitwy, gdzie odprawiano nabożeństwa na święta i gdzie przygotowywane były stoły z potrawami

świętecznymi. Bardzo dbał o swoich robotników i nieważne było, czy są to Żydzi, czy Polacy. Wszyscy go szanowali. Mniej hojny był właściciel drugiej garbarni – inżynier Zylbersztajn, ale jałmużnę chętnie dawała jego córka Bronia. Chodziłam z nią do szkoły. Chociaż byli to ludzie bardzo bogaci, ona nigdy nie dawała tego odczuć innym. Trzecią garbarnię miał Ajchenbaum.

Na Kalinowszczyźnie nie doświadczało się przed wojną antysemityzmu. Mieszkali tutaj przeważnie robotnicy, którzy należeli do związków zawodowych i wspólnie klepali biedę. Wielu Polaków pracowało razem z Żydami w garbarniach. Byli także zatrudnieni w piekarniach żydowskich, jak chociażby mój późniejszy mąż, który pracował w piekarni Uerów-Urysiów. Wielu sąsiadów Polaków traktowaliśmy jak rodzinę i oni później, w czasie wojny, rzeczywiście wiele mi pomogli.

Gdy wybuchła wojna, mieszkaliśmy dalej na Kalinowszczyźnie. Mój starszy brat namawiał nas, młodsze rodzeństwo, żebyśmy uciekli na wschód, bo mieliśmy tam rodzinę. Nie zdążyliśmy. W dniu 9 września 1939 roku był silny nalot na Lublin. Mój starszy brat razem z młodszym niepotrzebnie wyskoczyli wtedy z domu. Na ulicy Towarowej trafiła ich bomba. Jeden brat zginął na miejscu, drugi, ciężko ranny, trafił do szpitala Bożego Jana i tam zmarł. W tym czasie razem z moją koleżanką, Małką Akermanówną, uciekłyśmy z Lublina, ze strachu przed nalotami. Podążałyśmy na wschód, ale nie doszłyśmy daleko. W Siedliszczu za Piaskami złapał nas kolejny silny nalot i wtedy postanowiłyśmy wrócić do Lublina.

Chciałam odwiedzić brata w szpitalu, ale moja sąsiadka z Kalinowszczyzny nic nie powiedziała, tylko rozplakała się, a ja domyśliłam się, że brat zmarł. Poszłyśmy z mamą do szpitala. Lublin za-

**Helena Ziemba**  
z domu Dina Herszenborn, ur. w 1916 r. w Warszawie, jako córka Moszka i Sury Rywki z d. Listinger, przed 1939 r. mieszkała w Lublinie, na Kalinowszczyźnie, przy ulicy Towarowej 21. Obecnie zamieszkała w Lublinie.

*Rabin Izrael Hersz Finkelman był ostatnim rabinem na Kalinowszczyźnie. Zginął w marcu lub kwietniu 1942 roku w obozie zagłady w Bełżcu.*

Ulica Sienna na Kalinowszczyźnie.  
Fot. Feliks Kaczanowski.

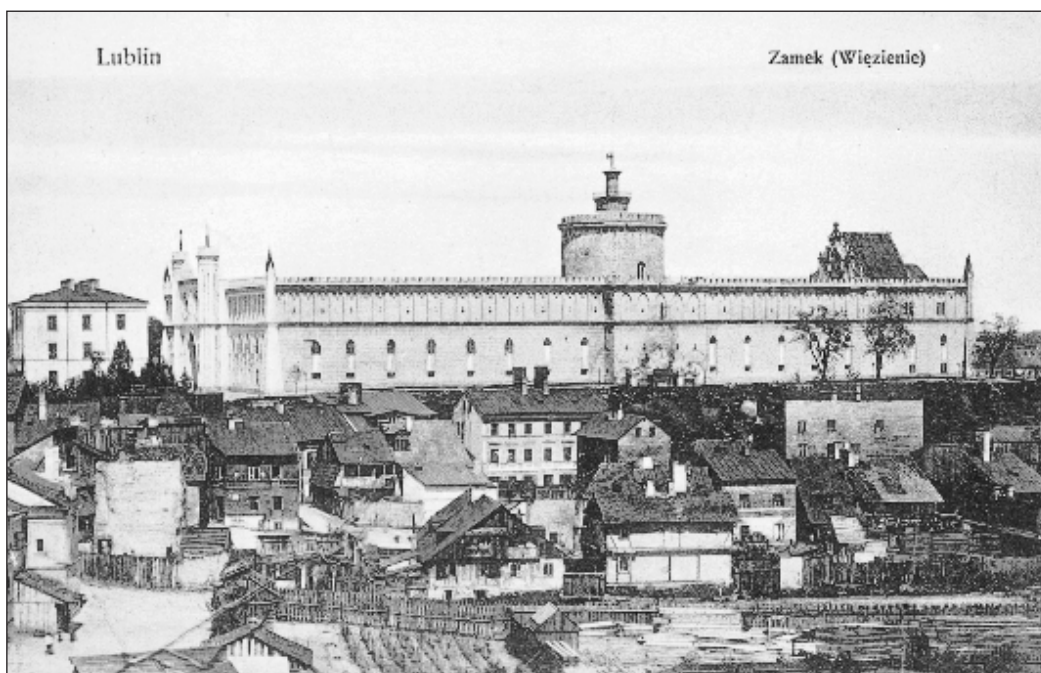


*Uporządkowanie tzw. okupacyjnej części cmentarza przy ulicy Walecznych – Unickiej nastąpiło w 1993 roku, dzięki działalności Fundacji Sary i Manfreda Frenklów. Pośrodku pustego pola na miejscu cmentarza stanął symboliczny obel z prochami zamordowanych Żydów lubelskich.*

jęty był już przez Niemców. Zmarłych i zabitych, znajdujących się w szpitalu, nie chowano wtedy na cmentarzach. Za szpitalem wykopany był dół i tam złożone były jak ciała zasypywano ziemią. Brat miał roztrzaskaną głowę. Mama nie mogła go poznać. Poznała go dopiero po koszuli i strasznie krzyczała, a ja razem z nią. Pamiętam, jak pocieszał ją jakiś Niemiec, mówiąc „Schade”. Dopiero później przeniesiono ciało mojego brata na cmentarz żydowski na Unicką i pochowano go na tej drugiej części. Mój brat miał nawet nagrobek, malowany pomnik. W czasie okupacji, dopóki mogłam, chodziłam codziennie na jego grób, dlatego pamiętam, że ten cmentarz był wtedy większy niż

obecnie. Starsza część cmentarza była bardziej elegancka. Tam znajdowały się marmurowe pomniki lekarzy i inżynierów, a na tej drugiej były wytyczone alejki; osobno chowano kobiety, osobno mężczyzn, były jakieś skromne pomniki. Grób mojego brata znajdował się prawie na końcu cmentarza – teraz w tym miejscu stoją jednorodzinne domy. Gdy już po wyzwoleniu poszłam na cmentarz, nie mogłam znaleźć grobu brata. Cmentarz był zniszczony. Niemcy nie zniszczyli tylko ohelu Eigerów – cadyków. Ludzie mówili, że może bali się świętego cadyka.

Początkowo mieszkaliśmy jeszcze na Kalinowszczyźnie. Ojciec pracował przez cały czas



Widokówka – Zamek (więzienie)  
widok od strony Starego Miasta.  
Ze zbiorów MHML.

u Brykmana, chociaż samego Brykmana nie było już wtedy w Lublinie. Fabryką zarządzał Niemiec, dyrektor Kończak, ale to był bardzo dobry i przyzwoity człowiek. Kto u niego pracował, mógł być spokojny, że nic mu się nie stanie. Podobno Kończak, dopóki mógł, wysyłał Brykmanom pieniądze do Lwowa, gdzie przebywali, ukrywali się i gdzie zginęli.

W czasie okupacji już sama chodziłam zbierać pieniądze dla biednych. Razem z nami mieszkała taka religijna rodzina i ich córka zaproponowała mi, żeby chodzić po domach i zbierać pieniądze. Początkowo wstydziłam się, ale w końcu chodziłam razem z nią i zebrałyśmy sporo pieniędzy na biednych i wysiedlonych. Oprócz tego pamiętam, że razem z siostrą przez jakiś czas gotowałyśmy kaszę dla biednych w Kuchni Ludowej przy ulicy Jatecznej, przy synagodze, gdzie mieszkali uchodź-

cy. Pamiętam te wielkie gary z kaszą, którą trzeba było ciągle mieszać. To już było wtedy, gdy z Kalinowszczyzny musieliśmy się przenieść do getta na Podzamcze i gdy mieszkaliśmy przy ulicy Kowalskiej u kuzynów.

Gdy musieliśmy przenieść się na Podzamcze, zostawiliśmy wszystko w domu. Tylko część ubrań, bardzo niewiele, oddaliśmy naszym sąsiadom, Zabłockim, którzy je sprzedali. Potem te pieniądze bardzo mi się przydały, ale sama Zabłocka mówiła, że można było zostawić więcej rzeczy. Co by się nie sprzedało, przydałoby się po wojnie. W domu zostawiliśmy chociażby piękną, haftowaną ręcznie pościel. Mieszkanie nasze zajęli Polacy, porządni ludzie, którzy mieszkali w nim jeszcze długo po wojnie. My przenieśliśmy się na Kowalską, do kuzynów. Ich dom znajdował się obok budynku, w którym swoją restaurację i dom publiczny miał Szama Grajer.



Charakterystyczna zabudowa Podzamcza w Lublinie. Fot. Stanisław Magierski.

Pamiętam, jak kiedyś wieczorem wyszłam razem z moją kuzynką na spacer, na ulicę. Byłam elegancko ubrana, na nogach miałam oficerki. Zauważył mnie Grajer i następnego dnia dopytywał się o mnie u kuzynów. Bałam się, że trafię w jego ręce, więc moi rodzice postanowili, że nie będę się pokazywać na tej ulicy, i przenieśli mnie na inną.

Później, już w getcie na Majdanie Tatarskim, Grajer ożenił się z córką prezesa Judenratu Marka Altena i razem z nią został zastrzelony przez Niemców po likwidacji Majdanu.

W marcu 1942 roku, gdy zaczęła się likwidacja getta na Podzamczu, podczas którejś obławy została zagarnięta razem z matką i siostrą do synagogi przy ulicy Jatecznej, gdzie trzymano ludzi przeznaczonych na śmierć. Tam było strasznie. Strzelano do ludzi, a ściany całe zalane były krwią. Jakoś udało się nam podać wiadomość do ojca, który w tym czasie był w pracy, w garbarni. Przyszedł razem z dyrektorem Kończakiem i wyreklamowali nas. Dyrektor przyniósł dla nas zaświadczenia, że pracujemy w garbarni. Dyrektor Kończak był bardzo dobrym człowiekiem. Zatrudniał u siebie nawet dawnych, przedwojennych dostawców skóry. Wielokrotnie wyciągał ludzi z różnych opresji. Dla wszystkich swoich robotników i ich rodzin załatwił zaświadczenia o pracy i mogli oni potem spokojnie przenieść się na Majdan.

Ojciec postanowił, że mimo zaświadczenia lepiej będzie, jak nie będę się pokazywać na ulicy. Po selekcji na Kowalskiej, gdzie wszyscy, którzy posiadali zaświadczenia o pracy, przeszli na Grodzką i Noworybną, ojciec zamykał mnie w domu na cały dzień i wychodził do pracy. Udało mi się znaleźć pracę u krawca na Podzamczu, ale wyjątkowo nie lubiłam siedzieć przy maszynie, a potem udało się załatwić dla mnie pracę w fabryce „Bengal” i dzięki temu dostałam „J-Ausweis”. Pracowałam poza gettem i mogłam chodzić po mieście.

W tym czasie mój brat Luzer został zabrany do obozu przy ulicy Lipowej i tam też pracował. To, że mieliśmy „J-oty”, uprawniało nas do przeniesienia się na Majdan Tatarski, do małego getta. Z Kalinowszczyzny mogli pójść tylko robotnicy z garbarni i ich rodziny. Wielu Żydów z naszej dzielnicy nie dostało się na Majdan. Nie poszedł tam chociażby rabin Finkelman. Jego syna zastrzelono koło garbarni. Drugi, Boruch, uratował się i po wojnie wyjechał do Niemiec, gdzie ożenił się z Niemką. Robotnicy z garbarni byli chronieni przez Kończaka. Mieli bardzo dobre warunki. Byli skoszarowani

przy garbarni, więc nie musieli przebywać w getcie na Majdanie. Mogli swobodnie poruszać się po całym zakładzie. Dzięki temu, że ja i ojciec pracowaliśmy poza gettem, rodzina nie odczuwała głodu, mimo że nie byliśmy zamożni – byliśmy wręcz biedni, ale żywność przynosiliśmy z miasta. W getcie głód doskwierał tylko tym, którzy nie wychodzili poza jego teren.

Pewnego dnia Niemcy zgarnęli robotników żydowskich z Lipowej na Majdanek. Mój brat uciekł po drodze z kolumny i ukrył się w ubikacji na Bronowicach, ale znalazła go tam jakaś Polka i wydała. Wylądował w obozie. Próbowaliśmy mu pomóc. Razem z sąsiadką z Kalinowszczyzny, Polką, której mąż był w tym czasie w obozie, usiłowaliśmy przez wolnych robotników podać im coś do jedzenia przez druty, ale do brata nie było już dostępu. Widziałam go przez druty. Zginął na Majdanku. Już w tym czasie moi rodzice postanowili, że będę się ukrywać u młodego Ziembę, mojego późniejszego męża. Ja nie chciałam wychodzić z getta i zostawić matki, ale to ona tak postanowiła i wszystko przygotowała.



Widok na Podzamcze i ul. Krawiecką. Fot. W. Ziółkowski.

Z Ziembami byliśmy zaprzyjaźnieni jeszcze przed wojną. Już wtedy mój mąż powiedział do mojej mamy, że przyjdą jeszcze takie czasy, że się ze mną ożeni. Wtedy obraziłam się na niego za te słowa. Mój mąż chciał pomóc również rodzinie piekarza Uera, u którego pracował przed wojną. Uerowie mieli cztery piękne córki. Dla Doby znalazł nawet kryjówkę u granatowego policjanta, który się w niej kochał. Była tam przez jakiś czas, ale pozostałe siostry postanowiły, że jak mają zginąć, to razem i Doba wróciła na Majdan – zginęły razem.

Na dzień przed likwidacją getta na Majdanie ktoś wypchnął mnie za druty, nie wiem kto. Poszłam na Kalinowszczyznę, a razem ze mną poszła Małka Akermanówna. Jako zabezpieczenie wzięłyśmy ze sobą młodego chłopaka, Abrama Nisenbauma, który miał sporo złota – mieszka teraz w Argentynie. Zgłosiłam się do męża, ale po drodze poszłam do Zabłockich po rzeczy. Było to wieczorem. Zabłocka przeraziła się, ale i ucieszyła. Oddała nam pieniądze za rzeczy, ale powiedziała, że woli nie wiedzieć, gdzie się ukrywam, bo tak będzie bezpieczniej. Przestrzegła mnie również, żebym nie

*W synagodze Mahar-szala, która na rozkaz Niemców została zamknięta dla celów kultowych, w okresie okupacji, do marca 1942, roku mieściło się schronisko dla uświadomionych i uchodźców. Podobne schroniska zorganizowano także w innych lubelskich synagogach.*



Podwórko w dzielnicy żydowskiej.

Lubartowska 9.  
Fot. Stefan Kielsznia.



Róg Lubartowskiej  
i Cyruliczej. Fot. Stefan  
Kielsznia.





Lubartowska 13.  
Fot. Stefan Kielsznia.



Róg Lubartowskiej 7  
i Cyruliczej. Fot. Stefan  
Kielsznia.



Lubartowska 11.  
Fot. Stefan Kielsznia.



Lubartowska 11.  
Fot. Stefan Kielsznia.



pokazywała się na ulicy, bo nasz dawny sąsiad Wacek Król trzyma z Niemcami.

Ukrywałyśmy się z Małą w małym domku, na facjacie, gdzie na strychu przygotowana była kryjówka, ale tak mała, że można było w niej tylko leżeć. W sąsiednim domu, w podobnej kryjówce ukrywał się Abram. Było to w mieszkaniu u Orłosa, któremu Abram opłacał się, ale za to byłyśmy bezpieczne, że Orłoś nas nie wyda. Raz przestrzegłyśmy Abrama, żeby nie mówił Orłosiowi, ile ma pieniędzy, bo ten może go obrabować i zamordować.

Ludzie na Kalinowszczyźnie byli dobrzy. Wielu Polaków wiedziało, że się ukrywamy, niektórzy wiedzieli nawet gdzie. Byli tacy, którzy przynosili nam do kryjówki jedzenie. Pewni ludzie opiekowali się Abramem. Nie udało się tylko uratować rodziców i siostry. Ojciec podczas likwidacji Majdanu ukrył się na terenie getta i tam złapali go Niemcy. Zastrzelili go na miejscu. Gdyby poszedł na Majdanek, może udałoby się go uratować. Na Majdanek po swoich robotników przyszedł Kończak, ale mojego ojca tam nie było. Moja siostra nie chciała zostawić matki w obozie, chociaż mieliśmy już zorganizowaną furmankę, którą wywiozłoby się Esterę pod łupinami z kartofli. Ona jednak została razem z matką w obozie. Zginęły obydwie. Zostałam sama.

Głód odczułam dopiero podczas ukrywania się. Czasami nie jadłyśmy z Małą przez cztery dni, bo z jednej strony była bieda, a z drugiej, często nie było warunków, by podać jedzenie. Do naszej kryjówki wchodziło się od klatki schodowej i trzeba było uważać na ludzi. Mój mąż był zagrożony aresztowaniem, ale pewna znajoma Niemka zatrudniła go u siebie w piekarni, mimo że wiedziała, iż poszukuje go gestapo. O nas wiedział też Niemiec, który mieszkał w tym domu, gdzie się ukrywałyśmy. Kiedyś przy wódce powiedział do mojego męża: „Ja nic nie muszę wiedzieć i widzieć, chociaż wszystko wiem”. Niemiec ten został zastrzelony przypadkowo koło młyna Krauzego, gdy pewnej nocy partyzanci zorganizowali oblęganie na donosicieli w naszym domu, a on im otworzył drzwi. Wiedziała też Ukrainka z naszego domu, kobieta,

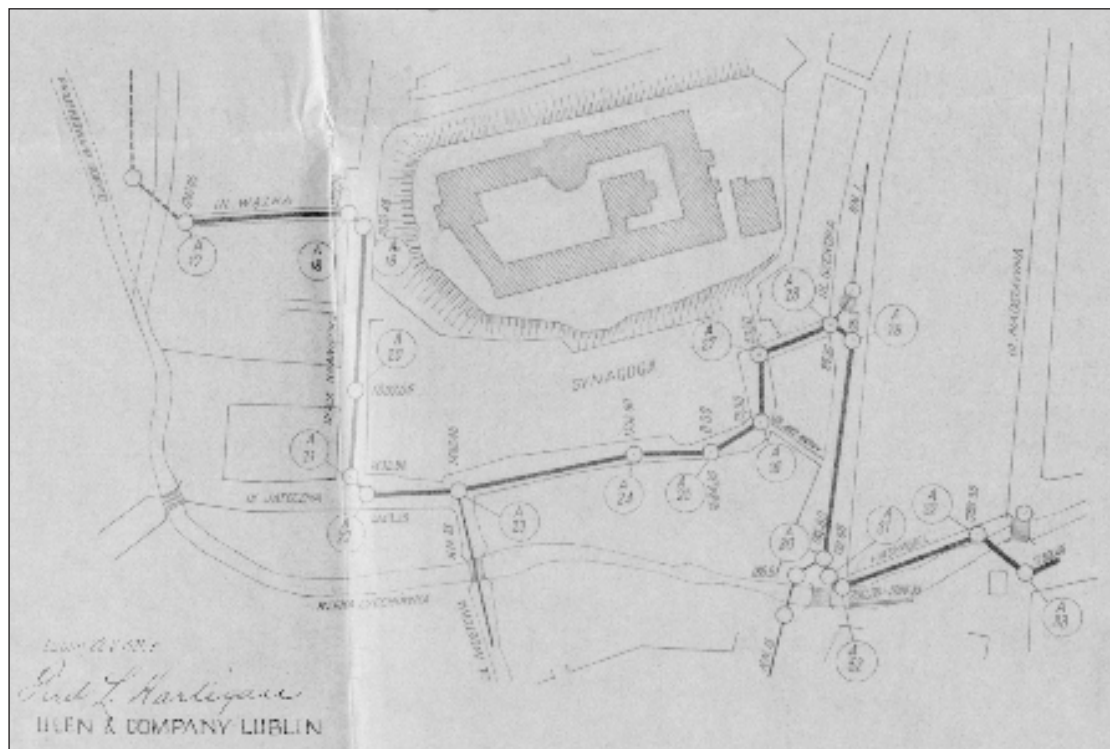
która mówiła do mojego męża, żeby się nie martwił, bo ona wie, co to znaczy być przesiedloną. Potem Niemcy wywieźli ją do Niemiec. Na Kalinowszczyźnie mieszkała też nasza znajoma, niegdyś służąca w żydowskiej rodzinie, która jeszcze przed wojną miała dziecko z synem swoich gospodarzy. Dziecko było bardzo podobne do swojego żydowskiego ojca. Nikt w dzielnicy nie wydał jej przez całą wojnę, chociaż ona nie ukrywała specjalnie tego dziecka. Czasami ta kobieta przychodziła do nas i podawała nam jedzenie.

Ale były też i inne przypadki. U Niedźwiadków ukrywali się synowie właściciela garbarni, inżyniera Zylbersztajna. Mieli przy sobie walizkę złota i pieniędzy. Pewnej nocy Niedźwiadek, razem ze swoim szwagrem, zamordował ich i obrabował. Wtedy jeszcze nikt o tym nie wiedział. Wydało się to dopiero po wojnie. Szwagier Niedźwiadka popełnił samobójstwo, gdy wkroczyli Sowieci, a szczątki Zylbersztajnow odkryto dopiero podczas budowy nowego osiedla na Kalinowszczyźnie, gdy burzono dom Niedźwiadków.

Wychodzić z kryjówki mogłyśmy tylko w nocy i to tylko na godzinę. Wychodziłyśmy do ogrodu. W nocy też, razem z Małą i mężem wypiekaliśmy bułki i pączki, które mąż odstawiał do piekarni. Bieda była straszna, a ja coraz bardziej załamywałam się psychicznie.

W styczniu 1944 roku urodziłam syna. Przyprawiliśmy księdza, który go ochrzcił i wypisał metrykę, ale syn nie mógł być ze mną, bo jak mój mąż wytłumaczyłby, że jako samotny kawaler ma dziecko. Początkowo oddaliśmy go do mojego teścia na Kośminek, gdzie ludzie śmiali się, że Ziemia na stare lata sprawił sobie syna, ale potem za bardzo się interesowano dzieckiem, więc wywieziono je do znajomych, do Sobianowic pod Lublinem. Na dwa miesiące przed wyzwoleniem wpadłam w depresję. Pewnej nocy wybiegłam z kryjówki, żeby rzucić się pod pociąg na torach przy ul. Trzeźniowskiej. Pobiegł za mną mąż i mnie odciągnął, krzycząc, że Sowieci są już blisko i że muszę wytrzymać. A mnie było już wtedy wszystko jedno.

Plan Starego Miasta  
i dzielnicy żydowskiej.  
Z Archiwum MPWiK.



W lipcu 1944 roku Sowieci zaczęli bombardować Lublin. Było jasne, że Kalinowszczyzna znajdzie się na linii frontu, więc postanowiliśmy wyjechać do Sobianowic. Siostra męża i mąż wynajęli furmankę na rzeczy. Nikt już nie zwracał uwagi ani na mnie, ani na Małkę. Niemcy uciekali z Lublina. Gdy wyszliśmy z kryjówki, na skutek ciągłego leczenia odjęło mi nogi. Mimo niezadowolenia szwagierki mąż ulokował mnie na wozie. Wyzwolenie przesiedzieliśmy w Sobianowicach i potem już wszyscy wróciliśmy do Lublina.

W dniu 28 sierpnia 1944 roku wzięłam oficjalny, kościelny ślub z moim mężem. Dzień wcześniej przechrzciliśmy się. Małka wyjechała do Izraela. Jej pierwszy mąż zginął na Majdanku. Po wojnie wyszła za mąż po raz drugi. Dopóki żyła, odwiedzała mnie zawsze, gdy była w Polsce. Teraz do Polski przyjeżdża jej córka, Justyna. Po wojnie, przez bardzo długi czas, razem z mężem prowadziliśmy piekarnię na Kalinowszczyźnie.

Spisał i opracował: *Robert Kuwałek*

Regina Winograd

## NA LUBLIN PATRZĘ OCZAMI TRZYNASTOLETNIJ DZIEWCZYNKI

Obecnie nazywam się Regina Winograd, ale z domu Rykla Milsztajn. Tatuś mój nazywał się Szlomo Milsztajn, mamusia Rywka Milsztajn z domu Papier. Moja najstarsza siostra, Rachela Milsztajn, no i oczywiście ja, Rykla Milsztajn, i pozostałe rodzeństwo, Josef, Ester, Uszer i Eliezer. Było nas sześćoro dzieci. Mieszkaliśmy w Lublinie, przy ulicy Lubartowskiej 65. Chodziłam do szkoły na Czwartku, skończyłam sześć oddziałów.

Gdy wybuchła wojna, uciekliśmy z Lublina. Nie weszliśmy do getta. Przedtem było jeszcze kilka łapanek. Tatuś mój był kilkakrotnie złapany. Mnie także złapano i pracowałam u Niemców. Czyściłam śnieg, czyściłam im buty, czyściłam łóżka. Wykonywałam każdą ciężką robotę, którą mi dali. Gdy mój Tatuś został złapany na Majdanek, to ja tam pobiegłam i pamiętam, że szukałam go pomiędzy wszystkimi. Byłam wtedy mała, drobna, stawałam na palcach i szukałam między wszystkimi głowami. Po dwóch dniach Tatuś wrócił do domu. Nie wiem, jak i co, ale wrócił. Przyszedł i powiedział: „Jeżeli my teraz nie uciekniemy z Lublina, to żywi nie zostaniemy”. Byliśmy jeszcze trochę w domu a potem Tatuś wynajął jakąś furmankę. Nie wiem, jak on to zrobił, nie miałam wtedy o tym pojęcia, ale pojechaliśmy do Rozkopczewa. Tam Tatuś zaczął pracować u wieśniaków. Cała rodzina, wszyscy pracowaliśmy. Wieśniacy byli z nas zadowoleni, bo moja Mamusia zajmowała się czymś, co dzisiaj nazywa się leczenie alternatywne. Jeżeli były tam choroby w inwentarzu, to robiła różne wywary. Pamiętam jak dziś, jak Mamusia robiła jakiś wywar dla krów czy dla koni i powiedziała, żebyśmy wyszli z pokoju, ponieważ to było strasznie ostre. Potem założyła



Lubartowska 13. Fot. Stefan Kielsznia.

na twarz jakiś ręcznik, bo musiała to gotować. Gdy później zapanował tam ciężki świerzb, to robiła różne maści. Także dzięki temu przetrzymywali nas przez pewien okres.

Później wiedzieli już, że nie mogą nas dłużej trzymać, bo jeżeli przyjdą Niemcy i nas złapią, to rozstrzelają i ich, i nas. To było takie ostrzeżenie. My byliśmy jeszcze trochę w tej wiosce i pewnego razu przyjechali Niemcy. Między nimi był także taki Dolmetscher – tłumacz z niemieckiego. Ubrany był w buty z ostrogami. Oni przyczepili się do nas, że niby Mamusia coś powiedziała, choć ona nic nie powiedziała takiego, za co można byłoby nas ukarać. Zaczęli nas bardzo bić i szukali Tatusia. Tatuś był schowany, a oni chodzili po tym pokoiku z bagnietami na karabinach i szukali, pytając: „Gdzie stary?” Ponieważ moja starsza siostra była bardzo ładną dziewczyną, gdy Mamusia usłyszała, że Niemcy idą, wysmarowała palce sadzami z fajerek i nasmarowała siostrze twarz. Bała się o moją siostrę. Gdy oni przyszli i zobaczyli taką dziwną twarz, zaczęli ją bardzo bić i strasznie kopać. Gdy ja do niej podeszłam i płakałam, to mnie też zaczęli kopać. Mamusię też. Tak ją zbili, że w końcu Mamusia powiedziała: „Herrschaften, bitte schuess mich. Ich kann nicht mehr”. Moja Mamusia знаła niemiecki, znała rosyjski, była bardzo inteligentną kobietą. Bardzo nas wtedy zbili. Moja mała siostrzyczka weszła na podwyżkę, tam, gdzie przechowuje się siano i ktoś z nich pobiegł za nią i zrzucił ją z góry, ale ponieważ była małym dzieckiem, to nic się jej nie stało. Nawet nie płakała. W końcu ci Niemcy – było ich dwóch i Polak, ten tłumacz – kazali nam się wynosić. Chcieli nas wygonić z tego mieszkania. Wtedy moja Mamusia powiedziała „Nicht hojlechen, nicht hojlechen”. Co to znaczy „nicht hojlechen”? Zazwyczaj, kiedy zapala się świece w piątek wieczór i robi się kidusz, wtedy nie rozmawia się w żadnym języku, tylko po hebrajsku. To jest taki loszon kojdesz – taki hebrajski, w którym rozmawiało się kiedyś. A to „nicht hojlechen” znaczyło „nie iść”, bo moja Mamusia wiedziała, co to są Niemcy i wiedziała, że jeżeli ktoś z nas pójdzie, to nas zastrzelą. Dlatego krzyczała „nicht hojlechen”.

W każdej żydowskiej rodzinie znali tych kilka słów. Wiedzieli, jak się mówi po hebrajsku sól, chleb. Przy stole w ogóle się nie rozmawiało, tylko czekało się, kiedy ojciec skończy ten kidusz i wtedy każdy w każdym domu znał tych kilka słów po hebrajsku.

To nas ocaliło. Pobili nas i poszli. My byliśmy tak pobici, że nawet nie można było wstać. Za pół godziny wrócili i znów zaczęli krzyczeć: „Gdzie jest stary?” Pytali o Tatusia. On wcale nie był stary, był młody, miał coś około czterdziestu lat. Znowu zaczęli nas bić i kopać. Wtedy Mamusia zwróciła się ponownie do nich: „Bitte, Herrschaften, ich bitte Euch, schuess mich!” Wtedy albo oni nie zrozumieli, albo byli pijani, albo czort wie co, bo poszli. Poszli i nie przyszli więcej. My do samego rana nie mogliśmy chodzić. Rano moja Matka była sina, cała sina. Ja czołgałam się na czworakach. Wszystkiego miałam wtedy 12–13 lat. Byłam strasznie pobita i pokopana. Siostra moja była również strasznie pobita, maleństwa siedziały i płakały, a ojciec siedział pod słomą i siennikami. On był w domu, ale go nie znaleźli. Dziobali tymi bagnietami i widocznie to było takie przeznaczenie, że nie znaleźli Tatusia.

Wyszliśmy wtedy rankiem z tej wsi. Wieśniacy nie chcieli nas dłużej trzymać. Spaliśmy później na łąkach, na polu, w kartoflanych kopcach. Opowiadam to w takim skrócie, a to było jak wiek.



Jeszywas Chachmej Lublin. Powiększony napis z budynku uczelni na Lubartowskiej. Ze zbiorów Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie, dalej ADM.

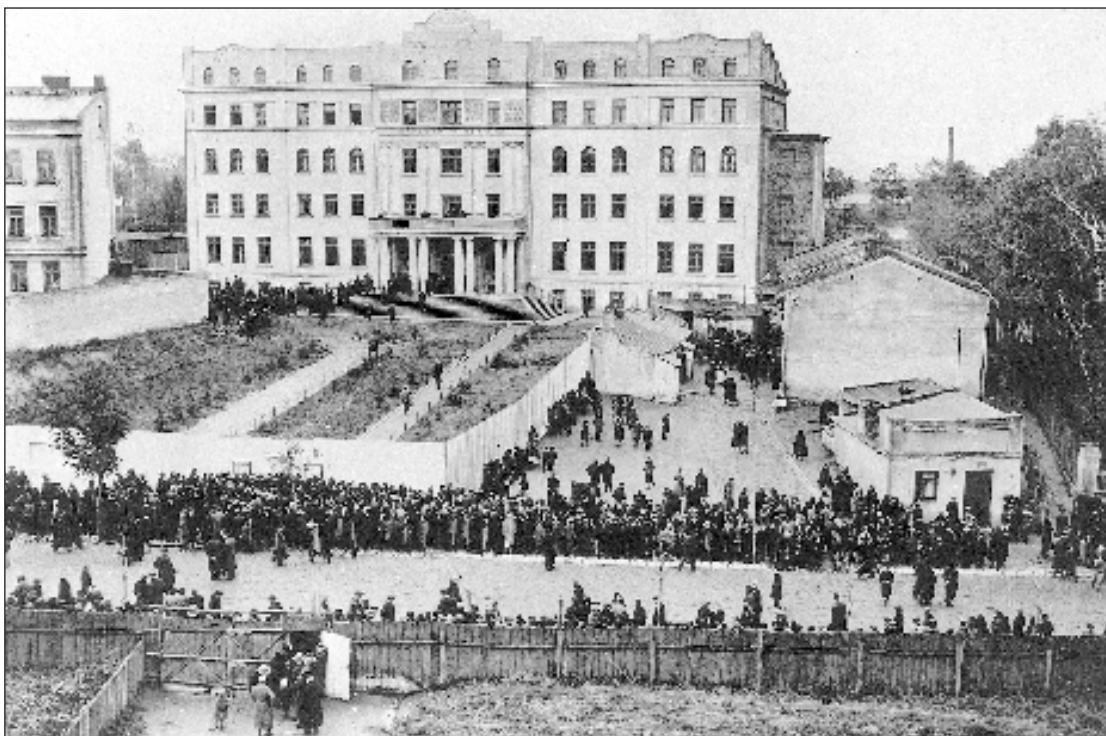
Ja chodziłam do polskiej szkoły, a skoro chodziłam do polskiej szkoły i moja siostra również, a młodsze dzieci do freblówki, to my nie mogliśmy być bardzo tradycyjną rodziną. Bo gdybyśmy byli bardzo tradycyjni, to dzieci nie chodziłyby do polskiej szkoły, a ja przecież chodziłam do polskiej szkoły na Czwartku, moja siostra również. U nas prowadziło się normalne życie, jak w każdej rodzinie.

W soboty, w święta Tatuś chodził do bóżnicy. Zazwyczaj w święta ludzie kupowali sobie miejsca w bóżnicy. Tatuś modlił się przeważnie w jesziwie, w Jeszywas Chachmej Lublin. Piękna jesziwa, bardzo piękna. Czasami modlił się także w Szpitalu Żydowskim. Czasami w Wielkiej Synagodze na Podzamczu, przy Jatecznej. To była bardzo ładna bóżnica. Nie chodził tam zbyt często, ponieważ my

mieszkaliśmy przy Lubartowskiej i bliżej było do jesziwy. W jesziwie było najprzyjemniej się modlić, bo tam była przepiękna sala. Dla kobiet też była ładna sala i w ogóle było dużo miejsca.

Przed wojną nie byliśmy bardzo tradycyjni. Moja najbliższa koleżanka była Polką. Nazywała się Jadzia Jakubczyk. Mieszkała na Ponikwodzie. Ona powinna być w moim wieku. Może jeszcze żyje? Gdy ostatnio byłam w Polsce, mogłam ją spotkać, tylko nie wiedziałam, jak ją znaleźć. Jeżeli wyszła za mąż, to przecież nie nazywa się już Jakubczyk. Jej ojciec był policjantem.

Gospodarz mojej kamienicy był Żydem. Nazywał się Brafman. Miał jednego syna, który wtedy był studentem. Mieszkali tam i Polacy, i Żydzi. Stosunki między nimi były normalne. To byli sąsiedzi. My jako dzieci bawiliśmy się razem. Nie było, że to



Zdjęcie z otwarcia jesziwy w 1930 roku. Ze zbiorów ADM.

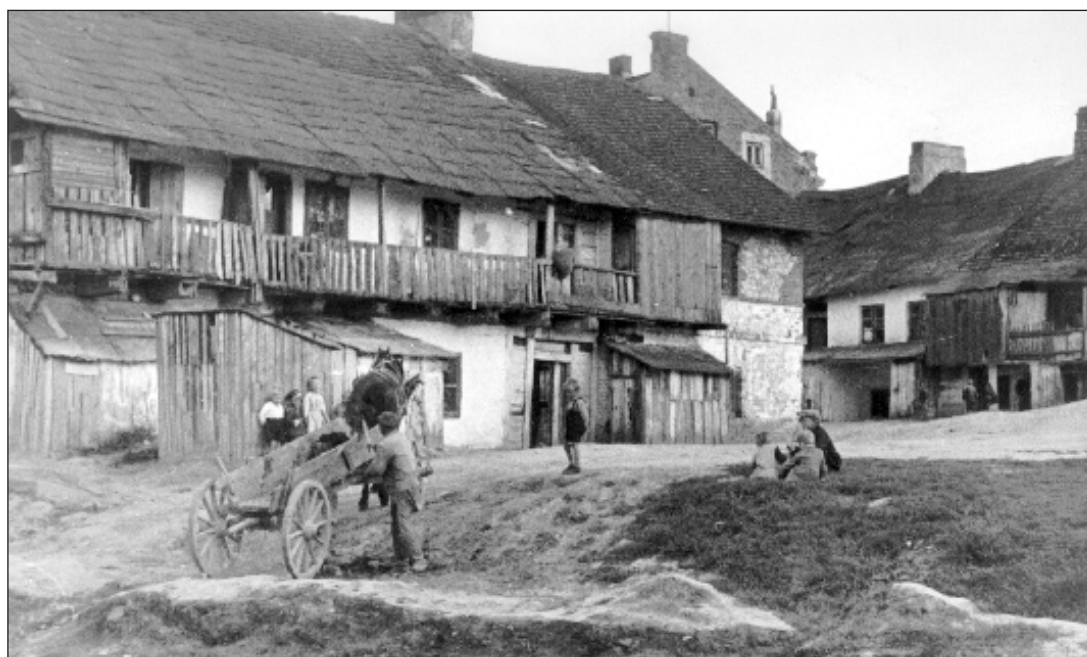
*Sztrajmel – kapelusz obszywany futrem, noszony do dzisiaj przez chasydzkich rabinów. W XIX w. i w okresie przedwojennym prawo do noszenia sztrajmła otrzymywały tylko te osoby, które oficjalnie, przez władze uznane zostały za chasydzkich rebe lub cadyków. W Lublinie prawo takie posiadał między innymi rabin Majer Szapira, założyciel i pierwszy rektor Jeszuyas Chachmej Lublin.*

jest Żyd, a to Polak, ale każdy znał swoje miejsce. Żyd był Żydem, Polak Polakiem, ale jako sąsiedzi byliśmy bardzo normalni. Wszystko robiliśmy razem, bawiliśmy się razem na podwórku, do szkoły chodziliśmy razem, więc nie mogło być dużych różnic między nami. W tej okolicy, w której mieszkałam, to jest za Rogatką Lubartowską, to nie była już typowa dzielnica żydowska. Lubartowska w stronę centrum miasta była bardziej żydowska, a za Rogatką nie było już tylu Żydów. Połowa Żydów, połowa Polaków. Podobnie było przy Unickiej. Mieszkał tam policjant Popek. Mieszkał tam też jeden Ukrainiec – Rzeszko. Niebywale zdolny uczeń, niebywale. Mieszkał przy Unickiej 2. Był to następny dom za naszym. Jesziwa znajdowała się już poza ścisłym skupiskiem żydowskim.

Moja Mama była sierotą. Kiedy była małą dziewczynką, jej rodzice umarli. Była jedynaczką i wychowywała się u cici. To wiem z opowieści. Wy-

dali ją za męż, bo przecież to nie byli jej rodzice. Jeżeli wydaje matka, to jest inaczej. Przychodzi chłopak, poznają się i pobierają. Tatuś był kulturalnie troszeczkę niżej od Mamusi. Żyli jednak w harmonii, mieli sześcioro dzieci. Mamusia była bardziej odczytana, ale ja dokładnie o wszystkim nie wiem, bo kiedyś dzieci tak bardzo nie interesowały się tym, co się dzieje w domu. Słyszałam, że Mama była spokrewniona z rabinem Majerem Szapirą. Mamusia pochodziła z rodziny raczej tradycyjnej, pobożnej. Moja ciocia chodziła w peruce. To właśnie ta ciocia, która wychowywała moją Mamusię. Wujek miał wielką brodę i sztrajmel na głowie, a kto chodził w sztrajmlu przed wojną? Ten, kto miał pozwolenie na rabina lub coś takiego. Ja nawet dokładnie nie wiem, ale nie każdy nosił ten sztrajmel. Ja zbyt się w tym nie orientowałam, tyle ile słyszałam. W ogóle rodzina mojej Mamusi była – można powiedzieć – ze sfery kul-

Dzielnica bieda na Podzamczu, Lublin lata trzydzieste. Fot. Stanisław Magierski.



turalnej. Bardziej kulturalnej niż rodzina Tatusia. Mój dziadzio był nauczycielem. On był taki rabaj – uczył dzieci. Jakie były warunki u nich w domu, tego nie wiem. Ja lepiej znałam rodzinę Mamusi. To byli ludzie na poziomie kulturalnym, uczyli się. Na przykład miałam ciocię, która pracowała w Sądzie Polowym w Lublinie. Nazywała się Edzia. Więcej nie wiem. Nazwisk nie znam. Edzia była blondynką, to znaczy miała tlenione włosy i nawet się dziwili, że Żydówka pracuje w Sądzie Polowym, ale ona pracowała! Druga ciocia pracowała w Gminie Żydowskiej.

Powinniśmy wiedzieć jedno: w tamtych czasach, nie każdy mógł pozwolić sobie na naukę w gimnazjum i niektórzy dzieci były nawet analfabetami, albo chodziły dwa, trzy lata do szkoły i kończyły ją na tym etapie, i szły uczyć się jakiegoś zawodu. Ludzie z mojej rodziny byli jednak ludźmi kultury. Dużo o nich nie wiem, bo nie byliśmy w ścisłym kontakcie. Moi rodzice byli ludźmi pracy.

Mój Tatuś przeważnie wynajmował sady w lecie, kiedy kwitły drzewa. Później zbieraliśmy owoce i sprzedawaliśmy je. Pamiętam, że raz był wielki huragan i kwiat opadł. Tatuś wtedy stracił wszystkiuteńko. Pamiętam jak dzisiaj, siedział na stołeczku i płakał, bo wszystko poszło wniwecz. Ale to był wypadek, a normalnie wszystkie dzieci były w szkole czy we freblówce. Wszyscy byliśmy czyściutcy, ubrani. Nikt nie był głodny. Wszystko było w porządku.

Jeżeli chcę przypomnieć sobie Lublin oczami dziecka, dziewczynki dziesięcio- lub jedenastoletniej, to Podzamcze dla mnie to były chatki, drewniane domki czy nawet kamieniczki, ale to było takie getto. Tam przeważnie mieszkali tylko Żydzi. Gdy wychodziło się tam w piątek, to czuło się zapach ryb, zapach rosółu. Dzieci w takich czapeczkach z małym daszkiem, takie jidysze hitelech. Tam było bardziej przytulnie. Byli tam ludzie różnego rodzaju. Byli ludzie biedni, byli i bogaci. Ja wiem, że tam właśnie mieszkała ciocia, która wychowała moją Mamusię. Niby oni byli niebiedni, bardziej na poziomie. Mieli czyściutko w domu. Mieli drewniany domek, ale to był ich własny domek.

Mnie bardzo podobało się Krakowskie Przedmieście i Lubartowska. Lubartowska – piękna, szeroka ulica. Chodziłyśmy zawsze do Saskiego Ogrodu na spacer z koleżankami. Wtedy nie było tyle samochodów, jak dzisiaj. Mogłyśmy iść nawet po szosie. Nikt nam nie przeszkadzał. Czasem przejechała jakaś furmanka albo jakieś auto. W ogóle Lubartowska była bardzo ładna. W sobotę pełno dzieci, pełno ludzi. Wszyscy świątecznie ubrani. Spacerowali. Bardzo lubiłam chodzić z Mamusią na targ. Bardzo kolorowy targ.

Ja dzisiaj to tłumaczę, że widzę to wszystko dziecięcymi oczami. Dzisiaj mam już przecież prawie siedemdziesiąt lat. Można powiedzieć, że nawet tęsknię za tym.

Mój Tatuś miał brata, który nazywał się Naftali. Naftali Milsztajn. To był jedyny brat mego Ojca. Mój Tatuś był ładnym mężczyzną – wysoki, przystojny, zielone oczy, ładna czupryna. Miał tego jednego brata. Oni mieli troje dzieci. Dużo o nich nie mogę powiedzieć. Nie pamiętam, nie wiem. Dzisiaj człowiek wie więcej, co dzieje się u siostry, brata, ojca, matki. Kiedyś dzieci w ogóle nie wiedziały, co rodzice robią. Dzisiaj, jeżeli rodzice chcą coś postanowić, to siedzą razem z dziećmi i postanawiają. Pytają się, czy to dobre dla ciebie, czy to dobre dla mnie? Kiedyś tego nie było. Kto postanawiał? Tylko rodzice. Wtedy, w tym wieku, w jakim ja byłam, to tej rodziny, która była w Lublinie, nie znałam po nazwisku, tylko po imieniu: ciocia Edzia, ciocia Sara, wujek Naftali i na tym się kończyło.

To było w sobotę we wrześniu 1939 roku. Pamiętam, jak zaczęli bombardować Lublin. Ranni biegli za Rogatkę. Wszyscy biegli za Rogatkę. To był straszny widok. Wszyscy mężczyźni musieli kopać okopy. Nie pamiętam, kiedy Niemcy wkroczyli do Lublina. Mniej więcej po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wojny. Wszyscy krzyczeli na ulicach, żeby nie podchodzić do okien, bo był wypadek, że jak widzieli kogoś w oknie, to strzelali. Bardzo się wtedy baliśmy, ponieważ moja Mamusia przeżyła I wojnę światową i wiedziała, co to są Szwaby. Ona bardzo, bardzo się bała.



Bardzo szybko zaczęło się tworzyć getto w Lublinie. Pamiętam, jak chodziliśmy i szukaliśmy, gdzie sprzedają chleb. Szłam od Rogatki aż gdzieś za Krakowskie Przedmieście. Nawet nie pamiętam na jakiej ulicy. Od razu musieliśmy założyć opaski. Najpierw żółte gwiazdy, a potem Magen Dawid. Ja i moja siostra nie zrobiłyśmy tego i poszłyśmy stać w kolejkach, szukać chleba. Mogłyśmy stać tam kilka godzin i przyjść do domu bez chleba. Gdy zaczęto dzielić chleb na pół, potem na ćwiartki, mogłyśmy przynieść albo ćwiartkę, albo wrócić bez chleba. Pamiętam, jak szłyśmy w zimie. Mamusia owinęła nam buty szmatami. To było rano, a nie wolno było nam wyjść z domu, bo przecież były godziny, kiedy wolno było wychodzić i kiedy nie wolno było chodzić po ulicach. Na Lubartowskiej po lewej stronie była hala. Tam stali Niemcy. Musiałyśmy przejść tę halę, żeby pójść dalej, bo tam gdzieś

była jakaś piekarnia, gdzie dzielili chleb. Przeszłyśmy tę halę, jak byśmy przeszły jakieś piekło. Udało nam się przejść bez opasek i bez gwiazd. Byłyśmy jedyne z siostrą, które mogły dostarczyć chleb do domu, bo ani ojciec nie mógł iść, ani matka.

Pamiętam, gdy raz wracałyśmy. Miałyśmy ćwiartkę chleba w ręku i przed halą Niemcy złapali jakiegoś Żyda i strasznie go bili. Zebrali ludzi, żeby wszyscy stali dookoła i patrzyli, jak go biją. Wracałyśmy z tej piekarni i zatrzymałyśmy się przy hali. Wszyscy tam stali. Myśmy były dziećmi, więc nam nic nie powiedzieli i poszłyśmy dalej. Przyszłyśmy do domu i powiedziałyśmy rodzicom wszystko, co widziałyśmy i byłyśmy strasznie poruszone. Wtedy Mamusia powiedziała, że musimy coś zrobić, żeby stąd uciec. Ale dokąd można było uciekać?

Mieszkałyśmy vis-à-vis szkoły i w tej szkole byli Niemcy. Raz przyszli do nas do domu i wzięli wszyst-

Lubartowska 5.  
Fot. Stefan Kielsznia.



kie kobiety, żeby poszły do nich sprzątać. Ponieważ Mamusia bała się zostawić dzieci, więc ja ubrałam taki fartuch i zawiązałam chustkę, i wzięłam Mamusi pantofle, że niby ja jestem duża. Oni nie tyle wzięli wszystkich, ile szukali młodych ludzi, żeby pracowali u nich. U nas było sześcioro dzieci. Siostra i ja byłyśmy starsze, ale pozostałe to były małe dzieci, więc jak Mamusia mogła je zostawić? Ja ubrałam się i stanęłam z ludźmi, ponieważ oni chcieli jakąś liczbę ludzi, więc stanęłyśmy siostra i ja do pracy. Wzięli nas do pracy. Pamiętam jeszcze, że dali nam kawałek chleba i świece, bo przecież światła nie było. Tam pracowałam kilka razy. Później nadeszła zima. W zimie też tam pracowałam. Zamiatałam śnieg. Ja nie pamiętam dat, w ogóle nie pamiętam dat. Ja pamiętam tylko czas.

Muszę zaznaczyć, że gdy kazali nam nosić żółte gwiazdy lub opaski, to nic nie czułam. Dzisiaj mniej

więcej próbuję sobie wyobrazić: jestem dzieckiem, jestem Żydówką i gonią mnie jako Żydówkę. Nie jako człowieka, który popełnił jakieś przestępstwo, tylko jako Żydówkę gonią mnie i chcą mnie zabić. Moim zdaniem w takiej sytuacji, w jakiej ja byłam wtedy, człowiek nie zastanawia się nad niczym. Chce żyć i to wszystko! Chce żyć! Chce kawałek chleba. Chce przynieść do domu jeszcze kawałek chleba. Ale jedną rzecz wiem – w moim wieku, jako dwunastoletnia dziewczynka – raptem dostałam wielką odpowiedzialność. Odpowiedzialność, że muszę przynieść do domu chleb, bo jeżeli Tatusz wyjdzie, to go złapią i zabiją. Odpowiedzialność – szukać chleba dla dzieci. Ja nie zastanawiałam się wtedy, czy mi dobrze, czy źle. Bałam się bardzo, a przy tym miałam tyle odwagi, bo nie miałam wyjścia. Jak człowiek nie ma wyjścia, to robi wszystko. Fakt, że ja poszłam jak na śmierć. Bo gdyby mnie złapali i za-



Lubartowska 3/5.  
Fot. Stefan Kielsznia.

pytali się, kto ja jestem i gdyby dowiedzieli się, to by mnie zastrzelili na miejscu. Dla nich to było takiego. Chodzili po ulicach i jeżeli ktoś obok nich przeszedł, to potrafili zdjąć mu czapkę z głowy i rzuścić na ulicę. Jeżeli okazało się, że to Żyd, to go zastrzelili. U nich to była zabawa. Rozstrzeliwanie ludzi to była zabawa.

Ja mieszkałam niedaleko cmentarza. Na Unickiej był cmentarz. Codziennie jechały tam towarówki i na towarówce pełno ludzi do rozstrzelania. To już było prawie jak powszedni chleb. Prawie codziennie jechały tam towarówki, naładowane Żydami, ilu tylko mogli tam wepchać i rozstrzelali ich tam. Po kilku minutach słyszeliśmy kulmiot.

Zdaje mi się, że w Lublinie były takie roboty, na które chodzili ludzie, w tym mój Tatuś. Nie wiem,

kto je organizował, ale wiem, że zbierali dużo ludzi. Na ciężkie roboty. Musieli taszczyć jakieś worki, ja sama nawet nie wiem, co oni tam dokładnie robili. Nawet nie wiem, skąd mieliśmy pieniądze. Przecież mój Tatuś nie zajmował się już sadami. Ostatni raz, gdy się tym zajmował, to był 1938 rok. Raz jeden, pamiętam, Tatuś przyniósł jakieś stare ubrania i Mamusia je prasowała. Ja poszłam z Tatusiem na targ, żeby je sprzedać. Ubrałam się jak dorosła. To trwało jednak bardzo krótko. Niedługo po tym Niemcy otworzyli getto, a wtedy nic już nie mogliśmy robić. Wyobrażam sobie, że żyliśmy z tego, co mieliśmy w domu, z jakichś oszczędności, ale dokładnie tego nie wiem. Jednak osiem osób musiało coś jeść. Było dobrze, jak był jakiś kawałek chleba i Mama kupiła jakieś zamrożone, gorzkie kartofle. Pamiętam, że zrobiła z nich zupę, a ja

Lubartowska 3.  
Fot. Stefan Kielsznia.



powiedziałam: „Mamusiu, kartofle gorzkie”, a Mamusia odpowiedziała: „Jedzcie, jedzcie dzieci, bo nie ma nic innego”. Gorzkie, zamrożone kartofle.

Później Mamusia sprzedawała za grosze wszystko, co mieliśmy w domu. Za grosze sprzedawała jakieś futro, jakiś aksamitny kilim. Sprzedawała piękną szafę z rzeźbami, która rozbierała się na wiele kawałków. Sprzedaliśmy wszystko, co było w domu i z tego widocznie się żyło, dopóki rodzice nie postanowili, że musimy zostawić mieszkanie i uciekać. Wtedy wyjechaliśmy na wieś. Do getta nie weszliśmy. Gdybyśmy weszli do getta, to mnie by dzisiaj tutaj nie było. Ja bym dzisiaj tego nie opowiadała.

W tej wsi cała rodzina pracowała. Od największego do najmniejszego. Nie płacili nam, tylko dawali jedzenie: trochę kartofli albo trochę fasoli, żeby na kawałkach drzewa zrobić małe ognisko i co

ugotować albo upiec kilka kartofli. To był luksus. Albo dawali trochę mleka dla dzieci. To też był luksus. Tam siedzieliśmy przez jakiś czas, dopóki Niemcy nie przyszli i nie skatowali nas. Bardzo nas bili. Dwa razy. Po drugim razie już nas wieśniacy nie chcieli trzymać.

Pamiętam, pewnego razu już nie byliśmy wszyscy razem. Mamusia z trojgiem dzieci osobno, bo nas nie chcieli już razem trzymać. Umarł nam brat i pamiętam, że chciałam pobiec do księdza, bo ksiądz to był jedyny człowiek na wsi, który mógł pomóc też jak lekarz lub pielęgniarz. Podeszłam tam, gdzie ksiądz mieszkał, a tam siedzieli Niemcy. Nie mogłam już tam wejść. Gdy wróciłam, to mój brat umierał. Piękny dzieciak jak marzenie – blondas, duże, piękne, niebieskie oczy, zdolny, udany, ale trudno, odszedł...



Lubartowska 3.  
Fot. Stefan Kielsznia.

Nie mogliśmy go pochować, bo nikt z wieśniaków nie chciał zawieźć go na cmentarz, bo się bali. Pamiętam, że Mamusia coś tam jeszcze miała i dała jednemu kilka złotych i ten się zgodził. Jechał przez łąki, przez pola, nie przez drogi. Zawieźliśmy go na cmentarz i tam go pochowaliśmy. Był to cmentarz żydowski. Zdaje mi się, że to było aż w Ostrowie Lubelskim. Nawet dobrze nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że ludzie nam potem powiedzieli, że on sobie coś zasłużył u Boga, że go normalnie pochowali.

Polacy odnosili się do nas normalnie, bo im usługiwaliśmy. Tatuś pracował na maszynie tkackiej. Pięknie wyrabiał płótno. W Lublinie, w Muzeum Wsi można zobaczyć takie warsztaty tkackie. Tatuś był zdolnym człowiekiem. Wyrabiał wieśniakom piękne płótna. Trzymali nas dotąd, dopóki

mogli. Mam wrażenie, że gdyby nie było tak groźnie, to trzymaliby nas dalej. Sam fakt, że wiedzieli, że jesteśmy Żydami. Narażali się – wiedzieli, że nie wolno przetrzymywać Żydów, a jednak nas przetrzymywali do jakiegoś momentu. Byli też tacy, którym się nie podobało, że my tam jesteśmy, ale jednak nas trzymali.

Wtedy gdy nas tak pobili, musieliśmy się rozdzielić, bo nie chcieli już nas trzymać. Mamusia wzięła troje dzieci i poszła do jakiejś stodoły. Tatuś musiał się przechować gdzieś indziej. Siostrę przechowywał też ktoś inny. A ja wstałam pewnego dnia i powiedziałam, że pójdę do drugiej wioski gdzieś pracować. Tam mnie nikt nie znał.

Idę, już jestem na polu, już minęło pół dnia. Już jestem głodna i spragniona, ale idę. Raptem przede mną ptak – zdaje mi się, że to była jaskółka – za-

Lubartowska 3.  
Fot. Stefan Kielsznia.

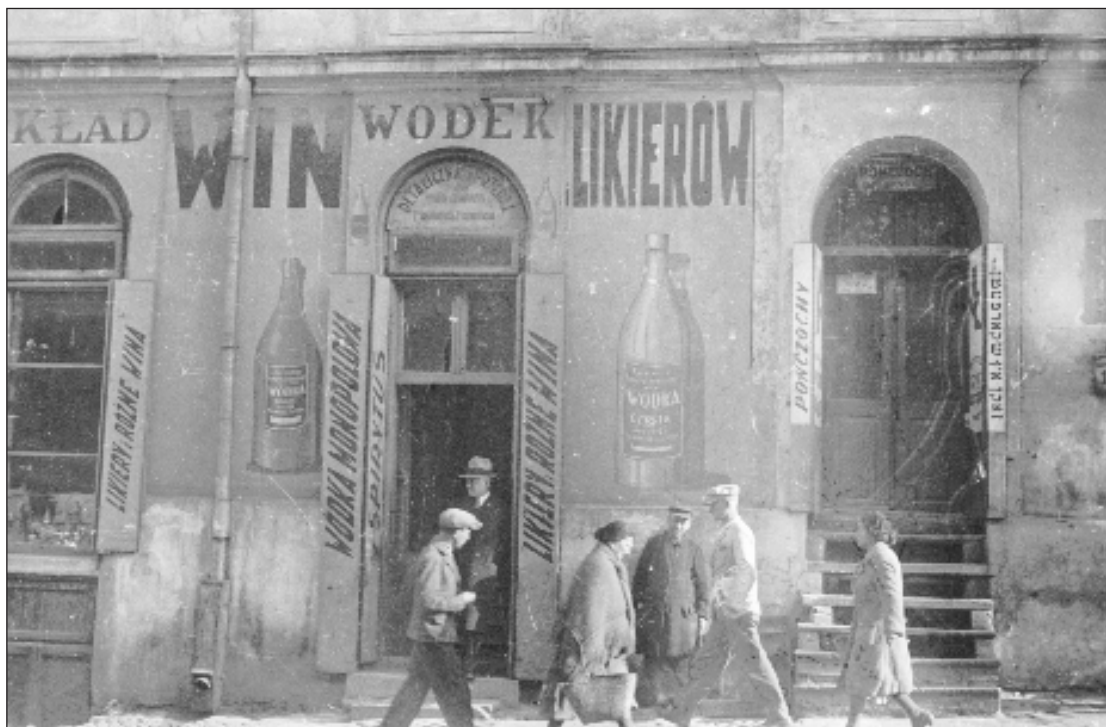


czyna robić takie ronda. Nie mogłam iść naprzód. Zaczęłam się strasznie denerwować, bo byłam przecież na polu. Już zaraz będzie po obiedzie i zanim dojdę do drugiej wioski, to będzie późno, a ten ptak mnie zatrzymuje. To ja sobie siadłam na bruzdzie i pomyślałam, że gdy usiądę, to on odleci. Wstałam, znowuż idę, znowuż ten ptak krąży przede mną. Znowu usiadłam i znowu ten ptak odleciał. Ja wstaję, idę, a ten ptak znowu krąży. Zapadał już wieczór, to gdzie ja pójdę w nocy. Dookoła Rozkopczewa były lasy. To takie miejsce, gdzie były tylko łąki i lasy, a gdzie ja miałam pójść w nocy sama jedna. Usiadłam i zasnęłam w przykucku, na bruzdzie. Rano wstałam i wróciłam do tej wioski, z której wyszłam i nie znalazłam rodziców, nie znalazłam nikogo. Słyszałam tylko, jak ludzie opowiadali, że w tej wiosce, do której miałam dojść, była rzeź.

Wybrali dużo ludzi, zabrali do takiego wąwozu i tam było rozstrzeliwanie.

Okazuje się, że, jak to się mówi, to było przeznaczenie, zbieg okoliczności. Ten ptak uratował mi życie. Gdyby ktoś dzisiaj opowiadał mi takie rzeczy, to bym powiedziała, że ten ktoś śnił o czymś. Opowiada banialuki. Ale mnie zdarzyło się to osobiście. Ten ptak uratował mi życie!

Nazajutrz kręciłam się po tej wiosce i pytałam wszystkich: może widzieli moją Matkę, może widzieli dzieci. Przed wieczorem odnalazłam siostrę. Siostra wiedziała, gdzie są rodzice. Wtedy moja Mamusia powiedziała: „Nie możemy się nigdzie utrzymać. Pójdziemy do Łęcznej”. Zebrała dzieci i powiedziała do mnie i do mojej siostry: „Trzymajcie się razem dzieci, jak nie wiadomo, jak długo my będziemy żyć”.



Lubartowska 1.  
Fot. Stefan Kielsznia.

Muszę się jeszcze cofnąć. Gdy uciekaliśmy, widzieliśmy, jak Niemcy wkroczyli. Raz Niemcy weszli do tej wsi i musieliśmy uciekać. Mamusia wzięła małe dzieci, a my z siostrą z drugiej strony. Mamusia uciekała w stronę łąk. Za nią gonili polscy policjanci i zaczęli strzelać w ich kierunku. Strzelali im w nogi.

Tego samego dnia złapali moją Matkę z dziećmi i zapytali ją: „Co ty się Żydowico tutaj kręcisz? Czego ty szukasz? Szukasz śmierci? To chodź, to my cię rozstrzelamy”. Mama bardzo ich prosiła: „Zlitujcie się nad tymi dziećmi” i jakoś wyprosiła, że ani jej, ani dzieci nie rozstrzelali. Ten obraz nigdy nie zniknie z mojej pamięci. Ja nigdy o tym nie zapomnę. Stałam z drugiej strony i oni nie wiedzieli, kim my jesteśmy z siostrą. Myśleli, że jesteśmy dziećmi ze wsi. Stałam i widziałam, jak Matka szła z dzieć-

mi. Widziałam, jak oni strzelali do rodziców. W ogóle nie zastanawiałam się, że mogą ich zabić. Bo dla mnie wtedy pojęcie rozstrzelania nie było pojęciem zabicia. Ktoś strzela, tylko strzela.

Wróciłam z siostrą do rodziców. Siedzieli w stogu słomy. To była ich kryjówka. Rodzice postanowili, że idą w stronę Łęcznej, a my z siostrą w drugą stronę, do Lublina. Początkowo jednak wszyscy szliśmy w stronę Łęcznej. Byliśmy na polnej drodze, gdy z daleka zobaczyliśmy furmankę z dwójką koni. A wszyscy wieśniacy, którzy mieli dwa konie, musieli jednego oddać na kontyngent. Więc kto jechał dwójką koni? – tylko Niemcy. Wtedy Mamusia powiedziała: „Niemcy jadą!” i błyskawicznie rozeszliśmy się: Matka z Ojcem i trójką dzieci w jedną stronę, a my z siostrą w drugą. Bez pieniędzy, bez żywności, bez niczego. Od tamtej pory nie

Lubartowska 1.  
Fot. Stefan Kielsznia.



wiem, co się stało z rodzicami, co się stało z dziećmi. Nic. Jakby zapadli się w przepaść.

Szłyśmy z siostrą przez różne wioski. Ja nawet dzisiaj nie wiem, jak daleko może być z Rozkopcze do Lublina. Po drodze było jezioro i tam doszłyśmy. Moja siostra była bardzo mądrą dziewczyną. Powiedziała do mnie: „Jeżeli chcesz stać tutaj, to stój. Ja idę”. Stałam i mówiłam sama do siebie. Patrzyłam na to jezioro i widziałam siebie jak w lustrze i zaczęłam płakać: „Mamusi, ja chcę do ciebie”. Zaczęłam wstępować do wody. Chciałam się po prostu utopić. Szłam i czułam, że ziemia była grząska i w ostatniej chwili, błyskawicznie przeszło mi przez myśl, że jeżeli się teraz utopię, to nikt mnie nie zobaczy. Komu ja coś powiem? Cofnęłam się i zaczęłam krzyczeć do siostry. Ona powiedziała mi wtedy: „Jeżeli chcesz zostać, to zostań. Ja idę.

Nie ma czasu, wieczór zapada”. Biegłam za nią i krzyczałam: „Rachel, Rachel, poczekaj na mnie!”, a ona wtedy odpowiedziała mi: „Ja nie jestem Rachel, ja jestem Marysia”. Wtedy zaczęłyśmy się nazywać różnymi imionami. Co jakiś czas zmieniałam swoje imię.

Wracałyśmy do Lublina. Weszłyśmy do jakiejś wioski. Nawet nie pamiętam jakiej i szukałyśmy gdzieś noclegu. Doszłyśmy do jakiegoś domu i wtedy zaczęły strasznie szczekać psy. Słyszałyśmy, że ktoś otwiera drzwi i zaczyna krzyczeć: „Do cholery! Kto tam się kręci! Psy szczekają, a nikogo nie widać!” Tam był blisko lasek.

Dzisiaj wyobrażam sobie, że ci ludzie myśleli, że to może ktoś z lasu, może partyzanci? Ludzie bali się tak samo partyzantów jak Niemców. Partyzantów się bali, bo przychodzili rabować, brać żyw-



Lubartowska 1/3.  
Fot. Stefan Kielsznia.



ność. Gdy ten człowiek krzyczał, my poszliśmy dalej. Za stodołą znalazłyśmy stóg i tam przespałyśmy się w słomie. Nad ranem znowu szłyśmy, znowu w stronę Lublina.

\* \* \*

*Na tym kończy się ciągła relacja Reginy Winograd. Wspomnienia wywołały w niej napływ emocji i wzruszeń i nie mogła już dłużej opowiadać. Dzień wcześniej, przed nagraniem relacji, gdy rozmawialiśmy o jej wspomnieniach i co powinno znaleźć się na kasecie, Regina opowiedziała mi w skrócie o swoich wojennych losach. W ten sposób dzisiaj mogę również w skrócie uzupełnić tę relację o dalsze koleje jej życia.*

*Tulając się z jednej wsi do drugiej, spotykając na swojej drodze bardzo różnych ludzi, wraz z sio-*

*strą dotarła do Lublina. Było to późną jesienią 1942 r. Bez dokumentów, wykorzystując jedynie własny tupet, doskonały aryjski wygląd i dobrą polszczyznę, siostra Reginy zdobyła w lubelskim Arbeitsamt (Niemiecki Urząd Pracy) skierowanie na roboty do Rzeszy. W czasie zdobywania tego dokumentu podała Niemcom informację, że pochodzi z terenów wcielonych do Rzeszy, jej rodzice zginęli w 1939 r., a wszystkie dokumenty spłonęły w czasie nalotu. W ten sposób Rachela Milsztajn znalazła się jako Polka w obozie przejściowym przy ul. Krocymalnej, skąd odprawiano transporty z przymusowymi robotnikami.*

*Przed samym Bożym Narodzeniem 1942 r. jej transport odjechał w stronę Halle w Niemczech. Siostry przez cały czas kontaktowały się ze sobą, aż do momentu wyjazdu Racheli na roboty. Ostatnie spo-*

Lubartowska 5/7.  
Fot. Stefan Kielsznia.



tkanie odbyło się na dworcu kolejowym w Lublinie, gdy pociąg już odjeżdżał. Rachela krzyknęła wtedy do Reginy, machając jej ręką na pożegnanie: „Wanda Dąbrowska!” Miało to oznaczać, że od tej pory tak będzie się nazywać. Regina nigdy więcej nie spotkała już siostry, chociaż po wojnie jej poszukiwała. Ma jednak nadzieję, że być może Rachela żyje gdzieś na świecie, właśnie jako Wanda Dąbrowska.

W kilka tygodni później Regina sama zdobyła dla siebie skierowanie na przymusowe roboty do Rzeszy, gdzie przeżyła szczęśliwie wojnę jako Polka. W polskim środowisku ratowały ją: posługiwanie się wiejską gwarą (zbyt dobre mówienie po polsku też było podejrzane) oraz fakt, że wysyłała listy do znajomych, którzy mieszkali w podlubelskiej wsi. Było to jej alibi, że ma w Polsce rodzinę, od której otrzymuje odpowiedzi.

Po zakończeniu wojny do Polski już nie powróciła. Z Niemiec trafiła do Szwajcarii, gdzie zupełnie przypadkowo spotkała swojego przedwojennego koleżę z Lublina, Matysa Winograda, który mieszkał

również przy Rogatce Lubartowskiej, tyle że w sąsiedniej kamienicy. Dużo starszy od niej, teraz zaopiekował się nią. Efektem tego spotkania był ślub. W 1949 r. obydwójce przyjechali do Izraela.

Obecnie Regina Winograd, już jako wdowa, mieszka w Bat-Yam nad Morzem Śródziemnym, miście położonym w telawiwskiej aglomeracji, z wielkim oddaniem opiekując się osieroconą wnuczką. W Lublinie były obydwie w 1997 r. Dla Reginy była to sentymentalna podróż w poszukiwaniu miejsc z dzieciństwa oraz w poszukiwaniu dokładnej daty urodzenia. Regina wie bowiem tylko tyle, że urodziła się w 1927 r. Nie zna ani dnia, ani miesiąca swojego urodzenia. By móc obchodzić urodziny, wybrała sobie datę 8 października.

Będąc w Lublinie, nie chciała być na Majdan-ku. Nie zdecydowała się również na podróż do Rozkopaczewa. Odwiedziła jednak swoją kamienicę, która stoi do dzisiaj. Poza jedną staruszką nie spotkała już nikogo ze swoich dawnych sąsiadów. Lublin jednak nosi w sercu do dzisiaj.

Spisał i opracował: Robert Kuwałek

Barbara Odnous

## STRAŻNIK CMENTARZA

Żydzi żyli w Polsce ponad 500 lat. Pół wieku wystarczyło, by zostali wymazani z narodowej pamięci. Pozostawili jednak coś, czego się nie da zabrać ze sobą, a co trudno jest zniszczyć – kirkuty. Jeden z nich w Lublinie.

Cmentarz otoczony jest wysokim murem z czerwonej cegły. Zaglądam przez furkę.

– Pozwoli pan, że coś przeczytam: *Przez małą furkę wchodzimy na właściwy cmentarz. Ścieżka wije się między darnią zacienioną zaroślami i drzewami i wspina się coraz bardziej stromo ku górze. Z początku nie widzimy żadnych nagrobków, ale im wyżej wspinamy się, tym spotykamy je częściej. Jedne stoją prosto, inne krzywo, a najczęściej leżą po prostu na ziemi przykryte w połowie kurzem i ziemią. Im wyżej, tym bardziej gęsty staje się las, a chaszcze bardziej nieprzenikliwe. [...] Wkrótce osiągamy grzbiet wzgórza, ciągnący się wzdłuż całego cmentarza. Stąd rozpościera się przed naszymi oczyma wspaniały widok na wszystkie strony. Na północy widać domki przedmieścia Kalinowszczyzna, od południa wznoszą się wieże Starego Miasta i potężne blanki zamku.*

– Ładne. To pani napisała? Pani tu już kiedyś była?

Wchodzimy. Ścieżka wije się między darnią zacienioną zaroślami i wspina stromo ku górze.

– Nie. Znalazłam ten opis w książce Majera Bałabana.

Żydowski historyk pisał te słowa w 1918 r. Niesamowite, tu się chyba nic nie zmieniło, tak jakby świat za tym murem nie podlegał prawom czasu

Po lewej stronie pierwszy nagrobek.

–...u nas się mówi macewa. To jest najstarszy nagrobek. Kopelmana.

– Jakub Halewi Kopelman, czyli Jakub Polak. Uczony talmudysta, pochowany w 1541 r. Tak mówi o nim Bałaban. Ma 451 lat.

– To jest najstarsza macewa w Polsce i to jest najstarszy cmentarz. Tu już w tym stuleciu nie kładli. To był piękny cmentarz. Pamiętam go sprzed wojny.

Pierwszy raz uniknął śmierci z Majdanka.

– Przez parę miesięcy byłem na Majdanku, kiedy go tylko zaczęli budować. Z getta w Lublinie mnie wzięli. Jak uciekłem? Miałem trochę dolarów przy sobie. Wywieźli mnie takie, co wozili beczki z gównem – za przeproszeniem. Szambo. Pani wie, jak ja śmierdziałem?

– Pan pochodzi z Lublina?

– Nie, jestem z Piask. Małe miasteczko, jak szosa na Zamość idzie. Myśmy mieszkali przy ul. Lubelskiej, główna ulica. Stoi ten dom do dzisiaj, a drugi się spalił. Na parterze były sklepy, a na piętrze się urodziłem. Widziałem te okna po wojnie.

Jestem z Piask, ale byłem tu przed wojną. Chciałem obejrzeć cmentarz. W Lublinie żyło wtedy ponad 42 tys. Żydów, było 38 synagog. Pani sobie wyobraża? „Polska Jerozolima” – tak mówili. Teraz jest jedna bożnica, Lubartowska 10. Była pani tam? Ilu jest Żydów? W całej Polsce? Mówią, że 6 tys. Żydów tu jest. Ja bym nie powiedział. Tych prawdziwie religijnych w Lublinie jest około siedmiu. Brakuje trzech, żeby się pomodlić w bożnicy. Powiem pani, jak się nazywają, po imieniu: Honig...

– To pana prawdziwe nazwisko?

– Prawdziwe nazwisko.

– A imię?

– Józef. W metryce pisałem się Josef. No to Józef. Honig Józef. Moi rodzice tak się nazywali. Chcieli mi kiedyś zmienić, ale ja mówię – nie. Co, to

kiepskie nazwisko? Honig, czyli miód. A więc Honig, stary Zac, co ma 86 lat.

– Wiem, taki typowy Żyd-tulacz, widziałam go.  
– Honig, Zac, Szmulewicz, Adler, Munisch, Littman, Altman.

– A kobiety?

– Są. Więcej nawet jest kobiet, bo dłużej żyją.

– A te dwa nagrobki?

– Te to nie. O, ten! Do tego, to przyjeżdża cały świat. Pani wie jak on się nazywa? Choze. Widzący z Lublina.

– Jakow Icchak Horowic, lubelski cadyk i cudotwórca o wielkiej sławie.

– On nie jest taki stary. Ma pani – 1815 r. On ma 176 lat, znaczy młody. Do niego przyjeżdża cały świat i do niego kładą papierek, i proszą Boga.

Dwa lata temu chorowałem, jak mówią „nóż na gardle” i przyszedłem się pomodlić, i jakoś wyzdrowiałem. Ja nie byłem taki religijny, ale jak do Izraela pojechałem, to mówili: „Honig pamiętaj! Jak chory będziesz, to proś Boga.” I wyzdrowiałem. Czy to cud? Ja wierzę tylko w cud. Że żyję, to wierzę, że to cud.

Niemcy likwidowali getto w Piaskach. I do takiej szopy, gdzie weszłoby może 500 osób, wsadzili ze dwa i pół tysiąca. Dzieci, starzy, wszystko. Dużo się podusiło. Trochę Żydów zostawili do pracy. Z kenkartami. Ja nie mam kenkarty. Waham się. Niemiec pokazuje – ty tu, ty tam, ten tu, ten tam, a ja szybko i krok na prawo. Ryzykuję. Niemiec nie powiedział: „chodź tutaj”. Gdyby powiedział: „chodź tutaj”, już bym nie żył. Zagonili nas na podwórze. Był taki



Fragment kirkuta na Kalinowszczyźnie. W głębi, jako ostatni, nagrobek Szaloma Szachny, założyciela i rektora jeziwy lubelskiej w XVI w. Fot. Stanisław Turski.

bogaty Żyd w Piaskach. Hochman się nazywał. Młyn miał w samym mieście. To było jego podwórze. Tam było więcej niż dwieście osób. Niemiec coś przemawiał. Myślę sobie, teraz to już koniec. Teraz zbada te dwieście, kto nie ma kenkarty, weźmie pistolet i zastrzeli. Ale Niemcy już byli zmęczeni i kazali nam wrócić do getta. Poszedłem do naszego domu. Nikogo już tam nie było. Wszystko poszło na Bełżec. Słyszała pani Bełżec?

Przychodzę, rozumie pani, w nocy i jestem z jakimś głuchym Żydem. Pałła się taka mała lampka, a palić nie było wolno, bo to 1943 r. i wojna z Ruskim. Wpadają Ukraińcy. Światło, to tamto, tego i dawaj nas pod ścianę. Nie rozumiałem, co mówią,

o co im chodzi. Nareszcie któryś pyta: „diengi, a diengi masz?” Parę groszy miałem i paczkę papierosów. To nas uratowało.

– Ukraińcy?

– Oni pracowali dla Niemców. Po dwóch tygodniach znowu okrążyli getto. Szczęśliwie byłem wtedy w naszym domu, poza murem getta to było. Zdążyłem dobiec do płotu i przed siebie.

Żyd jak przyjdzie, może wszędzie nie dojść, ale tu dojdzie. To nie ma, żeby nie doszli do „Choze-go”. A te karteczki... to są intencje, nazwiska. Ja je zakopuję. Zakopałem kiedyś ze dwa kilo tych karteczek. Do Szachne też podchodzą. To jest Szachne. Niech pani zobaczy, ile ma lat.

– Szalom Szachne, rabin, senior wszystkich Żydów w Małopolsce, leży tu od 1558 r.

– Do niego też kartki kładą.

– Ta macewa wygląda na nową. Taka prosta, nie zwieńczona półkuliście i nie ozdobiona najmniejszym detalem.

– To stara oryginalna płyta, wszystko oryginalne tylko odnowione. Oni jak przyjeżdżają, to nie oglądają nowych rzeczy, nic. Ten cmentarz im się strasznie podoba. Im się strasznie podoba, że to jest oryginał. A pani wie, ile było okradzionych cmentarzy? Ile macewy jest u chłopów? Niemcy brukowali nimi drogi i chłopcy też zabierali. Co się dziwić, jak nikt tego nie pilnował.

– O, jacyś chłopcy idą.

– Po co tu? Po co? Jak to do domu? Przez cmentarz do domu? Widzi pani, z drugiej strony jest furta. Zamknięta, ale co z tego i tak chodzą.

*Przez dwa stulecia franciszkanie dawali się Żydom mocno we znaki. Raz zrobili wylom w murze cmentarnym, kiedy indziej wymusili sobie przejście przez cmentarz do przyklasztornego ogrodu – przypomniał mi się fragment z opisu Majera Bałabana. Historia lubi się powtarzać.*

Historia Honiga Józefa również.

– I później byłem złapany do Bełżca. W Bełżcu widziałem jak mamusia i dwie siostry szły do pieca. To wszystko cały czas mi w oczach jest i nie mogę tego zapomnieć. Widziałem, jak się trzymały

Macewa z kirkuta przy Kalinowszczyźnie. Fot. Stanisław Turski.



za ręce. Jedną drugą. Uciekłem w garniturach. No-  
silem ubrania do pociągu, tych co poszli do gazu.  
Przyszedł nowy transport i Niemcy gubili się tro-  
chę. Tam były pełne wagony ubrań. I myśmy się  
zakopali w te szmaty. Trzech nas było. Pociąg szedł  
do Lublina. Wiedzieliśmy to, bo słyszeliśmy, jak  
krzyczeli nazwy na stacjach. Potem wylamaliśmy  
deskę w podłodze i ucieczka.

Tu leży Horowic. Azrol Halew Horowic, zago-  
rzały wróg cadyków, szczególnie Widzącego. Nazy-  
wali go rabin „Żelazna Głowa”, że miał taką głowę  
jak żelazo. I świat o tym wie. Kiedy mówię: tu leży  
rabin „Żelazna Głowa”, w Ameryce, w Belgii, w Ho-  
landii te religijne wiedzą, i dlatego wstępują tu.

– A młodzież? Widziałam, z okazji Marszu Ży-  
wych, setki młodych Izraelczyków w tym miejscu.

– Oni przyjeżdżają do Polski jako na cmentar-  
zysko. Była pani na Majdanku? Ja nie mogę jechać  
na Majdanek. Ja już byłem ze 20 razy i kiedy wrac-  
cam do domu, to jestem chory. Oni pokazują mło-  
dzieży, co Niemcy robili z Żydami. Oni pokazują  
oryginał, te czapki, te buty, napisane, gdzie do pieca,  
gdzie zęby wybijali. Jak mają czas, to oglądają Sta-  
re Miasto i Kazimierz. Oni bardzo lubią Kazimierz.  
Ich inne zabytki nie obchodzą.

Majdanek, Bełżec i na końcu mnie złapali do  
Trawnika. Byłem tam parę miesięcy i śniło mi się, że  
niedługo okrążą getto. Tam była taka piekarnia i mó-  
wili, że kto ma chody i ma gdzie uciekać, niech  
idzie do roboty w piekarni, bo tylko stamtąd moż-  
na uciec. A ja tam każdy kąt znałem. Brygadier po-  
wiedział tylko: „uciekaj i żyj”. Potem się ukrywa-  
łem. Zima była, trzydzieści parę stopni, i wcale się  
nie przeziębilem, nie zakasłałem nawet. Ale młody  
byłem.

Raz siedziałem w takie miejsce, gdzie Niemcy  
byli w majątku, a ja w oborze, na górze. Trzy dni  
nic w ustach nie miałem. Wszy mnie gryzły, gnidy  
mnie gryzły. Potem dostałem się do partyzantki,  
osiem miesięcy w lesie, na Lubelszczyźnie. Chmiel,  
Pieczków – może pani słyszała? Żydowska samo-  
obrona.

– Czy ktoś z Polaków pomagał panu w tym  
czasie?

– Pomagali, niektórzy pomagali. O nas też raz  
oskarżyli chłopą. Wtedy z ojcem i bratem byliśmy.  
Ten chłop potem zginął, tylko że to był głupi chłop.  
Miał paru bogatych Żydów i dawali mu pieniądze.  
Darmo nie chciał trzymać. Jak trzymał za pienią-  
dze, to też dobrze. Jeść trzeba, za okupacji to była  
bieda. A chłop chodził i pił. To była mała wioska.  
Pije, więc na pewno Żydów trzyma, i przyjechali  
Niemcy. Nam to zrobił piękną kryjówkę, bo my-  
śmy mu postawili dom. Była wykończona kuchnia  
i sień, i spiżarnia, a myśmy pod spiżarnią siedzieli,  
a wychodziliśmy w nie wykończonym pokoju. Po  
nas też przyjechali, ale wtedy nie znaleźli. A sio-  
stra, popatrz pani, była w kryjówce u chłopą i ktoś  
oskarżył.

Piękna była – czarna, niebieskie oczy, biała  
twarz. Salka się nazywała. I miała takie piękne dziec-  
ko. Luska. Szwagier też był piękny chłopak. Przed  
wojną służył w 24 pułku ułanów w Kraśniku. I to  
dziecko urodziło się jak raz przy samej wojnie,  
w 1939 r. Na wsi się ukrywała i ktoś oskarżył. Przy-  
jechała granatowa policja. Ją do kozy, a dziecko  
wyprowadzili na kirkut w Piaskach i.... Podobno  
rodzina jakaś oskarżyła.

I karę śmierci dali takiemu dziecku! Uciekła  
z getta! Z takiej gehenny! Ukrywała się z tym dziec-  
kiem przy sobie i ktoś oskarżył! To nie mogę tego  
zapomnieć.

Kojący głos ptaków i zapach czeremchy towa-  
rzyszczą nam cały czas.

– Oprowadzałem dzisiaj Niemców. Mówili, że  
jak byli wszędzie, to takiego cmentarza nie spotka-  
li. On niby stary, niby zniszczony, ale on pasuje.

– To jest rabin, który był bardzo bogaty. Nie  
pamiętam, jak się nazywał. I ten pomnik był bar-  
dzo piękny. I Niemiec w 1942 r. przeszedł tędy  
w marcu, dokładnie 15 marca. I coś mu się nie  
spodobało i strzelił. Z karabinu strzelił.

Oglądam z bliska ślad po kuli. Jakbym wkłada-  
ła rękę w ranę. Pierwszy raz widzę rozstrzelany  
nagrobek. Niemiec zmarnował kulę. Wierzę, że była  
to kula dla Honiga Józefa.

– Raz w kryjówce zachorowałem. Dostałem ta-  
kiego skurczu w nogach, że chodzić wyprostowa-

ny nie mogłem. Prosiłem wtedy brata, żeby mnie zastrzelił. On miał pistolet. Kiedyś zasnąłem. Budzę się i patrzę, a tu mamusia do mnie idzie. A mamusia już wtedy w Bełżcu była, już nie żyła. Jak ją strasznie kochałem. A tu mamusia do mnie idzie, cała w czerni i mówi: „Józiu, ty się nic nie bój. Ty przeżyjesz, bo ja cały czas przy tobie jestem”. I tak mi rękę położyła z tyłu na szyi. Poczulem zimno i nagle mnie się nogi same podniosły. Do dzisiaj nie wiem, co to było. Ale ja ją widziałem! Tak jak teraz panią widzę.

Osiągamy szczyt wzgórza. *Obok rektorów, rabinów, starszych kabalnych itd., na cmentarzu tym spoczywają słynni lekarze, słudzy dworu królewskiego, wielcy kupcy i wszyscy ci, którzy odegrali jakąś rolę w życiu gminy i żydostwa. Teraz ziemia skrywa ich prochy, a czas i wichry powykrzywiały lub nawet zupełnie powywracały nagrobki [...]. Stopniowo wietrzeją i zacierają się bogate ornamenty na kamiennicach: lwy i leopardy, lichtarze i korony, powalone drzewa i otwarte księgi i alegoryczne postacie, a w większości przypadków napisy są już zupełnie nieczytelne.* Niezastąpiony Bałaban. Czyżby widzący?

– Wojnę przeżyłem z ojcem i bratem. W 1945 r. zabili mi brata, w 1946 ojca. Tacy, co im się ustrój nie podobał. Mało ja też nie zginąłem. Za to, że Żydem jestem. Tu „Znicz” taki był. Jak oni trafili Żyda, jak mnie, to nie wiem, jak ja uciekłem. Jechałem na jarmark do Piask, furmanką, okazyjnie. PKS-u wtedy nie było. Zatrzymali mnie i mówią: „Za to, że jesteś Żydem...”, a ja mówię: „...panie, za co mnie pan chce zastrzelić?” i przed siebie. W płaszczu byłem, płaszcz mi się rozwija i czuję jakbym leciał. Myślę sobie: najlepiej jak mnie w locie zabije. Myślę sobie: „Boże, może zostaną raniony chociaż, żeby wyjść z tego”. Ja byłem silny chłop i szybko biegąłem, i dzisiaj jeszcze mam chody. Życzę pani, żeby w takie lata, miała takie chody jak ja. Skończyłem 70 lat.

Co ja przeżyłem w swoim życiu, to pani połowę opowiadam. Nie chce mi się wierzyć. I w nocy mi się śni do tej pory, to blisko 50 lat, i kiedy się budzę, szczęśliwy jestem.

Nie mogę zapomnieć to dziecko, nie mogę zapomnieć matki i w oczach mi to wszystko jest. I płacz nie pomoże, i nic nie pomoże. Sam sobie nie wierzę w to. Jak ja chodziłem, po cichutku rozmawiałem, żeby mnie nikt nie widział, tylko szu, szu, szu... Że, żyję to wierzę, że to cud.

I widzi pani. Jeżeli by nie było Izraela, to na całym świecie Żyd nic nie jest wart. Niech tu jakiś będzie pogrom na Żyda, to już Izrael wie o tym. Chociaż ja tu jestem urodzony, już on krzyczy. Taki mały Izrael i on wszystkich Arabów się nie boi. Tu był jeden. Ze mną rozmawiał i mówi: „Honig, Honig, żeby myśmy byli tak jak teraz, toby Niemiec tak nas nie bił.”

To jest Maharszal, rektor pierwszej jesziwy, akademii talmudycznej w Lublinie. Cały świat go zna. Do niego też zachodzą, ale rzadziej. Jak mają dużo czasu.

Jak radziłem sobie po wojnie? Wynajmowałem konie, trochę się handlowało, jako kuśnierz pracowałem, bo ja się znam na futrach bardzo. Potem siedziałem w więzieniu, w Mokotowie, w Strzelcach Opolskich i na kopalni, a ja miałem takie ręce, że szpadla nie trzymałem, a nie wolno było pracy odmówić. Poszedłem za nic. Napisali mi potem, że jestem wrogiem dla Polski Ludowej. W 1968 roku zostałem syjonistą. Ja nie wiedziałem, co to znaczy. Pytałem się, kto to jest ten syjonista. Jechali wtenczas. Żałuję trochę, że nie wyjechałem. Smutne to życie dzisiaj, tutaj. Miałem wszystko załatwione, ale mieszkanie dostaliśmy i żona się nie zgodziła. I tak już zostało. Poza tym ja się tu urodziłem. Ja jestem Żydem, ale ja jestem Polakiem. Tu zginęła cała moja rodzina, to jak ja mogę wyjechać i ich zostawić. Ja ich tu pilnuję.

– Od kiedy opiekuje się pan kirkutem?

– Od 23 lat, jak tu się sprowadziłem. Mieszkam akurat naprzeciw, na pierwszym piętrze, tak że widzę go dokładnie.

– Czy to był przypadek, że pan tu zamieszkał?

– To było przeznaczenie dostać tutaj mieszkanie. Za to, że ja pilnuję ten cmentarz, pojechałem do Izraela i nic mnie nie kosztowało. Hotele, jedzenie, nic. Oni mówią tam: „Pan się oprowadza,

pan porządek robi”. I tylko proszą, żeby go pilnować. Ja mogę w każdej chwili jechać. Kiedy zechcę, i z żoną.

– Jak to się zaczęło? Czy pan sam się zobowiązał do tej opieki, czy ktoś to panu zaproponował?

– Kiedy Żydzi zaczęli przyjeżdżać, to nikt ich tu nie mógł zrozumieć, tylko ja. Z tym, że ja po hebrajsku nie umiem, tylko w jidysz. „O, to pan Żydem jest?” A jestem. „Jak się pan nazywa?” Honig Józef. „A pan tu sam jest?” Mieszkam tutaj. „A one wiedzą, że pan Żydem jest?” Wiedzą. „I jak na pana wyglądają?”

Oni myślą, że Polacy to nie lubią Żydów. Czasami nalegają, żebym powiedział coś złego. A co ja mogę powiedzieć? Mieszkam tu 23 lata i nikt mi krzywdy nie zrobił. I wszyscy mi się kłaniają Pan S. tu mieszka i jego córka. Ona mnie woła papa. Tu maleńka dziewczynka mieszkała. Zawsze do mnie wujek mówiła. Miała 5 lat – wujek, 10 lat – wujek, 20 lat – wujek. Teraz ma dziecko i to dziecko woła – wujek. Jak ja byłem wujek, to ja jej kupiłem piękny prezent na wesele. Kiedy dziecko poszło do szpitala, przeżyłem strasznie. Poszedłem się modlić do „Chozego”. Ja już nie wierzę, w nic nie wierzę, ale poszedłem. Myślałem, może to coś pomoże. I pomogło.

To jest ciekawy nagrobek kobiety cadyka. Kobiety mogły być cadykami. Ta całe życie mieszkała w Krakowie, ale chciała być pochowana tutaj. I ją przywieźli.

– Pana żona nie jest Żydówką?

– To kobieta, która mnie dużo pomogła. Tak się umęczyła ze mną, gdy chorowałem. Gdyby nie ona, może bym już nie żył. Moja żona nie jest Żydówką. Dla mnie nie ma nacji. Mieszkamy razem trzydzieści parę lat i jakoś nie było nieporozumień. Chce do kościoła, idzie do kościoła. Ksiądz przychodzi po kołędzie. Proszę bardzo. Wie, że ja Żydem jestem, ale moja żona sobie życzy.



Józef Honig przy nagrobku Jakuba Izaaka Horowica – Widzącego z Lublina.

Dzieci tylko na starość brakuje. Chciałbym mieć córkę i żeby mówili: „O, ta ładna, to Honigowa córka.” Tylko, że moje dzieci nie byłyby Żydami.

Ja nie wiedziałem tego. W Izraelu mówi mi taki jeden: „Józiu, twoje dzieci nie byłyby Żydami”. Ja mówię: „Co ty mówisz, nie byłyby Żydami? To lepiej. Z tego się nie martwię.”

– Zdaje się, że znowu ktoś do pana. Ktoś się kręci przy furcie.

– Do mnie? Samochodem? Jaka rejestracja?

– Widzę GDA, może z Gdańska.

– Halo, czy możemy zwiedzić?

– Jak pani myśli, wpuścimy?

– Wpuścimy.

...i oni mówią tak: „Panie Honig, pilnuj pan tego miejsca póki możesz. Pan tu jesteś ostatni Żyd. Zastępstwa już nie będzie.”



Ewa Czerwińska

## KOŁYSANKA DLA CYRLI

W każdą ostatnią sobotę miesiąca Leon Pomorski idzie na kirkut. Na schodku pod pomnikiem zapala lampkę. Tak przyrzekł Dobie. Doba z Australii pisze: (...) *w imieniu moim i mojej córki Estery z rodziną najlepsze życzenia na Boże Narodzenie oraz niezmierne podziękowania za uprzejme doglądanie memorjału* (pisownia oryginalna – przyp. aut.) *dla zamordowanych moich najbliższych*. Dała przez pośredników raz sto pięćdziesiąt dolarów, a drugim razem trzysta złotych. Za fatygę. Niektórzy w Głusku myślą, że Pomorscy na tym stawianiu świeczek zrobią majątek.

\* \* \*

Kirkut wygląda jak zagajnik. Najwięcej rośnie tam jesionów. Leon Pomorski mówi, że one wszystko pamiętają.

Po mydło i powidło chodziło się do sklepiku Chaima Akermana, a na śluby katoliczek przychodziły do głuskiego kościoła koleżanki Żydówki.

– I ja, i moja żona przyjaźniliśmy się z Żydami – mówi Leon Pomorski. – Ja kolegowałem się z Gitlą Akerman, Miccia – jeszcze wtedy moja narzeczona – z jej siostrą Fajgą. Tu, w Głusku, nie było nienawiści ani jakichś podziałów.

– W gimnazjum siedziałam w ławce z Lusią Makof, jej ojciec miał futra na Krakowskim Przedmieściu – wspomina Mieczysława Pomorska. – Pamiętam, że co dzień przed lekcjami my, katoliczki, odmawiałyśmy na stojąco modlitwę. Nasze koleżanki izraelitki stały razem z nami. Był szacunek. My też szanowaliśmy ich obyczaje.

A w Lublinie, na Nadstawnej pod numerem dwudziestym, Zajfštajnowie robili interesy. Kamienicznicy i kupcy zarazem sprowadzali do lubelskich warzywniaków owoce z krzczonowskich sadów.

Abram Lejb i jego żona Rywka mieli siedmioro dzieci. Chaim Zajfštajn, brat Abrama, był znanym lubelskim lekarzem. Stary Zajfštajn, ich ojciec, prowadził dwa duże sklepy – jeden na Nadstawnej, drugi na Szerokiej.

W przedwojennym Lublinie żyło czterdzieści tysięcy Żydów. Wojna napędziła nowych, z całej Europy i poupychała w ciasnych mieszkaniach Staro Miasta. Zajfštajnow – Abrama, Rywkę, ich córkę Cyrłę oraz ich syna Mosze z żoną Chaną – przesiedlono z Nadstawnej do pokoiku przy Rynku 1. Doba-Necha, najstarsza córka Zajfštajnow miała dobry wygląd i nowe nazwisko. Nazywała się teraz Zofia Górską, zajmowała handlem i mężem – Szyją Cukiermanem, który dobrego wyglądu nie miał. Dlatego znaczną część okupacji przesiedział w jednej z krzczonowskich piwnic. Po wojnie Cukiermanowie zamieszkali w Łodzi, a w 1947 roku wyjechali do Izraela. Dziś Doba wysła Pomorskim świąteczne życzenia z Melbourne. Ale zanim wyjechała z Polski, znalazła świadków, dzięki którym mogła zabrać ze sobą najcenniejszą rzecz: pamięć o rodzinnej tragedii.

Więc tego sądniego dnia, dziewiętnastego kwietnia czterdziestego drugiego roku młodsza siostra Doby, Cyrła, poszła zdobyć coś do zjedzenia. Oglądam ją na starej fotografii. Letnia sukienka w kwiatki na białym tle, włosy niedługie, ledwo zakrywają uszy, przedziałek pośrodku, buzia uśmiecha się do obiektywu. Wtedy, po powrocie do domu z wyprawy po kawałek chleba, jej twarz zamarła na widok grupy ludzi spędzonych na środku jezdnii pod kamienicą. Stali tam: Abram i Rywka, jej brat Mosze z Chaną. Prerażeni. I ona, zamiast odwrócić się od nich, ruszyła w kierunku grupy. Widzieliście ludzie coś takiego?! Aj, Cyrła, Cyrła, po coś ty do nich podbiegła? Przecież nie było cię na nie-

mieckiej liście. Dlaczego nie usłyszałaś, co szeptę ci sąsiadka, tylko uczepiłaś się ręki matki? A znajoma kobieta mówiła ci, że to nie przesiedlenie, tylko rychła śmierć. Dlaczego nie chciałaś tego usłyszeć?! Nawet Niemcy przepędzali cię kolbami karabinów, bo żadnej Cyrli Zajsztajn nie było w spisie. A ty uparłaś się. Ogłuchłaś. Miałaś powiedzieć: moje miejsce jest z moimi rodzicami, moją rodziną i moim narodem. I już. I zabrałaś się wraz z dwudziestoma siedmioma Żydami do jednej budy.

Jazda była krótka. Do Głuska tylko dziesięć kilometrów. Tamtejszy kirkut otaczały młode jesiony, pod nimi spoczywali wygodnie członkowie niewielkiej Gminy Żydowskiej, układani tam przez swoich od lat. Nowi wysypali się z ciężarówki. Abram próbował zapytać znajomego o możliwość noclegu dla swojej rodziny, Niemcy pobili go za tę bezczelność.

Leon Pomorski widział podjeżdżającą na kirkut ciężarówkę. Przez szpary w deskach stodoły zobaczył, jak Żydzi niezdarnie skaczą na ledwo zieleńjącą murawę.

– Zwłaszcza kobietom z małymi dziećmi na rękę było ciężko – odtwarza kadr po kadrze scenę na cmentarzu. – Niemcy kazali się wszystkim rozebrać. Nagich rozstrzeliwali po kolei. Razem padło dwadzieścia osiem ciał, w tym trzy drobiny w becikach. Żydzi głuseccy mieli przykazane posprzątać po egzekucji. Wykopali dół – grób...

Bez tego opowiadania Doba-Necha nie mogłaby spokojnie spać w tej swojej Australii. Nie byłoby też macewy. A ja nie siedziałabym dziś na tapczanie w małym domku państwa Pomorskich w Głusku i nie słuchałabym wspominków pani Mieci.

– Razu pewnego – opowiada Pomorska – przyjechało do Głuska, do Feliksa Anasiewicza, dwóch panów. Jeden był taki ładny... Przyszli też do nas, a ja miałam poznać, kto to. W wielu polskich domach naszej osady mieszkali na stancjach Żydzi, więc domyśliłam się, że ci goście to Izraelici. Poznałam Chaima Akermana. Był bardzo podobny do matki. Przyjechał na stare śmieci wraz z kolegą, również Żydem, ożenionym z Francuzką. Od niego dowiedzieliśmy się, że Fajga Akerman żyje

w Ameryce, a Gitla w Izraelu. Dostałam wielką bombonierkę i paczkę pomarańcz. Goście przekazali nam pozdrowienia od Doby Cukierman. Pamiętam, że polecałam do sklepu po jakąś drobiową wędlinę, bo chciałam ich ugościć, ale oni nie mieli za dużo czasu. Mówiłam do Chaima: opisz mi swoje dzieci. A on: co z tego, że u nas jest ciepło i pomarańcze rosną jak w Głusku kartofle, kiedy nasze dzieci są zagrożone. A ja mu na to: nie martw się Chaim, ty nie zapomniałeś naszej mowy, ty masz korzenie żydowskie, ale urodzenie polskie. A jemu zamglily się oczy.

Powspominali trochę. Chaim Akerman chciał nawet Leona Pomorskiego zabrać na wycieczkę do Izraela, ale pan Leon odmówił. Bo choróbska. Wspomnieli Dobę Cukiermanową.

Przed dwoma laty na głuskim kirkucie stanął kamienny pomnik, ufundowany przez najstarszą córkę Zajsztajnow, dla upamiętnienia zagłady jej rodziny dziewiętnastego dnia kwietnia trzeciego roku wojny. I innych, których ostatni akt życia rozegrał się na głuskim kirkucie, pod jesionami, na oczach młodego Leona, któremu tragedię kadrowały deski stodoły.

Macewę zaprojektował architekt Stanisław Machnik. Na uroczystość odsłonięcia pomnika przyjechała z córką Doba Cukierman, którą ocalił dobry wygląd. Zebrani odmówili kadisz. Doba poprosiła Pomorskich, aby w każdą ostatnią sobotę miesiąca zapalali przed nagrobkiem świeczkę.

– Więc widzi pani, że nie za darmo to robimy – zaznacza Leon Pomorski. – Obiecaliśmy, to palimy. A nawet, gdyby nie przesyłali pieniędzy, to też będziemy palić. Nie zbiedniejemy.

– Są i krytycy. Mówią, że my majątek na tym zrobimy – dodaje bez żółci pani Mieczysława. – Przecież jakby ktoś poprosił o opiekę nad grobem katolickim, to nikogo by to nie zdziwiło. Ale my opiekujemy się nagrobkiem żydowskim... Kościoła się przez to nie wyrzekamy.

I pani Miecia wzdycha, bo przypomina jej się ksiądz Grzegorz Pawłowski, przed laty wikariusz w głuseckiej parafii, dziś – w kościele katolickim w Jaffie.

– Jak on się, kochasiu, pięknie modlił, mówię pani – uśmiecha się Pomorska do wspomnień. – Mówił: mama, gdy mnie Chrystus zwolni, wrócę do ciebie. Mówił tak do swojej żydowskiej matki, bo on był Żydem uratowanym z getta i wychowanym przez zakonnice w Lublinie. I na KUL-u jest taki mądry ksiądz, także jako żydowskie dziecko uratowany z zagłady...

Życie lubi się czasem poplątać i zapędzić w kozi róg stereotypy, żeby nie było nudno. A Leona Pomorskiego zawsze bolało serce, kiedy ludzie trzebili

z jesionów głuscki kirkut. Jako radny i strażnik przyrody postawił sprawę opieki nad żydowskim cmentarzem na Radzie Gminy. Wszyscy go w okolicy znali, nic się w Głusku bez Pomorskiego nie obyło. Społecznik z krwi i kości. Zainteresował kirkutem szkołę; dzieciaki posadziły na nim akacje.

– I tak się włączyliśmy niechcący w tę opiekę – przyznaje Leon Pomorski. – Nikt nas nie zmuszał ani nie namawiał. Taki normalny ludzki gest. Jak ja w tym roku trawy skosić nie mogłem, bo już nie ta siła, to syna poprosiłem. Człowiek musi mieć to sumienie.

## WIERZYŁEM, ŻE SIĘ UDA

Urodziłem się 13 stycznia 1913 roku w Rawie Ruskiej, woj. lwowskie, obecnie Ukraina, jako syn Bazylego i Janiny z domu Onyszkiewicz. Ojciec mój był mistrzem zduńskim, matka zaś krawcową, pochodzącą ze wsi Lubycza Królewska. Szkołę powszechną, jak również szkołę dokształcająco-zawodową wraz z wyuczonym zawodem zduna ukończyłem u mojego ojca w Rawie Ruskiej w 1929 roku. Od roku 1930 do 1939 pracowałem jako rzemieślnik zduński na terenie woj. lwowskiego. Wtedy miałem już na utrzymaniu dwoje młodszego rodzeństwa. 10-letnią siostrę Jarosławę oddałem później na wychowanie do zakładu sióstr w Hnizdyczewie-Kochaninie, zaś mój młodszy brat pozostał przy mnie aż do wojny.

Początek wojny zastał mnie w Tomaszowie Lubelskim. Mając kategorię C nie zostałem przyjęty do wojska. Postanowiłem wracać do Rawy Ruskiej, wtedy jeszcze pod okupacją sowiecką. Niemcy zajęli Rawę 21 czerwca 1941 roku. W pierwszych dniach okupacji warunki bytowania były jeszcze znośne. Jednakże z chwilą powstania getta było wiadomo, że zaczyna się likwidacja Żydów. Rozpoczęły się wywózki Żydów do miejsc straceń. Każdy mężczyzna w miarę swoich możliwości i sprytu uciekał, aby uchronić się przed śmiercią. Wśród ludności żydowskiej zapanował wielki popłoch. W tej strasznej atmosferze rodzina państwa Post zwróciła się do mnie ze łzami w oczach z prośbą, abym ratowałem ich dziecko, 18-letnią Klarę. Rozpacz i bezgraniczne zaufanie matki, powierzającej swoją córkę prawie zupełnie obcemu człowiekowi, sprawiły że nie byłem w stanie odmówić im pomocy. Nie brałem wówczas pod uwagę konsekwencji, jakie mogły mnie spotkać w razie wpadki. Wierzyłem, że się uda. Postanowiłem załatwić Klarze nowe dokumenty. W Urzędzie Parafialnym wyrobiłem jej metrykę urodzenia, a w Magistracie dowód osobisty na nazwisko

mojej siostry Jarosławy Chmielewskiej, przebywającej wówczas na robotach w Gelsenkirchen w Niemczech. Z Rawy Ruskiej wyjechaliśmy w nocy we wrześniu 1941 roku. Na stacji kolejowej, omijając patrole niemieckie i ukraińskie, z wielką ostrożnością podkradliśmy się do pociągu jadącego do Skarżyska-Kamiennej. Klara dla niepoznaki zmieniła nawet fryzurę.

W Skarżysku-Kamiennej zaprowadziłem Klarę do rodziny Jana i Marii Antoniaków, małżeństwa posiadającego dwoje małych dzieci. Antoniak był znanym antysemitą, dlatego ulokowanie Klary w takiej rodzinie uznałem za gwarancję bezpieczeństwa. Natomiast Antoniak rozgłosił wszystkim znajomym, że mieszka u niego siostra jego znajomego, która uciekła z Rawy Ruskiej przed wywózką do Niemiec. W Skarżysku-Kamiennej Klara znalazła pracę w fabryce broni i amunicji, gdzie przepracowała do końca wojny, po czym wyjechała do Niemiec, do Monachium. Mieszka tam do dzisiaj.

Członkowie pozostałej rodziny: Abe Post, Dawid Post, Froim Post i Herz Graff oraz kilku innych Żydów pozostali w Rawie Ruskiej. W początkach okupacji dostarczałem im żywność, pomagałem w miarę swoich możliwości w swobodnym poruszaniu się po mieście, posiadali bowiem legitymacje robotników zatrudnionych w niemieckich koszarach wojskowych. Ja sam pracowałem w tych koszarach prowadząc roboty budowlano-zduńskie w firmie wojskowej Heeresbauant. Podczas łapanek Żydzi bardzo często uciekali do koszar, ukrywając się po strychach i innych zakamarkach. Pomagali im również pracujący tam Niemcy, a szczególnie szef firmy w randze majora, człowiek nienawidzący gestapo.



**Bazyli Chmielewski** urodził się 13 I 1913 roku w Rawie Ruskiej, woj. lwowskie. Z zawodu kafararz. Wojnę spędził w Rawie Ruskiej. Tam od 7 grudnia 1942 roku do 22 lipca 1944 roku bezinteresownie pomagał ukrywającym się kilkunastu osobom pochodzenia żydowskiego. Za swoją postawę odznaczony medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Po wojnie przyjechał do Lublina, gdzie mieszka do dnia dzisiejszego. Przez wiele lat pracował w PKS-ie; kilkakrotnie przodownik pracy. Obecnie na emeryturze.

Kiedy nadszedł czas ostatecznej likwidacji Żydów, pod koniec 1942 roku, znalazłem biedne małżeństwo z liczną rodziną. Głowa rodziny – Ferdynand Czerwień zgodził się przyjąć moich znajomych pochodzenia żydowskiego. Ulokował ich w zimnej piwnicy pod podłogą pokoju. Panowały tam okropne warunki. Pomieszczenie było małe, a oprócz wspomnianych członków rodziny Post-Graff ukrywali się tam jeszcze Regina Graff, żona Herza, i Rachela Graff, siostra Herza. Dodatkowo dołączyli do nich Lazar Diller, Saba Diller, Mendel Hoch oraz Abraham Klak. Razem było to dziesięć osób. Problemem było zdobycie dla tylu osób żywności. Aby nie wzbudzać podejrzliwości, postanowiliśmy, że Ferdynand Czerwień zacznie handlować towarami spożywczymi. Nawet Niemcy przychodzili do niego po masło, jajka, ser. Wieśniacy zaś chętnie dostarczali towary do stojącego na uboczu domu Czerwienia. W ten sposób omijali bowiem kontrole drogowe.

Kiedy wydawało się, że wszystko skończy się pomyślnie, Ferdynand Czerwień pod koniec wojny uciekł wraz z rodziną na wieś, pozostawiając ukrywających się Żydów na łaskę losu. Niewiele

dzieliło ich od tragedii. Pozostawieni bez opieki w pierwszej chwili nie wiedzieli co robić. Którejś nocy przyszli jednak do mnie, błagając abym ich ratował. Zacząłem szukać kogoś zaufanego, aby zamieszkał w domu Czerwieniów i podjął się opieki nad tymi ludźmi. Na szczęście znalazłem kobietę, która zgodziła się podjąć roli opiekunki. Była to dawna pracownica rodziny Postów, Marynka Kogut. Postarałem się o szybkie zameldowanie jej wraz z mężem Antonim w domu Czerwieniów. Sprawę załatwiłem przez znajome dziewczyny w biurze meldunkowym. Poprosiłem je nawet o niezgłaszanie tego na gestapo, co wtedy było obowiązkiem.

Nowi mieszkańcy domu nie byli jednak tak bardzo zaradni jak poprzedni jego właściciele, dlatego musiałem pomagać im w zakupach. Na krótko przed zakończeniem wojny do ukrywającej się grupy dołączyła jeszcze jedna osoba, którą przyprowadziłem, pani Lewinowa. Przyprowadziła ją do mnie gospodyni, u której mieszkałem, z prośbą o udzielenie jej pomocy.

Przeżyli wszyscy. Po wojnie wyjechali z Polski. Mieszkają teraz w Niemczech, USA oraz Izraelu.

Spisał i opracował: *Adam Dobrzyński*

Marian Milsztajn

## WSPOMNIENIA

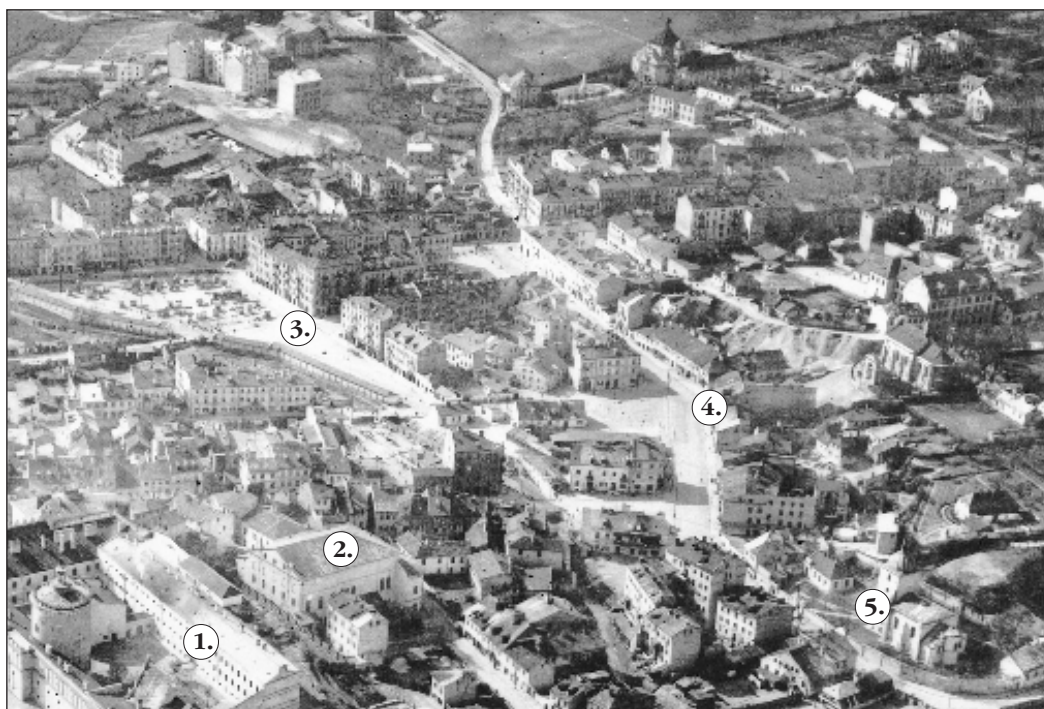
### DOM RODZINNY NA „BŁOTNIKACH”

Nazywam się Milsztajn z domu, jako dziecko, Mosze, potem Marian. Urodziłem się w 1919 roku, dzisiaj mam 81 lat. Mieszkałem na ulicy Ruskiej pod numerem 48, potem przeszliśmy do domku babci pod numer 52. Tam mieszkaliśmy do 1934 roku i przenieśliśmy się na Nadstawną pod numer 47, gdzie mieszkaliśmy do wybuchu wojny. Ojciec był szewcem i warsztat miał w tym domu, w którym mieszkaliśmy. W suterynie był ogromny pokój. Pra-

cował w nim z dwoma pomocnikami. On nie był szewcem do przyjmowania obstalunków ani poprawek, tylko sezonowo robił buty. Przygotowywał latem buty oficerki i kamasze na zimę, a zimą pracował na letnie połówki, sandały itd. Towar ten był przeznaczony dla całego województwa lubelskiego. Przyjeżdżali rokrocznie ci sami kupcy i kłócili się, żeby jeszcze jedną parę dostać: „Arie, daj jeszcze jedną parę. Obiecałem komuś”. Buty były piękne. Drogie. Mieszkaliśmy w tym samym poko-



**Marian Milsztajn** urodził się w Lublinie w 1919 roku. Wojnę przeżył w Rosji, potem wraz z Armią Czerwoną wrócił do Polski, do Poznania. W latach 50 wraz z żoną i dziećmi wyjechał do Izraela. Jego rodzice i siostra Masza zginęli w czasie okupacji. Obecnie razem z żoną Edwardą, dziećmi i wnukami mieszkają w Beer Szewie w Izraelu.



Zdjęcie lotnicze: 1. Zamek, 2. Wielka Synagoga, 3. Plac Targowy, 4. Kościół św. Mikołaja, 5. Cerkiew.

„Kaszarnia”, róg Ruskiej i Nadstawnej, rok 1937. Ze zbiorów MHML. Fot. W. Ziółkowski.



ju. Tu jeden czeladnik, tu jeden czeladnik, a tu tata. Pomieszczenie było ogromne.

Na pierwszym piętrze mieszkała rodzina Fenstermacher. Oni mieli sklep obuwia na Nowej. Syn żyje w Tel Awiwie. Brat, siostra, ojciec i matka zginęli. On jeden został. Na trzecim piętrze mieszkał gospodarz. To było pagórkowate [podwórko]. Do nas się schodziło. Ruska 52 – tu mieszkała babcia. Ruska 47 – tu mieszkała rodzina dwóch braci Felerów. To było przyklepione, nie dobudowane, ale prawie z gliny i papieru – mieszkała rodzina: dwie siostry z bratem – za Felerami. Ani jeden nie został, tylko Fenstermacher. Ruska 58 – to jest ogrodzona parcela z budynkiem. On był hurtownik owoców, skupował z całego powiatu. Codziennie przyjeżdżali chłopcy z jabłkami, śliwkami. Na targu miał ogromną halę, tam sprzedawał.

Browar Vettera, rozlewnia piwa – jakieś dwieście metrów stąd. Druga strona to już Kalinowszczyzna. Kalinowszczyzna 1 – niewysoki dom, piętro wyzdaje się. Kalinowszczyzna 3 to był czteropiętrowy dom. Tam mieszkał Blajechtr z kamieniarni. Ruska 18 – tu mieszkał brat mamy, Mordechaj. To było duże podwórko i tu też był związek zawodowy robotników budowlanych, tam mieszkał Lehrer. On był przewodniczącym tego związku, silna ręka. On był w Kanadzie. Już na pewno nie żyje, bo by miał sto lat. Przy ul. św. Mikołaja była szkoła. Potem wujek przeniósł się na Ruską 10.

Jatka babci była na Rynku [obecnie Bazar]. To był specjalny murowany budynek. Tam było jakieś pięćdziesiąt jatek. To były jatki mięsa wołowego.

Tutaj – Ruska 46, tu się urodziłem w piwnicy. To był taki dom z podwórkiem, tam kupowaliśmy mleko. Koło cerkwi była szkółka, taka na podwyższeniu. To był trzypiętrowy budynek, a tutaj był dwupiętrowy dom babci, w którym mieszkałem do trzydziestego czwartego roku. Potem przeszliśmy na Nadstawną. Tu było wzniesienie i prosta łączka dla dzieci i tu zaczyna się ta wyżyna Czwartek. A tu stało seminarium duchowne.

W naszej dzielnicy nie było prawosławnych i nie było też chrześcijan. W okolicy dozorstwo sprawowała Antosia. Była odpowiedzialna za ten kraik i Błotniki. A dalej nie było co robić. To było ogrodzone i pola. A pod numerem Kalinowszczyzna 5 sam gospodarz robił stróżostwo. To był Żyd. Dalej nie było nic. Pola i łąki.

### OPIEKUNKA GITL

W jednym z tych domków mieszkała rodzina, matka z wieloma dziećmi. Jedna córka była kaleką, suwającą się na czworakach. Jak pająk spuszczała się stamtąd i siedziała pod naszym oknem. Mama była w jatce u babci, ja miałem 6 miesięcy, a ojciec położył jej mnie na podółku, a Antosia wyniosła Stasia. I ona nas tak trzymała i żebrała. Ludzie pytali ją, czyje to dzieci, ona coś mówiła, ale nikt nie rozumiał jej mowy, bo bełkotała. Tak było przez całe lato. Na drugi rok, już byliśmy więksi, też było tak samo. Ale już siedzieliśmy przy niej, a ona z puszką zbierała te grosiki, żebrała od ludzi, którzy z Kalinowszczyzny szli do miasta, dziennie może kilkanaście ludzi, raz na dwa trzy dni furmanka przejechała. Przechodzący, przeważnie to byli Żydzi, pytali się Gitl, kto jest ten czarniutki, a kto jest ten blondynek, ale nic nie rozumieli. Jak mama dowiedziała się, że ona z nami żebrze, to powiedziała, że już mnie nie da. Ale tata mnie wyniósł i dał jej pięć groszy za to, że nas pilnowała. Nazywała się Gitl i miała już jakieś 30 lat, gdy się urodziłem. Ona była zupełną kaleką. Skręcona jak pająk. Jej rodzina zajmowała koniec podwórka pod górą [Ruska 46]. Nawet z nich nikogo nie mogłem znaleźć. Ani Antosi, ani Stasia, ani ich brata.

Pod górą stał budynek z drewna – ubikacja dla wszystkich. Zimą nie można tam było wejść. Tu mieszkała kobieta z wieloma dziećmi. Ile, nie wiem. Zawsze tam było pełno. I pełno ludzi. Grajkowie, jak przyjechali do Lublina – tam. Cyrkowcy, śpiewacy podwórkwowi. Świat artystyczny tam się koncentrował. Bieda była niebywała. Co przynieśli ci głodni, to było.

### RODZINA

Ojciec był szewcem, matka pracowała z babką w jatce. Do trzech lat znałem tylko ten odcinek – co było za Ruską, nie wiedziałem. To było moje królestwo, te parę domków. Kiedy miałem trzy lata, rodzice oddali mnie do chederu. Uczyłem się prawie do trzynastego roku życia. Cheder mieścił się przy Wielkiej Synagodze, na Jatecznej.

Rodzina – poniżej średniej. Nie bogata, ale i nie biedna. Matka pracowała z babką, a córka nie wzięła pieniędzy za to, że pomaga matce. Ale zawsze sobie wzięła, co chciała. Mama była mniej pobożna. Święto, święto, koszerne, koszerne. Mleka z mięsem mama nie dawała jeść, ale żeby tak chodzić modlić się, to nie.

W 1939 roku, jak Niemcy weszli do Lublina, błagałem rodziców, żeby przejść do Sowieców, którzy stali trzy kilometry od nas. Ponieważ ojciec i matka znali rosyjski, polskiego języka wcale nie znali, to powiedziałem – uciekajmy przed śmiercią. Ojciec by poszedł, ale matka uparła się, że nie. Ona była w 1915 roku z Niemcami w Lublinie i nic strasznego się nie stało i nikogo nie mordowano, tak jak ja mówiłem. Oni zostali i ich nie ma. Ja poszedłem tam i jakoś wróciłem żywy.

Miałem siostrę Maszę. Urodziła się w 1922 roku. Była bardzo ładną dziewczynką. Ukończyła szkołę powszechną. O gimnazjum nie było mowy, bo nie było na to środków. I od siostry dostawałem listy do 1941 roku, jak byłem w Rosji w Połtawie.

### NAUKA W CHEDERZE

Nauka to jest uczenie się Tory. A gdzie się uczą Tory? W chederze, albo w jesziwie, ale to jest już



wyższy stan. Cheder i Talmud-Tora to jest to samo. Cheder mógł być u rebego w domu lub w Talmud-Tora. Tam też była szkoła powszechna w języku żydowskim. Język polski był, ale nie chcieli się uczyć. Pierwszy raz do chederu zaniósł mnie mama. Ruską do Jatecznej, aż do synagogi. Obok stał czteropiętrowy dom, gdzie na dole był cheder, a na wyższych piętrach klasy. Normalnie. Pierwsza klasa, druga klasa.

Rozpoczęła się lekcja, siedziało 20, 25 dzieci i melamed, nauczyciel. Przyszedł, usiadł sobie na wysokim krześle: „Ptasięta, kureczki moje. To jest litera A. Powtórzcie”. „To jest litera A alef”. Głosiki nędzne, malutkie. „Głośniej mówić, kociętka”. Wszystkie nazwy zwierzątek. Tak nas określał. I tak mogliśmy siedzieć godzinę, dwie, trzy nad alef, aż to zostało wbite do głowy. Zbliżała się godzina pójścia do domu. Zmęczeniu, aczkolwiek to już była jesień, to mokrzy jak koty ze zmęczenia, a główki opadły, tak jak zarżnięte kurki. Drugi dzień. „Owieczki kochane, to jest litera B bet”. I tak miesiąc dwa harowali nad alef, bet, nad alfabetem i mogliśmy powiedzieć alef, bet, gim, nf.... kuf, huf.... ad, taf. 22 literki. To już była prawie zima, jak skończyliśmy. Już były śniegi. Zaczęły się od bahot, od błogosławieństw. Jak jesz chleb, to powiadasz Braha, błogosławieństwo... „Baruh ata adonai eleheino meile havelam hamot si”... „Dziękuję Ci Boże kochany, drogi, co wyciągasz chleb z ziemi”. I nad tym też trzeba było pracować co najmniej tydzień, żeby zapamiętać. Aczkolwiek w domu słyszało się. Mój ojciec nie był aż taki religijny. Prosty człowiek, Żyd, szewc. Z religią nie był aż tak mocno związany. Chodził na modlitwy w sobotę, a zamiast modlić się rozmawiał o skórach, ile kosztuje miękka, a ile twarda, ile kosztują obcasy. Taka była modlitwa, co ja pamiętam z okresu 4, 5 lat. Na drugi rok zaczęliśmy od Brei Szid, Genesis. Uczyliśmy się Brei Szid cały rok. To były bardzo ładne opowiadania. Mieliśmy melameda, który potrafił przekazać materiał. Pamiętam, jak się rozpoczęło: „Na początku Bóg stworzył świat. Niebo i ziemię”. I wszyscy patrzyli jak pokazywał: do góry, gdzie jest niebo, w dół – gdzie ziemia. Na drugi rok doszliśmy do drugiej części Wajek Ha...Szmot, pierwsza seria urodził się Noe i Aw-

ram, i Jakub, i wszyscy święci. To też zajęło nam rok nauki. Aż skończyliśmy cały Stary Testament. Mieliśmy już osiem, dziewięć lat. W dziesiątym roku życia rozpoczęliśmy proroków. To było najpiękniejsze z dotychczasowych nauk. A potem była historia, opowiadania o królestwie. Rozpocząwszy od Saula, przez Dawida i wszystkich królów jacy byli i kto szedł po ścieżkach bożych, a kto nie. Niektórzy królowie wracali do pogaństwa. Ale o tym, że to jest pogaństwo nie mówiono, tylko że służyli innym Bogom. Czyli wracali do kananejskich bożków. Potem przyszła główna nauka –Talmud. To jest ciężka sprawa uczyć się prawa w wieku jedenastu latach. Tak uczyłem się do czternastego roku życia. Ponieważ byłem niby udany uczeń. Nie mówiąc o wybrykach pod stołem: graliśmy w karty, druknikami paliliśmy święte księgi.

#### LITERATURA PIĘKNA I KZMP

Mój rebi od Talmudu załatwił mi pozwolenie na słuchanie wykładów w jesziwie lubelskiej. Tam chodziłem pół roku i tam trafiła mi w ręce mała książeczka. Do tego czasu nie wiedziałem w ogóle, co to jest literatura. Bo nie było wolno. To była książeczka o księdzu Gaponie, którego zamordowali rewolucjoniści rosyjscy w 1904–1905 roku. Zadaniem jego od władz carskich było śledzić ruchy rewolucyjne więc dostał się do jacejki – grupy rewolucyjnej. Oni to odkryli i go zamordowali. To mi się bardzo podobało. Zacząłem szukać takich małych książeczek. Jak tylko nagromadziłem 10 groszówek, kupowałem sobie taką małą książeczkę i czytałem, czytałem, aż doszedłem w wieku czternastu lat do komunizmu. Przyjęto mnie do KZMP, Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej i tam byłem do rozwiązania partii w 1937 roku przez Stalina. Ale z towarzyszami utrzymywaliśmy kontakt. Chodziliśmy na tańce, bo już było wolno. Już nie było partii, nie było zakazu.

#### WIELKA SYNAGOGA

Wejście do wielkiej synagogi było od strony Szekrokiej. Z przodu było miejsce na Szej Mot – tu cho-

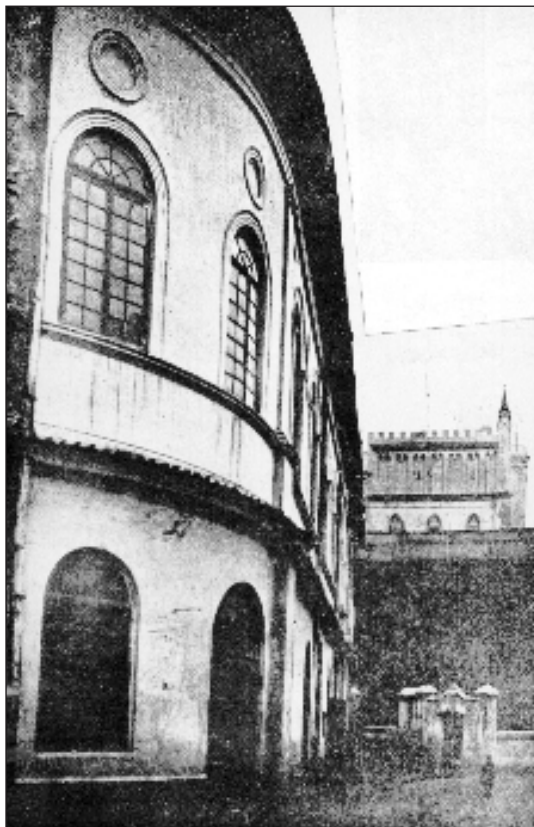
wano każdą zniszczoną stronę modlitewnika czy Starego Zakonu. Grzebano je z zachowaniem pogrzebowego rytuału, normalny przebieg, jak pogrzebanie. Z modlitwami. Przed synagogą był też taki stół wyłożony piaskiem, gdzie zagrzebywano napletki z obrzezania. Mój też tam był. Gdy się urodził mój braciszek Herszele, to jak mu obrzezali, dali mi i powiezieli: teraz zanieś do bożnicy. O tym dziewczuchy nie wiedziały.

Synagoga była wysokości kilku pięter. Na bokach były wejścia dla kobiet. Niby balkony dookoła. Lichtarze wisiały na łańcuchach do wysokości piętra lub półtora piętra. Oświetlenia było bardzo dużo. To były świece. To się spuszczało i zapalało. Tu stał Aron ha Kodesz, Ściana Wschodnia, tu siedział najświętszy rabin, tu bima, tu się czytało Torę. Ładna snycerska robota. Tu się mogło pomieścić około 2 tys. ludzi. Można było wykupić stałą ławkę. Szczególnie na Jom Kipur. W sobotę nie było dużo ludzi, w święta więcej, ale szczególnie w Rosz Haszana i Jom Kipur, wtedy były tłumy.

## CERKIEW NA ULICY RUSKIEJ

Okolice cerkwi to jest moje małe państwo. Wszystkie dziecięce lata byłem w cerkwi. Mleko kupowałem tutaj. Jak byłem mały, to prawie co tydzień przychodził pop – człowiek z brodą. Wiele nie wiedziałem – kolega taty i mówili swoim językiem, po rosyjsku. Ojciec polskiego nie znał wcale, matka wcale, ciotki też, nie mówiąc o babci. Ojciec służył z popem w carskiej armii i ten pop często do nas przychodził. Lubilem jego czapkę i brodę. Słowa nie rozumiałem, bo rozmawiali po rosyjsku. Ale pop do mnie mówił po żydowsku, bo ja rosyjskiego nie znałem. „Co słyhać u ciebie – pytał. – Jak się bawisz z Gitl?” – to była niby moja wychowawczyni. To jest historia z innego świata. Prawie co tydzień był u nas.

Jak podrosłem, mając 3 latka bywałem tam. Bawiłem się z jego córeczką. W cerkwi byłem więcej niż w bożnicy. Nie umiałem się modlić po słowiańsku. Chodziliśmy do sadu, zbieraliśmy owoce. Tam był piękny sad. Często tam bywałem,



Wielka Synagoga, w tle zamek. Ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie.

a szczególnie w niedziele, jak prawosławni żołnierze stali na ulicy w pełnym rynsztunku i wchodzili maszerując do cerkwi.

Jak był wolny czas, to z kolegą moim Stasiem razem bawiliśmy się na podwórku cerkwi, razem włączaliśmy też do środka. Tam tak pięknie było. Tyle tej miedzi, tyle obrazów. Bo w kościele nie byłem. Nie widziałem. Do kościoła nie wolno było wchodzić. Po prostu się nie wchodziło. Z obawy. Gdyby Stasiem lub Antosia stróżka chodzili do kościoła – zabraliby i mnie, ale oni nie chodzili do kościoła. Stróżka była jakby wrośnięta w to państwo żydowskie kośćmi i krwią. Do cerkwi chodziłem jeszcze za czasów szkolnych. Aczkolwiek

Zdjęcie lotnicze z widokiem na ul. Podzamcze, Krawiecką, Szeroką, Zamkową oraz Bramę Grodzką.



w chederze wiedzieli, że bywam w cerkwi, a rebi nieraz mówił: „Mosze, dlaczego chodzisz tam? To jest inna wiara”, to splywało to po mnie, jak po kaczce woda. Gdy przeprowadziliśmy się na Nadstawną, to ten pop Nikola już nie przychodził do nas co tydzień. Ale stosunki utrzymywaliśmy nadal. Kiedy już byli Niemcy, pop przyszedł i rozmawiał z ojcem. To było przed świętami naszego Nowego Roku – ponieważ wojsko rosyjskie stało trzy km od Lublina, ja byłem za tym, żeby zapakować to, co jest w domu, te całe buty, które już były prawie wykończone i iść do nich. Ojciec się wahał, a mama za nic w świecie nie chciała. I ten pop nie bardzo kochał Moskali i mówił: „Arie, nie jedź tam. Tam będzie to samo zabójstwo, co będzie chyba tutaj”. A do mnie mówił: „Marianku,

jak zechcesz, u mnie masz w cerkwi miejsce. Jak długo potrwa wojna, będziesz u mnie”. Może myślał, że będę mężem jego córki. Nie wiem, może być. Może, że przyjmę wiarę prawosławną. Ale ja już wówczas byłem komunistą, już byłem kilka lat w KZMP.

#### SKLEP NA KOWALSKIEJ 6

Na Kowalskiej było wiele sklepów skórzanych, ale w tym sklepie pod szóstym był kolega ojca z wojska, razem służyli albo w wojsku polskim, bo ojciec w 1919 roku znowu został zmobilizowany do wojska na wojnę z bolszewikami, albo w rosyjskim. Znalazłem na fotografii ten sklep na Kowalskiej, gdzie dwa razy do roku tatuś brał skóry. Przed

Pesach pojechaliśmy z tatusiem dorożką i tatuś zakupił towar na tę całą produkcję. Miękką skórą, twarda skórą, skórą do wewnątrz. Potem jechaliśmy do kamasznika, co tatuś zawsze z nim pracował. Zamówił tyle i tyle takich butów, tyle i tyle takich. Kamasznik był na Ruskiej, niedaleko nas, naprzeciwko cerkwi [Ruska 23]. On był na podwórku. Nazwiska nie pamiętam, w pobliżu Rynku. Tu mieszkał wujek Pinchas [Nadstawna 43] przy rzeczce i tam była taka suteryna i pierwsze piętro. Mały domek. Jak weszliśmy do wujka i podnieśliśmy deskę, to woda była, czyli ten dom był po prostu na wodzie. Woda była głęboka, dla dzieci do pępka, ale czysta. Przeważnie chodziły tam baby po praniu kłaką [kijanką] wybijać bieliznę na kamieniu. Tam był taki ogromny głaz. Przechodził kiedyś tam malec i mówi do matki: „whajdale, whajdale, jaka szkoda, że mój tyłek nie jest w tych spodniach”. Bo baba tłukła jakieś portki. Wracając wzięliśmy dorożkę, pojechaliśmy na Kowalską, potem do kamasznika. Tu wypito kieliszek, i tu wypito kieliszek. Pamiętam, że tata przeważnie dwa tysiące, dwa tysiące dwieście złotych płacił. To był wówczas majątek i dlatego go tak bardzo szanowali. Do czternastu lat tak z ojcem jeździłem, a potem byłem zajęty innymi sprawami.

## LUBLIN WIELOKULTUROWY

Tam gdzie mieszkaliśmy, stróżka Antosia była koleżanką mamy od dzieciństwa. Jak podrosły, razem chodziły do rosyjskiej szkoły, razem pracowały w fabryce cygar na Krawieckiej aż do odzyskania niepodległości. Były bardzo zaprzyjaźnione, jak siostry. Kiedy ojciec wrócił z Rosji w 1917 roku, jak mama go przywozła rannego z Carycynogrodu [ob. Wołgograd], Antosia wyszła za męża. Tam się urodził Stasiek, a tu Mosiek. Ze Stasiem wychowaliśmy się razem. Antosia mówiła po żydowsku lepiej od mamy, a potem Antoś mówił po żydowsku lepiej ode mnie. Na Kalinowszczyźnie pod 3 też mieszkała jedna rodzina chrześcijańska, też mówili po żydowsku. Nie słyszałem ani jednego słowa po polsku. Nie wiedziałem, czy taki język istnieje. O ile

istnieje, to wiedziałem, że to jest język gojów. Polska? Zielonego pojęcia.

Z językiem polskim zetknąłem się, gdy miałem siedem lat. Jak wszedłem na pierwsze piętro Talmud-Tora, do pierwszej klasy. Tam był język żydowski. Bo myśmy myśleli, że mówimy po żydowsku, a od mówienia do uczenia się prawdziwego języka żydowskiego jest kilometr drogi, pisanie po żydowsku, trochę historii po żydowsku, rachunki i język polski. I w pierwszym tygodniu nauki nauczyciel mówił po polsku, a my nie rozumieliśmy ani słowa. I zaczęliśmy wrzeszczeć: „gadaj po naszymu, gadaj po naszymu”. Zrobiliśmy taką awanturę, że przyszedł szames. I szames do nas się zwraca: „Dzieci, musicie się uczyć języka polskiego, bo jesteśmy w Polsce”. Odkrył Amerykę. My jesteśmy w Polsce. A myśmy żądali: niech uczy po polsku, ale niech tłumaczy. Nie udało nam się. Męczyliśmy się. Musieliśmy uczyć się a, b i c. W drugiej klasie coś się we mnie obudziło. I jak już potrafiłem przeczytać coś Konopnickiej czy Orzeszkowej, to mi się bardzo spodobało i zrozumiałem, że są dzieci niepodobne do mnie, ale one tak samo cierpią jak my. Tak samo są biedne i chore, tak samo mieszkają w piwnicach, tak samo są nieraz głodne. I zacząłem się interesować mając dziesięć lat... Nie. To nie było tak. To czytałem w języku żydowskim – Marię Konopnicką, ale ciągnęło mnie do języka gojów. To nastąpiło później. Jak zacząłem pracować, to zapisałem się do związkowej biblioteki i tam były książki i żydowskie, i polskie. I tak zacząłem czytać w języku polskim. Najokropniejsze było to, że ten akcent był straszliwy: cz, ż. Co z tym zrobić? Nie mogłem złapać akcentu i dobrej wymowy.

Ciekawe życie było. Jak teraz wracam do tego pamięcią, to widzę dystans między mną a żoną, która choć Żydówka, to wychowywała się w kulturze polskiej [w Krakowie]. Ona żydowskiego nie zna, a ja do tylu lat nie znałem języka swojej ojczyzny, a takich były miliony. W małych miasteczkach młodzież żydowska nie znała w ogóle języka polskiego, tylko żydowski lub hebrajski – zamożniej-

sza młodzież, która mogła iść do gimnazjum hebrajskiego. Młodzież nie znała polskiego, a jak znali, znali tak jak i ja – źle. I to jest ciekawe, jak poważna część narodu – 12% – nie znała języka polskiego. Potem, jak byłem w organizacji i byłem posyłany do miasteczek, żeby organizować komórki młodzieży, już mówiłem po polsku, bo oprócz chederu ukończyłem 4 klasy szkoły powszechnej na ulicy św. Mikołaja. W chederze polskiego nie chcieliśmy się uczyć.

Nasze stosunki z chrześcijanami? W jednym wypadku braterskie, cudowne, życzliwe, a z drugiej strony matka bardzo wierząca, a syn endeck.

## POCZĄTEK WOJNY I WYJAZD DO ROSJI

W 1939 roku wybuchła wojna, poszliśmy ze znajomymi chłopakami do komendy wojskowej, żeby nas zmobilizowali. Miałem 20 lat. Powiedzieli: „Czekajcie panowie, nie jesteście jeszcze potrzebni, jak będzie potrzeba, to was wezwiemy”. Weszli Niemcy. Z Niemcami byłem trzy tygodnie. A Armia Radziecka stała trzy kilometry od Lublina od strony Piask i była mowa, że granica będzie na Wiśle. Okazało się, że granica będzie na Bugu. Prosiłem rodziców, żebyśmy uciekali, ale nie chcieli się ruszyć z tego swojego nędznego majątku. Ja z trzema kolegami poszliśmy niby do pracy. (Codziennie spotykaliśmy się przy Bramie Krakowskiej i każdy rozchodził się do swojej pracy). Wynajęliśmy dorożkę i pojechaliśmy w tym kierunku, gdzie była niby niemiecka granica i posterunek graniczny Wołynin. Mówiliśmy, że jedziemy szukać masła. Pół kilometra dalej stały tanki rosyjskie. Wyobraźcie sobie chłopca z komunistycznym wykształceniem, jak widzi tanki rosyjskie. Po dwóch godzinach zabrano nas, tam było kilka tysięcy, przeważnie młodych ludzi. Zabrali nas na piechotę do Piask – kilka kilometrów. Dostałem się do Chełma, z Chełma do Lwowa. We Lwowie byłem z dziesięć, dwanaście dni. Co tu robić? Ja chcę zobaczyć Związek Radziecki. Była agitacja – wyjazd na roboty. Poszliśmy z kolegami i zapisaliśmy się. Pracowałem na kopalni węgla w donieckim zagłębiu rok, potem

skończyła się ta niby umowa. Pojechaliśmy do Połtawy, gdzie pracowałem w fabryce. W 1940 roku wstąpiłem do Komsomolu. W 1941 roku, jak wybuchła wojna, poszedłem jako ochotnik do Armii Czerwonej. Liczyłem na wojnę cały czas. Jak wojna, to naprzód, na zachód, do Polski. I tak włączyłem się z armią do 1944 roku. Od Wołgi do Pragi czeskiej. Ale do Pragi już wszedłem z wojskiem polskim. W 1944 roku prosiłem: „Zbliżamy się do Polski, chcę być w swoim wojsku”. Udało się mnie i jeszcze trzem chłopakom, ale nie tym z Lublina.

## POWRÓT DO LUBLINA PO WOJNIE

Jak zapamiętałem dzielnicę żydowską? Teraz już nic nie pamiętam. Ale wtedy jak weszliśmy do Lublina z piątą dywizją, staliśmy tu kilka dni, to wyszedłem z żołnierzami na garnizonówkę, bo chciałem im pokazać naszą dzielnicę. Garnizonówka stała na Majdanku, a ja nie wiedziałem, że to był obóz śmierci. Po latach dowiedziałem się, gdzie mój 17 pułk stanął. Zaprowadziłem ich przez Grodzką do Bramy Grodzkiej i chciałem im pokazać naszą dzielnicę, a nasza dzielnica, to były tylko kupki i górki, aż hen do młyna Krauzego. Oparłem się o karabin, gdyby nie oni, to bym się zastrzelił. Byłem gotów pociągnąć za cyngiel. Wtedy dzielnicę widziałem, mogłem ją narysować. Ulica Szeroka, ulica Zamkowa.

## OD ZWIĄZKU RADZIECKIEGO DO IZRAELA

Zdemobilizowałem się 31 grudnia 1945 roku. Pojechałem do Poznania. Dowódca batalionu rozmawiał ze mną: „Po co pojedziesz do Lublina? Widziałeś, tam nie ma nikogo”. Znowu dostałem się do wojska. Do Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego. Widziałem, że to nie jest dla mnie. Zacząłem się uczyć. Zapisalem się na uniwersytet w Poznaniu. Ukończyłem studium nauk społecznych. Przeniosłem się do szkolenia, do szkoły podoficerskiej w Poznaniu, a z Poznania w 1953 roku przenieśli mnie do akademii w Legionowie. W 1956 roku była możliwość odwiedzić Związek Radziecki. Dowie-

działem się od ciotki z Ameryki, że w Humaniu jest kuzynka. Przyjechałem do Humania na dwa miesiące. Po dziesięciu dniach poszedłem na milicję i poprosiłem o paszport z powrotem, żeby pojechać do domu. Zaczęły się pytania: co u nas się panu nie podoba?, nie jest dobrze tutaj? Powiedziałem, że żona zachorowała i muszę wracać. Trzy dni czekałem na paszport i wróciłem. Co było przyczyną? Zoologiczny antysemityzm. Na każdym kroku. W Humaniu i po drodze. Wówczas Żydzi jeździli już na wycieczki do Izraela. Po Gomułce, on zezwolił. Wracali i opowiadali historie nie z tego świata. Co za piękny kraj, co za piękni ludzie. Zaczęli wyjeżdżać. Ja wszedłem w nocy z dworca do domu i powiedziałem do żony: „Edziu, jedziemy do Palestyny”. Nie miałem zielonego pojęcia, co to jest Izrael, co to jest żydostwo. Pojedziemy, niech będzie, co będzie. Jeden z moich przyjaciół wykładowców, którego jeszcze znałem z Poznania – chrześcijanin, choć nie tak bardzo wierzący, bywaliśmy często u siebie, on mi powiedział: „Marian, a jak coś się stanie? Jak zechcesz, to Nadziejka (nasza córka) może zostać u mnie”. Sytuacja na tyle była groźna. I tak wyjechaliśmy z trójką dzieci do Izraela.

## ZNAJOMOŚĆ HEBRAJSKIEGO WŚRÓD ŻYDÓW

Żydzi nie znali hebrajskiego. Modlili się, nie rozumiejąc. Żyd umiał powtarzać to, ale nie rozumiał. Nawet pierwszych słów Testamentu. Rozumiał tylko ten, który uczył się w jesziwie. Nawet my w chederze, jak rebi mówił Breszit. Na początku. Bara stworzył. Ale kto to spamiętał. Modliłeś się, ale nie rozumiałeś wiele. Mówiłeś Bracha, ale nie rozumiałeś wiele. Pamiętałeś, że przed piciem wody mówisz to i to, przed jedzeniem chleba – to i to, przed jedzeniem owoców – to i to, ale co to jest? To po prostu Bracha na owoc. Znali to ci, którzy uczyli się hebrajskiego, ci którzy uczyli się świętego języka Waszonze Kodesz [starohebrajski]. W zasadzie ten nowoczesny język hebrajski stworzył Ben Jehuda, który jak przyjechał do Izraela to postanowił – sto lat temu, a może więcej – że u niego

w domu po żydowsku mówić nie będą i stworzył ten moderne język. On jest ojcem hebrajskiego. Tak jak Zamenhof jest twórcą esperanto. Język nielatyw, ale ci, co przyjeżdżają do pracy, po roku mówią po hebrajsku. Nie idąc do Ulpanu. Ulpan, to jest uczelnia języka dla nowo przybyłych. Żona chodziła do Ulpanu, ja nie, bo musiałem szukać pracy.

## SZNYCLE WIEPRZOWE W KARCZMIE

Z policjantem, tym, który nas obchodził – panem Stefanem, ojciec był na wojnie. To był drugi kolega znający język żydowski perfekt, a na Świętoduskiej, naprzeciwko Magistratu, nie dochodząc do Krakowskiego, róg Zielonej, tam była restauracja...

Nie pamiętam, jak się nazywała. Właściciel z takimi wąsami, chodził w ubiorze lubelskim, brązowe porty, półbuty, niezupełnie wysokie, tak jak półkozak, z nim też ojciec był – nie wiem czy w rosyjskim wojsku, czy na wojnie z bolszewikami. I nieraz, jak miałem osiem, dziewięć lat szliśmy z ojcem w sobotę na spacer. Pierwszy raz, jak poszliśmy tam, to było dla mnie daleko – na Świętoduską, taki szmat drogi... tak daleko, Krakowskie Przedmieście, co ja tam miałem do roboty, do szukania? No i weszliśmy, przywitani się z ojcem po rosyjsku, usiedliśmy i on przyniósł ojcu duży talerz i takiej wielkości sznycel. W życiu nie widziałem czegoś takiego. A mnie przyniósł talerz mniejszy i z mniejszym sznycelkiem. No i jedliśmy tę wieprzowinę, a ja nie wiedziałem, że to jest wieprzowina. Smakowało, jeszcze jak! Jak wyszliśmy – „mama o tym nie ma wiedzieć”. Przeszedł jakiś miesiąc, dwa, ja mówię – „tata – chodźmy do pana z wąsami...” A on: „ponieważ nie mówiłeś mamie – pójdziemy jeszcze raz”. Potem już jedliśmy jakiś żurek – też nieznanne jedzenie, to było smaczne. Do dzisiejszego dnia jak jestem gdzieś, to przede wszystkim jem żurek. Co było naszym jedzeniem? Mleczne rzeczy – śmietana, ser... Nic mi nie brakuje, dlatego że to, co lubiłem, żona może robić. A inne rzeczy – nie zależy mi na tym. Co na przykład było na święto?

Dobry rosół, makaron, dobry kawałek mięsa albo dobry kawałek kury, albo dobry kawałek kaczki. Pewnie, że codziennie się tego nie jadło. Na sobotę albo na święta. Na przykład wnuki bardzo lubią rosół babci, bo mama robi im rosoly z proszku, to tego nie jedzą, ale u babci jak są – to tylko wchodzi na schody już – „babcia, jest marak? Jest zupa?” Wchodzą, jedzą z takimi pieczonymi farfelkami albo

z makaronem. A potem jedzą czekoladę. To ja się odsuwam. Ja na to nie mogę patrzeć, nie chcę im powiedzieć, ale nie mogę na to patrzeć – po rosole czekolada i cukierki! Raz na dwa – trzy miesiące żona robi pierożki z mięsem, a co sobotę podaje mi rosółek. Ona go nie je, nie je mięsa. I to jest to matczyne jedzenie co zostało, a reszta to jest to samo – jarzyny, mleczne wyroby.

Spisały i opracowały: *Barbara Kośmiej-Odnous*  
*Marta Kubiszyn*

## ZAPAMIĘTAJCIĘ, CO PRZEŻYŁEM

Ojciec mój pochodził z Telatyna w powiecie hrubieszowskim. Wychował się w rodzinie rolniczej. Rodzice jego posiadali gospodarstwo rolne oraz cegielnię. Oprócz mojego ojca w domu było trzech synów i sześć sióstr. Natomiast moja mama pochodziła z Kraśnika, gdzie jej ojciec miał młyn. Rodzina mamy była bardzo religijna, chasydzka, a rodzina ojca mniej. Rolnicy zazwyczaj byli mniej religijni niż Żydzi, którzy mieszkali w miastach. Dlaczego rodzice przyjechali do Lublina, tego nie wiem. Nie wiem też, jak tutaj trafili. Wiem, że skojarzono ich tradycyjnie, przez szadchena, czyli żydowskiego swata. Poznali się już w Lublinie. Wcale to nie przeszkadzało, że matka pochodząca z chasydzkiej rodziny wychodziła za mitnagda, tradycyjnego ortodoksa. Rodzice moi pobrali się około 1920 roku. Najstarsza siostra urodziła się w 1922 roku, następna w 1926 roku i potem, w 1927 roku urodziłem się ja. Mieszkaliśmy początkowo przy ulicy Kapucyńskiej 5.

Ojciec mój przed wojną chodził w każdą sobotę do bóżnicy na ulicy Staszica, ale nie robił już tego codziennie. Ja chodziłem z nim w każde święto, ale potem, gdy podrosłem, nie chciałem się modlić, więc gdy byłem w bóżnicy, to w czasie nabożeństwa liczyłem szyby w oknach. Bóżnica przy ulicy Staszica była dość duża. Pamiętam, że znajdowała się w podwórzu i miała malowane na kolorowo szyby.

Rodzice prowadzili dom żydowski, koszerne, ale rozmawiali na co dzień po polsku. Chyba że nie chcieli, żebyśmy rozumieli, to rozmawiali po żydowsku. Ojciec mój mówił świetnie po polsku. Nikt nie używał jego imienia Abram. Wszyscy nazywali go Józef.

Siostry moje skończyły polską szkołę powszechną, która mieściła się przy ulicy Narutowicza. Po-

tem poszły do żydowskiego Gimnazjum Humanistycznego. Były syjonistkami, ale jakiego odłamu, tego nie pamiętam.

Mnie początkowo chciano oddać do chederu. Nalegał na to mój dziadek, ojciec od strony mamy. Pewnego dnia zaprowadził mnie do chederu przy Grodzkiej. Nigdy tam wcześniej nie byłem. Dom, w którym mieścił się cheder, był zapuszczony, w bramie śmierdziało. Pamiętam, że stała tam taka beczka z wodą, z której wszyscy czerpali. Nie podobał mi się ani cheder, ani melamed, który tam uczył. Po pierwszym dniu nauki zbuntowałem się i powiedziałem, że więcej tam nie pójde.

Wysłano mnie więc do syjonistycznej szkoły powszechnej Tarbut, która mieściła się przy ul. Niecałej. Uczyliśmy się wszystkich przedmiotów, tak jak w polskiej szkole, ale dodatkowym językiem był hebrajski. Po hebrajsku wykładana była matematyka. Na religii uczyliśmy się Tanachu (Pięcioksięgu). Nauczyciel recytował go nam po hebrajsku i rozpisywał na tablicy. Od szkoły polskiej szkoła Tarbutu różniła się również tym, że nauka odbywała się w niej w niedziele, natomiast wolne mieliśmy w soboty. Szkoła pozostawała pod opieką Ministerstwa Oświecenia Publicznego.

Początkowo mieszkaliśmy przy Kapucyńskiej 5. To nie była nasza kamienica. Mieszkali w niej Polacy i Żydzi. Żydów było nawet dość dużo, kilka rodzin. Potem przenieśliśmy się do naszej kamienicy przy ulicy Okopowej, róg Chopina (dziś kamienica, w której mieści się zegarmistrz z szyldem z twarzą Murzynka). Tam lokatorami byli prawie sami Polacy. Mieszkały tylko dwie rodziny żydowskie – nasza i urzędnika pocztowego. Rodzina tego urzędnika była całkowicie zasymilowana. Pamiętam, że miał dwoje dzieci i mieszkali w oficynie.

**Mosze Opatowski,**  
ur. 17 VII 1926 r.  
w Lublinie, przy  
ul. Kapucyńskiej 5,  
syn Estery z d. Szpiro  
i Abrama-Josefa  
Opatowskiego.  
Obecnie zamieszkały  
w Izraelu, w Kiriat  
Bialik koło Hajfy.



Stosunki z Polakami były normalne, zarówno w kamienicy, jak i w mieście. Ojciec miał wielu znajomych Polaków. Byli to zamożni ludzie, z którymi ojciec prowadził interesy. W domu żyliśmy bez problemów, ponieważ byliśmy zamożnymi ludźmi. Ojciec prowadził kantor wymiany walut i loterię. Były dwa takie kantory w Lublinie. Jeden przy Kapucyńskiej miał Morajne, a drugi mój ojciec przy Krakowskim Przedmieściu. Kantor mieścił się w kamienicy koło Poczty Głównej. To był ten dom,

który został zbombardowany we wrześniu 1939 roku. Stał na rogu Krakowskiego i Kościuszki. Firma, którą prowadził ojciec, oficjalnie nazywała się Andrunas. Był to Polak, który dostał koncesję na prowadzenie kantoru za to, że służył w czasie I wojny światowej w Legionach.

Nasz dom był zamożny. Jako jedyni przy Okopowej mieliśmy samochód. Pamiętam, że tym samochodem jeździłem z ojcem przed wojną do Włodawy i w jej okolice, gdzie ojciec kupił majątek

Zamek z fragmentem dzielnicy żydowskiej z przełomu XIX/XX wieku. Ze zbiorów MHML. Fot. A. Stepanoff.



ziemski w Wereszczynie, ale szczegółów tej transakcji nie pamiętam. Nie mam na to nawet żadnych dokumentów, ponieważ ojciec, który po wojnie został w Polsce, zniszczył je, bojąc się, żeby go komuniści nie aresztowali jako obszarnika. Po wojnie majątkiem się nie interesował, ponieważ było to niebezpieczne. W domu były także stałe służące – raz Polki, raz Niemki.

Mimo że byliśmy zamożni, mieliśmy także rodzinę w dzielnicy żydowskiej na Podzamczu i na Starym Mieście. Ci biedniejsi mieszkali przy Grodzkiej, a zamożniejsi krewni – przy Szerokiej. Pod względem religijności byli tacy sami jak my. Bywałem u nich przed wojną, ale niezbyt często. Tam dzieci mówiły i po polsku, i po żydowsku.

W dzielnicy żydowskiej bywałem także w Wielkiej Synagodze przy ulicy Jatecznej. Chodziliśmy tam ze szkołą na wielkie święta lub galówki. Przy takiej okazji rabin wygłaszał przemówienia po polsku. Zbiegały się tam wtedy wszystkie żydowskie szkoły.

Potem na Szerokiej byłem na początku wojny. Siedzieliśmy u krewnych przez tydzień, kiedy nas wysiedlono z Okopowej, ale nie mogliśmy tam długo przebywać, bo nasi krewni byli niezamożni, a w mieszkaniu było za ciasno na dwie rodziny.

Jeszcze pod koniec lata 1939 roku ojciec mój planował opuścić Lublin, gdy tylko zacznie się wojna. Ale 1 września okazało się to niemożliwe, ponieważ nasz samochód akurat był zepsuty i stał w warsztacie mechanicznym. Podczas wielkiego nalotu na Lublin 9 września zbombardowana została kamienica, w której mieścił się nasz kantor. Ojciec poszedł tam, ponieważ myślał, że może coś ocalało. Okazało się, że kasa pancerna, w której były pieniądze, tylko nadtopiła się. Wynajął więc kasiarza, żeby ją rozpruł, i wyjął z niej walutę oraz złote monety. Pieniądzom nic się nie stało i to nas chyba później uratowało.

W 1939 roku, gdy Niemcy wysiedlali Żydów z centrum miasta, musieliśmy opuścić Okopową. Mieliśmy tyle czasu, żeby zapakować tylko najcenniejsze rzeczy, w tym również ubrania. Pakowaliśmy je w prześcieradła i obrusy, a następnie zrzucałszy je w piętra na parter. Tych pakunków było

sporo, ale potem okazało się, że na parterze niektóre z nich rozkradli nasi polscy lokatorzy.

Przenieśliśmy się na ulicę Szeroką do krewnych na tydzień, bo wiedzieliśmy, że nie ma warunków, aby dłużej przebywać w Lublinie. Ojciec zaplanował, że udamy się na wschód, że może uda się przejść przez Bug na sowiecką stronę. W tym czasie, gdy siedzieliśmy na Szerokiej, ojciec zaniósł wszystkie nasze buty do szewca. U niego w obcasach pozaszywał pieniądze, które uratował z kantoru. Każdy z nas miał złote monety w obcasach.

Po tygodniu wyjechaliśmy z Lublina do Chełma, gdzie zatrzymaliśmy się u ciotki, siostry mojego ojca. Chełm to było wtedy małe miasto. Jak to się mówi, kozy pasły się na ulicach. Tam przebywaliśmy dwa, trzy tygodnie, do początków 1940 roku. Ojciec udał się na sowiecką stronę. Udało mu się. Dotarł do Rawy Ruskiej. My z matką zostaliśmy pod niemiecką okupacją.

Na początku 1940 roku dotarliśmy do Uchań, gdzie też mieliśmy krewnych. W Chełmie nie mogliśmy zostać, ponieważ nasi krewni byli zbyt ubodzy, by nas utrzymywać, a życie stawało się coraz droższe. Mama początkowo przebywała w Hrubieszowie u siostry ojca. Jej mąż nazywał się prawdopodobnie Hersz Kestenbaum. Ja z siostrami byłem w Uchaniach. Później dołączyła do nas mama. Początkowo mieszkaliśmy u ciotki, a potem szukaliśmy miejsca u innych ludzi. Zamieszkaliśmy w końcu u Melów. Z rodziny tej przeżyło trzech synów spośród czterech. Pod koniec okupacji partyzanci z AK zabili rodziców Melów wraz z jednym synem – o tym opowiem dalej. Gdy przebywaliśmy w Uchaniach, ojciec starał się nam pomóc. Do 1941 roku przysyłał nam paczki. W herbacie przysyłał nam banknoty dolarowe, a w stopionym tłuszczu złote monety. Dzięki temu mogliśmy żyć. W Uchaniach Żydzi mieszkali przeważnie przy rynku. To była niewielka osada i wszyscy mieszkali na kupie. Część ludzi pracowała. Moje siostry na przykład pracowały koło Uchań, w majątku. To je potem, w 1942 roku, na krótko uchroniło przed deportacją. W osadzie getta nie było. Do 1942 roku funkcjonowały żydowskie sklepy. Nasi gospodarze, Me-

lowie, utrzymywali się ze sprzedaży lodów i wody sodowej. Do sklepów żydowskich przychodzili Polacy na zakupy. Do wysiedlenia nie przypominam sobie, żeby były złe stosunki z Polakami. Chłopi znali tutaj wszystkich, tak samo jak Żydzi znali okolicznych Polaków.

W lecie 1942 roku nastąpiło wysiedlenie Żydów z Uchań. Odbyło się ono w ten sposób, że Niemcy ogłosili, iż wszyscy Żydzi pojadą do pracy. Wzięto nas na stację na Dubienki. Młodych oddzielono od starszych. Młodzi trafili do obozu pracy w Stawie koło Chełma, a starszych wywieziono do Sobiboru. W Sobiborze zginęła moja mama.

W tym czasie, jak już powiedziałem, moje siostry uniknęły wysiedlenia, bo pracowały w majątku. Potem, gdy już nie mogły tam pozostać, zaczęły szukać sobie kryjówek. Przez jakiegoś ukrywającego się Żyda zaczęły załatwiać sobie aryjskie papiery. W zimie w 1942 roku umówiły się z nim, że odbiorą te dokumenty koło szkoły w Uchaniach. Czekają pod szkołą całą noc. Nie doczekały się. Zamarzyły pod drzewami koło szkoły. Okazało się potem, że ten Żyd w ogóle nie przyszedł. Po prostu uciekł.

Ja wraz z młodymi trafiłem do obozu pracy w Stawie. Dopiero tam dowiedziałem się, że w Sobiborze morduje się ludzi. W Stawie przebywałem przez dwa tygodnie. Funkcyjnymi więźniami byli tutaj czescy Żydzi. Pilnowali nas razem z Niemcami. To oni powiedzieli nam, że kto nie trafił z nami do Stawu, ten zginął w Sobiborze. Ci Czesi nie byli pełnymi Żydami. To byli ludzie z mieszanych rodzin. Któryś miał dziadka Żyda, inny babkę Żydówkę. Dopiero w czasie wojny dowiedzieli się, że są z pochodzenia Żydami.

W Stawie pracowaliśmy na torfowisku. Obóz mieścił się we młynie, gdzie wszyscy spali. Mnie zatrudniono jako adiutanta u Czechów. Miałem załatwiać im różne sprawunki na wsi. Wysyłali mnie po mleko. Czesi byli dla nas obcy, ale nas nie bili. Nawet nie krzyczeli. W zasadzie to nie wiedzieli, czego Niemcy od nich chcą. Potem i tak wszyscy zginęli w Sobiborze.

Ze Stawu uciekłem, ponieważ już wtedy wiedziałem, co dzieje się z Żydami. Wiedziałem, że się

ich niesamowicie bije. W obozie zabrano im ubrania. Postanowiłem uciec. Kiedy Czesi wysłali mnie po mleko, po prostu nie wróciłem. Polami, na piechotę dotarłem do Chełma, a stamtąd wywieziono mnie ukrytego na furmance w okolice Uchań. W Chełmie u krewnych nie mogłem zostać. Nie wychodziłem na ulicę, więc nawet nie pamiętam, jak wyglądało getto w Chełmie. I czy w ogóle już tam było. Wiem tylko tyle, że Żydzi w Chełmie jeszcze mieszkali w tym czasie. Nie pamiętam, czy ciotka mieszkała w tym samym domu, co przed wojną. Ale gdyby nie to, że Czesi wysyłali mnie poza obóz, to trudno z niego byłoby uciec.

W okolicach Uchań nająłem się początkowo do pracy jako pastuch. Udawałem Ukraińca. Polacy myśleli, że jestem Ukraińcem, ale dziwili się, że tak dobrze mówię po polsku. Mówiłem lepiej od okolicznych chłopów.

Potem przez pewien czas ukrywałem się w lasach w okolicy osady, a następnie poszedłem do sióstr, które wówczas pracowały jeszcze w majątku. W końcu dziedzic kazał Żydom opuścić majątek, ponieważ w tym czasie Niemcy zaczęli poszukiwać ukrywających się Żydów. Zabijano ich na miejscu i dziedzic dowiedział się, że w okolicy właśnie zabito Żyda. To wtedy siostry zaczęły się starać o aryjskie papiery. Ja poszedłem znów do lasu wraz z grupą uchańskich Żydów.

W lesie koło Uchań zaczęło się nas ukrywać około 80 osób. Byli to Żydzi z samej osady i okolic. Do końca wojny przetrwało tylko 9 osób, z tego dwie zostały zastrzelone już po wyzwoleniu. Jedna kobieta przechowywała się u Polaka, świadka Jehowy. Większość ukrywała się jednak w lasach. Tylko niektórzy mieli kryjówki u Polaków. Było bardzo źle. Mieliśmy ziemianki, w których siedziało się w dzień. Oprócz Niemców polowali na nas także polscy partyzanci z AK. Ludzie byli brudni i obdarci. Przede wszystkim głodni, zwłaszcza w zimie. Nie wytrzymywali psychicznie. Jeden z Żydów, który przebywał z nami w bunkrach, powiesił się w lesie. Pozostał po nim fragment Tanachu. Do dzisiaj mam ten fragment w domu, razem z pamiętkowymi fotografiami.

W bunkrach stale przebywało 12–14 osób. Utrzymywaliśmy kontakt z Polakami z Uchań i okolicy. Jedni podawali nam wiadomości, inni jedzenie. Pamiętam, że w Uchaniach był szewc Polak, bardzo dobry człowiek. Nie miał jednej nogi. W zasadzie dzięki niemu przeżyłem. Przychodziliśmy do niego nocami, a on nas pocieszał. Podawał informacje z frontu, podtrzymywał nas na duchu, że już niedługo przyjdzie wyzwolenie. Gdy mógł, karmił nas. Zaraz po wojnie wyjechał z Uchań, bo czuł się zagrożony. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że pomagał Żydom. Po latach, gdy zacząłem przyjeżdżać do Polski, próbowałem go odnaleźć. Byłem nawet w Uchaniach, ale nikt nie wiedział, gdzie on wyjechał. Wszyscy mówili, że gdzieś na zachód Polski.

Nikt z nas nie miał pieniędzy. Wszystko trzeba było jakoś zdobywać. Była razem z nami kobieta z dzieckiem, która miała trochę towaru ze swojego sklepu. Więc sprzedawała go i przez pewien czas dzięki temu nasza grupa miała gotówkę, żeby kupić coś do jedzenia.

Tragedia wydarzyła się na dwa tygodnie przed wyzwoleniem. Otoczyli nas partyzanci z AK. To byli Polacy z Uchań i okolic. Znaliśmy ich dobrze z osady. Chyba przewidziałem, co się stanie, bo zacząłem uciekać w las. Razem ze mną jeszcze kilku młodszych. Ale ci partyzanci zabili wtedy tę kobietę z dzieckiem, starych Melów z synem i starszego mężczyznę. Zatlukli ich widłami. Do wyzwolenia siedziałem już tylko w lesie, bo strach było się pokazać. Brudny, zawszony i głodny czekałem z kilkoma osobami wyzwolenia.

Po wyzwoleniu wyszliśmy z lasu i poszliśmy do Uchań. Zobaczył nas tam miejscowy nauczyciel,

który zrobił nam zdjęcie. Mam je do dzisiaj. Strasznie wyglądaliśmy po wyjściu z lasu. Ludzie byli przerażeni, gdy nas zobaczyli. Ten nauczyciel powiedział, że powinno się nas obwozić w złotej klatce po okolicznych miejscowościach, żeby wszyscy zapamiętali sobie, co przeżyliśmy.

Potem z armią rosyjską dotarłem w okolice Warszawy. Tu spotkałem się z ojcem. Przeżył wojnę i do Polski przyjechał ze swoją przyjaciółką, która później została jego drugą żoną. Wojnę przeżył w okolicach Rawy Ruskiej. Ukrywał się u Polaków. Trochę przebywał w piwnicy u polskiej rodziny Kapiturów. Trochę musiał też ukrywać się w lasach.

Do Lublina przyjechałem w 1945 roku. Ojciec już mieszkał wtedy przy Okopowej. Odzyskał dom. Jednak, gdy zaszedłem do naszej przedwojennej sąsiadki, to widziałem jakieś talerze, które przed wojną należały do mojej matki. Wszystko to było bardzo smutne. Nie mogłem się też pogodzić z ojcem, który tak szybko po stracie naszej matki ożenił się po raz drugi. Jeszcze w tym samym roku wyjechałem z Lublina i w ogóle z Polski.

Ojciec próbował prowadzić dalej kantor, a na początku lat pięćdziesiątych zaczął się starać o wyjazd do Izraela, gdzie ja już byłem od lat czterdziestych. Gdy złożył podanie o wyjazd, został aresztowany w 1952 roku i osadzono go w więzieniu na zamku lubelskim za syjonizm. Przesiedział do 1953 roku. W więzieniu spotkał się podobno z tymi partyzantami z Uchań, którzy nas wtedy ścigali. Siedzieli za AK.

Po wyjściu z więzienia ojciec z macochą wyjechali z Polski do Izraela, ale kamienicy w Lublinie nie sprzedali. Jest ona naszą własnością do dzisiaj.

Spisał i opracował: *Robert Kuwałek*

Ewa Czerwińska

## CISZA NIEBIESKICH ŁĄK

*Ach, Fryda, Fryda, gdzie jesteś? Czy tam, gdzie prorokował Izajasz? Na zielonych pastwiskach, w słonecznych dolinach, na łąkach niebieskich, ukolysana łagodnym powiewem miłości Jahwe? Czy może w odmętach Szeolu, bo przecież nie zapalałaś szabasowej świecy jak twój ojciec, stary piekarz z Tarnopola, wierny Żyd. Chciałaś być zasymilowana. Woliałaś Żeromskiego niż grzmiący głos profetów. Woliałaś jeść kielbasę niż gęś wyciśniętą z krwi. Gdziekolwiek jesteś, Frydo Safir, przyjdź i opowiedz, jak bardzo chciałaś żyć.*

### OPOWIEŚĆ PIERWSZA

Fryda milczy. Mówi Henryka Żórawska. Przyjaźniły się. Przed wojną uczyły w jednej szkole w Kraśniku, wynajmowały razem pokój, żeby było taniej. Fryda kochała literaturę. Cały odczyt mogła powtórzyć bez pomyłek. Wszyscy lubili tę małą szatynkę z oczami jak dwa plastry miodu w złote cętki. Czasem w tych oczach przemykała nostalgia. Wtedy, gdy wspominała narzeczonego.

Jan. Sędzia w miasteczku, przystojny blondyn, do którego wzdychały okoliczne panny na wydaniu oraz rozliczne mężatki, znudzone małżeńską monotonią. Endek. A mimo to chciał Frydę, tę małą córkę Mośka Polaka. Żydówkę przecież. Dla niego Fryda postanowiła się wychrzcić. Odbyła nawet długie rekolekcje u zakonników. A potem miała sen. Przyszła z mgły jej matka, Sara i mówi, grożąc palcem: „tylko mi nie wychodź za goja”. A Fryda na to w swojej bardzo polskiej mowie z leciutkim kresowym zaśpiewem: „Przecież ja go kocham, co mam zrobić, a?” Sen odpłynął, przyszła jawa. Zupenie jak z *Damy Kameliowej*. – Ty mu złamiesz karierę, zmarnujesz życie – ostrzegała matka Jana. Więc Fryda przyrzekła, że zerwie z jej synem i ze-

rwiała. Ale jak zabronić sercu miłości? Ach, mame, mame, skąd wiedziałaś? Tej drugiej wojennej jesieni stanęła na progu domu Żórawskich przy ulicy Łęczyńskiej ze strachem w miodowych oczach. Nie dało się dłużej w Kraśniku żyć. Wszyscy ją znali. Niemcy ostrzyli pazury na takie jak ona. Mimo niedużego, prostego nosa i mowy bez akcentu. Była po prostu „eine Jude” i już. Żórawscy przyjęli ją serdecznie. Pomagała w domu. Razem z Henryką próbowały wiązać okupacyjny koniec z końcem. W największej miednicy pichciły mydło według domowej receptury: mieszały lój ze środkami chemicznymi, potem masę – gdy zastygła – kroili się po kawałku.

Wojna uczyła ludzi żyć. A żeby żyć, trzeba było handlować. Wszyscy chcieli przetrwać, więc wszyscy zajmowali się szmuglem. Waclaw, mąż Henryki, przed wojną pracownik kuratorium, też. Jakieś barchany, jakieś kupony leszczkowskie (wełna na kostiumy), a to wódka, którą kupowało się w dużej ilości i sprzedawało trochę drożej albo wymieniało na coś do zjedzenia. Profesor Henryki, jeszcze z arciszanek, muzyk, handlował mlekiem, wielu innych nauczycieli też czepiało się drobne-go handlu.

W wojennym kredensie stały jednak zazwyczaj: butelka erztatu herbaty i puszka cykorii udającej kawę. Jak udało się Waclawowi kupić w Warszawie więcej pasty do butów lub jakieś rzadkie medykamenty, to stał jeszcze smalec przetopiony z cebulą. Masło było na receptę.

Na masło Niemcy mieli własną receptę. Stawiali szmuglera pod piecem i czekali aż spłynie. Za kawałek oselki i pół kilo cukru Waclaw poszedł na Majdanek. Wracał właśnie z podlubelskiego majątku, w którym jako buchalter Biura Rachunkowości Rolnej – przeprowadzał dla władz Generalnej Gu-

berni kontrolę. Rzesza chciała wiedzieć, na ile krów, świń i drobiu może liczyć brzuch dzielnego niemieckiego żołnierza. Ale z raportu Wacława nigdy się nie dowiedziała prawdy. Na dworcu łapanka i Wacław wpadł. Majdanek. Apokalipsa za drutami. Anioł zagłady miał kupę roboty. Spieszył się na przykład, żeby ściągnąć z umierającego Żyda spodnie, póki jeszcze ten nie zeszywniał...

Wacław powrócił do żywych po dwóch tygodniach, za wstawiennictwem swojego szefa, Niemca, bardzo przyzwoitego cywila.

A za Krakowską Bramą był lament. Tyfus. Na murach aryjskiej części Lublina plakaty groziły: Żyd i wesz to śmierć. Za przechowywanie Żyda kula w łeb twój i twojej rodziny. Fryda przestała już wychodzić z domu. Ludzie tracili nadzieję, że przekłeta wojna w ogóle kiedyś się skończy. Tylko nawiedzoni szukali nadziei u wróżów i w przepowiedniach... Volksdojczce uznali niemiecką konieczność.

U Żórawskich liczni goście już nie pytali, kim jest ta mała szatynka.

Po blisko dwóch latach azylu na Łęczyńskiej Wacław odwiózł Frydę na dworzec. Postanowiła, że wróci do siebie, do rodzinnego Tarnopola. Do getta.

*Szukam cię, Frydo, dalej. Z gościnnego mieszkania Henryki Żórawskiej przy Krakowskim Przedmieściu, wdowy po przedwojennym kuratorskim buchalterze jadę prosto do szpitala. Bo tam z opuchniętymi jak banie nogami siedzi na łóżku twoja druga koleżanka. Mieczysława Kołczewska. Ona opowie mi, co było dalej.*

## OPOWIEŚĆ DRUGA

Henia nie mogła już poświęcać rodziny, dlatego Fryda pojechała do Tarnopola. Ona nie miała podejrzanego wyglądu. I nie była mężczyzną, którego Niemcy mogli wepchnąć do bramy i kazać ściągać spodnie. Dlaczego zdecydowała się wejść w paszczę smoka? – nie wiem. Może nie miała już gdzie uciekać? – zastanawia się Mieczysława Kołczewska.

Fryda w getcie jest Frydą tajemniczą. Nie wiadomo, czy zastała swoich bliskich przy życiu. Gdzieś pracowała, ale gdzie? – tego Kołczewska mi nie powie, bo całą wojnę przeżyła w Kraśniku – trochę uczyła w szkole, potem założyła małą kawiarenkę. Co miesiąc wysyłała trzy paczki żywnościowe do oflagów. Działała w AK.

Któregoś dnia dostała list. Pisała Fryda. Ustaliły, że punkt kontaktowy będzie w Tarnopolu u niejakiej Michalewskiej, Polki. Widać Fryda mogła wychodzić poza getto. Mieczysławie żal było Frydy. Za pośrednictwem działającego w ruchu oporu znajomego warszawiaka załatwiła papiery. Wyglądały na dość mocne, Michalewska pozwoliła na wpisanie w nich swojego nazwiska. Fryda Safir nazywała się teraz Teresa Michalewska.

Ale papiery trzeba było jakoś sprytnie wysłać. Kołczewska kupiła więc solidnie oprawioną książkę i między płótno obwoluty a tekturę włożyła papiery. Paczka doszła do Tarnopola, do Michalewskiej. Ta oddała ją Frydzie. Dalej było jak w filmie. Udana ucieczka, przystanek w Krakowie. Aż do wyzwolenia. A po nim – Ameryka, Ameryka...

*Dalej muszą mówić, Frydo, twoje listy. Bo pisałaś do swoich koleżanek z dalekiego Nowego Jorku, z dzielnicy Bronx. Nie zapomniałaś. Nigdy nawet przez myśl ci nie przeszło, żeby wypiąć się na twoją polską historię. Odciać tak po prostu kawałek pamięci, bo już ci było dobrze, już posmakowałaś wolności i szczęścia. Tego, co kusilo, żeby nic nikomu nie zawdzięczać. Ty pamiętałaś do końca.*

## OPOWIEŚĆ TRZECIA

Fryda Brief, żona Żyda z Polski, buchaltera:

„Po otrzymaniu każdego listu widzę was we snach i wierzę, że się jeszcze zobaczymy.

Bronimy się jak możemy. To pigułki, to czytamy książki, mające wpłynąć na polepszenie tego stanu. Wszystko na nic. Trzeba się zebrać i bronić się! Tak, bronić się, nie dać się. Jemu to łatwiej przychodzi (mowa o mężu Bernardzie – przyp. E.C.), ja walczę

i czasem udaje mi się poskromić te dla mnie niezrozumiałe chimery (...)

Count your blessings (licz swoje błogosławione dary). Masz Świętą Rodzinę blisko. Tak osiągalną, taką twoją, waszą, ciesz się” – pisała Fryda do Henryki Żórawskiej, matki trzech córek. Sama nie mogła mieć już dzieci, wyszła późno za mąż.

„Znajomość i przyjaźń z Wami dała mi tę wiarę w ludzi. Nieuleczalną, jak twierdzi Bernard... (...)”.

Umarła przed kilku laty, zniszczona demencją i chorobami. Bernard odmówił kadiusz.

Umarła z wiarą w ludzi.

Henryka Żórawska i Mieczysława Kołczewska nie widzą nic szczególnego w tej wojennej historii. Przecież żadna z nich nie była jakąś bohaterką... Może tylko prawym człowiekiem – mówią. – Ale czy to na łąkach niebieskich wystarczy?

PS Henryka Żórawska i Mieczysława Kołczewska odznaczone zostały w grudniu ub. roku medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, przyznawanym przez Instytut Yad Vashem ludziom, którzy narażając siebie i swoje rodziny ratowali życie Żydom w czasie II wojny światowej.

## Z LUBLINA, WIENIAWY... FOTOGRAFIE PAMIĘCI

### WIENIAWA

Urodziłem się w Lublinie w 1925 roku. Mieszkałem na Wieniawie, na ulicy Długosza pod numerem 16. Tutaj urodziło się także pięć moich siostr: Estera, Pola, Masza, Elka i Hana.

Mój ojciec nazywał się Michael Handelsman, a matka Haja z domu Hazan. Rodzina ze strony ojca mieszkała w Lublinie od wielu pokoleń. Dziadek ze strony ojca miał na imię Mosze, a babcia Ciru. W Lublinie mieszkały także dwie siostry ojca i jego brat, wszyscy ze swoimi rodzinami. Natomiast mama i jej rodzina pochodziły z Brześcia nad Bugiem.

Naprzeciwko naszego domu znajdowało się miejskie ujęcie wody. Najpierw stała tylko pompa, ale potem rozebrano ją i zamontowano kran. Woda była sprzedawana, każdy kubeł, dwanaście litrów wody kosztowało jeden grosz. Przy kranie siedziała kobieta i jej płaciło się za wodę. W sąsiedztwie znajdował się plac targowy. W dni targowe zjeżdżali się chłopcy z okolicznych wsi z masłem, mlekiem, śmietaną, kurami, jagodami itp. Można tu było dostać wszystko, a gwar targowy i egzotyka wciągały nas, małych chłopaków, w wiejski, inny świat.

Na dolnej Wieniawie, w części, którą nazywaliśmy małym Czechowem, znajdowała się skocznia narciarska. Intrygowała mnie jej konstrukcja ale nie widziałem skaczących sportowców.

Ulicą Długosza dochodziło się do rogatki, a dalej droga prowadziła na Sławinek. Na wysokości rogatki znajdowała się ręczna stacja paliwowa. Byłem wtedy małym, ale pamiętam, bo wciągały mnie wszelkie nowinki techniczne, jak instalowano tę stację i ją malowano. Nieco dalej stał kościół garnizonowy, a za nim rozciągały się koszary 8 pułku piechoty. Za nimi kończył się nasz świat.

Z drugiej strony nasz świat kończył się na rzeczce Czechówka. Razem z kolegami chodziłem po łąkach i kąpałem się w Czechówce. Dalej się nie zapuszczaliśmy.

Koło mojego domu znajdował się przystanek autobusowy. Na tablicy był napis: „Autobus miejski miasta Lublina”. Tam właśnie ludzie wysiadając z autobusu często wyrzucali zużyte bilety. Zbierałem je i kolekcjonowałem, tak jak i inni chłopcy. Później przechwalaliśmy się, kto ma więcej i wymienialiśmy się. Niedaleko stał kiosk z gazetami, książkami i komiksami oraz wszelkimi drobiazgami. Przyklejałem twarz do szyby i z zaciekawieniem podglądałem nowe przygody Tarzana, Wyklętej Córki i innych bohaterów ówczesnej popularnej literatury.

Bardzo dobrze pamiętam Dom Żołnierza i kościół garnizonowy, ponieważ na każdą uroczystość schodzili się tam żołnierze. Lubilem wojsko polskie i bardzo często wystawiałem na rogatce, aby przyglądać się maszerującym żołnierzom. Szczególnie podziwiałem defilady pułku konnego, żołnierzy na koniach z szabłami i proporcami.

Na Wieniawie mieszkały także rodziny polskie, choć większość stanowiły rodziny żydowskie. Bawiliśmy się razem z polskimi chłopakami, graliśmy w piłkę, podchody. Wszyscy dla siebie byliśmy jak swoi i na Wieniawie nikt z rówieśników nie dukał mi ani z powodu żydowskiego pochodzenia, ani wyznawania innej religii. Inaczej było, gdy wychodziłem poza swoją dzielnicę, do miasta – jak mówiliśmy. Chłopcy polscy zaczepiali mnie prawie zawsze i nierzadko uderzali. Gdy zobaczyli Żyda, to tak jakby musieli go zaczepić i bić. To było bardzo przykre dla mnie, bo nie wiedziałem, z jakiego powodu obrywałem.



**Mosze Handelsman** urodził się w 1925 roku w Lublinie, mieszkał na Wieniawie przy ulicy Długosza. W roku 1939 wraz z matką i dwiema siostrami opuścił Lublin udając się na uścibód. Po wojennej tułaczce na terenach Związku Radzieckiego powrócił do Krakowa. W 1947 wyjechał z Polski do Izraela. Ponownie do Lublina przybył po 60 latach, w 1999 roku, z delegacją miasta partnerskiego Rishon LeZion.



Na Wieniawie były dwie synagogi, położone przy Alejach Racławickich, jedna koło drugiej. W każdą sobotę jako mały chłopczyk chodziłem z tatą do synagogi. Bardzo lubiłem święta Sukkot, kiedy budowaliśmy kuczki. Na każdym podwórku ustawiano jakby rodzaj szałasu z desek i tam gromadziła się rodzina i przyjaciele.

## OJCIEC

Żydzi w Lublinie znajdowali się w trudnej sytuacji ekonomicznej: nie mogli pracować w dobrym miejscu, nie można było wejść w lepsze prace – mogli być tylko szewcami, krawcami, stolarzami, sprzedawcami w sklepie lub na targu. Żydzi płacili podatki państwu, miastu i rabinowi. Ale im nie pomagał nikt, pozostawali sami sobie, żaden urząd im nie pomagał.

Do mojego taty uśmiechnęło się szczęście, ponieważ był drukarzem, a ten zawód cieszył się wysokim uznaniem społecznym. Do tego zawodu trzeba było posiadać wykształcenie techniczne. Tata był – razem ze swoim bratem – współwłaścicielem drukarni „Okreń”, znajdującej się przy ulicy Lubartowskiej pod numerem 3, naprzeciwko kehillat Lublin – siedziby Żydowskiej Gminy. Napis z nazwą drukarni pozostał na ścianie kamienicy do dzisiaj. Potem tata rozstał się ze swoim bratem i zaczął pracować w „Drukarni Polskiej Jana Chmielewskiego” – jak brzmiała jej pełna nazwa – na Krakowskim Przedmieściu. Tam pracował aż do wybuchu wojny.

W drukarni Chmielewskiego większość pracowników stanowili Polacy, wszyscy byli dobrymi ojca kolegami, szanowali go za dobrą pracę. Z jednym wszak ojciec serdecznie się przyjaźnił. Wincenty Pietrzyk – pamiętam jego wielkie i sumiaste wąsy. Pietrzykowie byli bardzo pobożni. Na Boże Narodzenie zawsze ustawiali i ozdabiali choinkę, a ponieważ nie mieli dzieci, zapraszali nas do siebie. Ściany w ich mieszkaniu pełne były świętych obrazków, a to z Maryją, a to z Jezusem, a to z aniołami i różnymi świętymi. Czuliśmy się dobrze w tej świątecznej atmosferze, pełnej radości i życzliwości. Pietrzykowie byli bardzo taktowni i w żaden

sposób nie okazywali dystansu wobec nas i naszej religii. Przychodziliśmy do nich przez wiele lat, aby wspólnie przy choince spędzić świąteczny wieczór.

Mój tata miał jeszcze wielu innych kolegów Polaków, niektórzy przychodzili do nas do domu w odwiedziny, na rozmowę, poczęstunek. Kowalski, Wachmesz, Nakonieczny, który niedaleko nas mieszkał.

Ojciec bardzo dobrze mówił po polsku, płynnie, z czystym akcentem. I dlatego wielu często myślało, że jest Polakiem, który ożenił się z Żydówką. Jego żydowskie imię Michael brzmiało, spolszczane na co dzień, jak polskie Michał. Prezentował się również bardzo z polska: miał duże, sumiaste, podkreśnione wąsy.

W domu obchodziliśmy wszystkie święta żydowskie według tradycji. Seder na Pesach prowadził tata, który opowiadał nam hagadę. Wszyscy byliśmy pięknie, świątecznie ubrani i słuchaliśmy z przejęciem. Pewnego roku zdarzyła się podczas sederu zabawna historia. Otóż, moja najstarsza siostra Estera nie rozumiała dobrze hebrajskiego. Kiedy mój tata opowiadał hagadę o dziesięciu plagach egipskich, trzeba było trącić palcem w kieliszek, a następnie powiedzieć dziesięć przykazań i powtórzyć po tacie słowo „dam”, to znaczy po hebrajsku krew. To na przypomnienie zamiany wody w rzecze Nil w krew. A moja siostra, która słowo „dam” rozumiała po polsku, powiedziała „nie dam”. Na te słowa małej Estery tata nic nie odpowiedział, choć to był wyraz jakby jej nieposłuszeństwa wobec ojca i historii żydowskiej. Przez całe życie ja i Estera, która zmarła dwa lata temu, wspominaliśmy tamto sederowe wydarzenie ze wzruszeniem i uśmiechem.

W domu otrzymaliśmy bardzo dobre wychowanie i wszyscy mieliśmy wielki szacunek dla naszego ojca. Nigdy nikt nie siadał na jego miejscu przy stole. Kiedy tata zasiadał do stołu, to zapadała od razu głęboka cisza.

## SZKOŁA

Wszystkie moje siostry chodziły do szkoły im. Królowej Jadwigi, która znajdowała się niedaleko

naszego domu. Natomiast mnie, który byłem jedynym synem w domu, rodzice zdecydowali się posłać do prywatnej szkoły hebrajskiej. Przez pierwsze trzy lata uczęszczałem do szkoły religijnej „Jawne”, która mieściła się w budynku przy ulicy Lubartowskiej, tam gdzie obecnie mieści się gmina. Tam uczyłem się pisać i czytać, ale poziom nauczania nie był zbyt wysoki. Kiedy szkołę tę zamknięto, nie wiem już z jakich powodów, rodzice zapisali mnie do Tarbutu, przy ulicy Niecałej 7. To była prywatna szkoła hebrajska, w której trzeba było płacić czesne, utrzymana na bardzo wysokim poziomie. Na początku, zaraz po zmianie, było mi bardzo ciężko, ale wkrótce udało mi się zostać dobrym uczniem.

W Tarbucie uczyli się razem chłopcy i dziewczęta. Mieliśmy wszystkie przedmioty powszechne, jak w szkołach polskich, czyli język polski, historię i geografii Polski i inne przedmioty, a ponadto język hebrajski, historię narodu żydowskiego i Tanach. W szkole rozmawialiśmy po hebrajsku.

Wymagania wobec uczniów były bardzo wysokie, a inspektor szkolny często sprawdzał nasze umiejętności. Pamiętam do dzisiaj niektórych nauczycieli: Dreszera, Pińczuka, Pasa, Klainbajcza, Poldinga, a przede wszystkim kierownika szkoły pana Murika, który zmarł w zeszłym roku w Izraelu.

Do szkoły chodziłem na piechotę. Z Wieniawy tylko ja jedyny chodziłem do Tarbutu. Rano droga do szkoły przebiegała spokojnie, ale w drodze powrotnej zawsze zaczepiali mnie polscy chłopcy. Wiedzieli, że jestem Żydem, bo na mojej szkolnej czapce był emblemat z gwiazdą Dawida. Zaczepiali mnie, rzucali we mnie tornistrami z książkami, nie było dnia, żebym nie dostał kusańca od któregoś z polskich chłopców. Tornistrami uderzali mnie w głowę. Wtedy musiałem uciekać przez Krakowskie Przedmieście lub przeemykać się przez inne ulice. Nie rozumiałem, dlaczego ci chłopcy mnie zaczepiali, ponieważ ja nic im nie robiłem.

W szkole obchodziliśmy dzień Ligi Obrony Przeciwlotniczej i uczestniczyliśmy razem z innymi polskimi szkołami w defiladzie. Następnie odbywały

się pokazy strzeleckie na poligonie na Czechowie. Później były pokazy powietrzne sił Ligi Obrony Przeciwlotniczej.

Uroczyście obchodziliśmy święto Niepodległości Polski i defilady. W tym dniu przyglądaliśmy się z zaciekawieniem defiladzie, która odbywała się na Krakowskim Przedmieściu. Defilował 8 pułk na czele z dowódcą, który siedział na koniu. W defiladzie uczestniczyła także pułkowa orkiestra. Potem szliśmy do synagogi na modlitwę. Tego dnia przychodził do synagogi polski oficer, który wygłaszał okolicznościowe przemówienie i pozdrowiał nas wszystkich z okazji święta niepodległości Polski.

W Lublinie była Jeszywa Chachmej Lublin. Wielokrotnie w ramach lekcji z Tanachu i historii żydowskiej chodziliśmy do jesziwy i tam objaśniano nam i tłumaczono historię Żydów. W jesziwie znajdowała się miniatura Beit Mígdasz, czyli model Świątyni jerozolimskiej, gdzie Żydzi w swoim świętym miejscu, składali ofiary Panu Bogu.

Z mojej byłej klasy, w której było około 40 uczniów, a uczyliśmy się razem przez trzy lata, od czwartej do siódmej, żyje do dzisiaj tylko dwóch: ja i Opatowski, który obecnie mieszka w Hajfie, z którym do dzisiaj utrzymuję kontakt. Mosze Opatowski, ojciec mojego kolegi, prowadził kantor na rogu ulicy Lipowej i Krakowskiego Przedmieścia. Trzeci szkolny kolega Erlechman zmarł w zeszłym roku.

## LUBLIN

Byłem dumny z mojego Lublina. Z historii Lublina doskonale pamiętałem wiele wydarzeń, przede wszystkim te najbardziej szczytne: Łokietka, który nadał prawa miejskie Lublinowi, postaci królowej Jadwigi i króla Władysława Jagiełły, unię lubelską, dzieje zamku lubelskiego. Ze wszystkich zwycięstw polskich, które poznawałem w historii byłem bardzo dumny. Dobrze się czułem, gdy Polacy okazywali się zwycięzcami, a gdy ponosili klęskę, to mnie to też bolało.

Uczono nas w Tarbucie, że Kazimierz Wielki przyjął Żydów, którzy byli prześladowani w Europie. Kazimierz Wielki chciał w ten sposób wspo-

móc rozwój Polski, bo Żydzi w wielu dziedzinach byli bardzo rozwinięci. I Żydzi przyjęli to zaproszenie, byli gotowi osiedlić się w Polsce i przybyli do kraju nad Wisłą, także do Lublina. Długo wszystko było w porządku, ale później sytuacja Żydów w Polsce zaczęła się psuć.

Historia była jednym z moich ulubionych przedmiotów, a w historii Polski zaczytywałem się z pasją. Historia uczyła mnie także tego, że Żydzi byli zawsze lojalni wobec państwa polskiego, walczyli o jego wolność, jak choćby Berek Joselewicz w czasie powstania kościuszkowskiego. Tak naprawdę byłem patriotą polskim, urodziłem się w Polsce, w Lublinie, tam byłem wychowywany w duchu patriotycznym, do dzisiejszego dnia znam całą historię Polski.

Nie mogę zrozumieć teraz i nie mogłem wtedy, w latach lubelskich, dlaczego Polacy zachowują tyle wrogości do Żydów. Przecież Żydzi nigdy nic złego Polakom nie zrobili. I nigdy nie dali realnego powodu, aby wzbudzić tyle polskiej wrogości. Żyd nie mógł awansować. Żyd miał zamkniętą drogę do awansów na stopnie oficerskie w wojsku polskim, tylko rabin wojskowy mógł otrzymać tytuł kapitana. Ciężko nam było, ale przecież nie wypieraliśmy się Polski.

Chrystus był Żydem, był świętym religijnym mężem. I umarł będąc Żydem. I wy lubicie tego człowieka, a nie lubicie Żydów. Nie mogę do dzisiaj tego pojąć. Pomówienia o dzieciobójstwo, o mieszanie krwi dzieci z macą – nie do pojęcia. U was także jest Biblia, a przecież to jest nasza Biblia. Biblia żydowska jest także Biblią chrześcijańską. Co się zatem stało, skąd wyrosła ta wrogość?

W okresie przedwojennym, gdy żył jeszcze Piłsudski, postawa i polityka wobec Żydów były poprawne, jeszcze tak bardzo nam nie dokuczano. Kiedy Piłsudski umarł, to wszyscy Żydzi w całej Polsce płakali z tego powodu. W Lublinie też, także my. To wydarzenie dokładnie pamiętam. Miałem wtedy jedenaście lat, kiedy pewnego poranka o godzinie piątej przyszła polska kobieta, która przynosiła nam mleko. Przeżegnała się i oznajmiła nam, że Piłsudski nie żyje. Wszyscyśmy płakali, cała

moja rodzina płakała, ja też. Wiedzieliśmy, że on dla Żydów był niczym „spasitiel”, wybawiciel. Do dzisiaj pamięć o tamtym wydarzeniu wzrusza mnie głęboko.

Po śmierci Piłsudskiego, gdy nastał Rydz-Śmigły, wszystko przemieniło się na gorsze dla Żydów. Rydza-Śmigłego widziałem raz podczas defilady w Lublinie. Był bardzo przystojny, podziw wzbudzała jego wojskowa sylwetka na koniu, ale w polityce nie miał wobec Żydów dobrej ręki.

## WOJNA I TUŁACZKA

W czerwcu 1939 roku skończyłem siódmą klasę i zarazem szkołę powszechną. Nie było jasne, gdzie mam dalej się uczyć. Niedaleko nas znajdowała się szkoła rzemieślnicza. Ojciec zaszedł tam, ale powiedziano mu, że nie przyjmą mnie, bo nie przyjmują dzieci żydowskich. Ojciec był w rozterce, nie wiedział, co ze mną dalej robić. Aby pójść do gimnazjum, trzeba było dużo pieniędzy. Nie byłem jedynakiem, w domu było nas sześcioro dzieci, o każdym trzeba było myśleć.

Początek września i wkroczenie Niemców do miasta pamiętam doskonale. To była sobota jak Niemcy przeszli przez Lublin. Wcześniej nadleciały samoloty i bombardowały miasto. W nocy Niemcy powtórzyli nalot. Lublin znalazł się pod okupacją.

Niemcy robili, co chcieli i z Polakami, i z Żydami. Pewnego dnia byłem świadkiem rozstrzelania grupy Polaków na rogatce, na styku Alei Raclawickich i ulicy Długosza. Gdy któryś Niemiec zaczął kogoś na ulicy, to trzeba było iść za nim i pomagać mu we wszystkim, czego zażądał. To już było dobrze, gdy tak się „trafiło”, bo przecież bez żadnego powodu można było zostać zastrzelonym. Widziałem kiedyś na własne oczy, jak pewien chłopiec na ulicy sprzedawał papierosy machorkowe po dwa złote. Podszedł do niego młody żołnierz niemiecki i spytał: „Ile to kosztuje?”. „Dwa złote” – odpowiedział chłopiec. Niemiec wziął papierosy i zastrzelił chłopca. Na ulicy, na oczach wielu świadków! To było ciężkie życie.

Staralem się raczej siedzieć w domu i nigdzie nie wychodzić, ale nie udało się. Przydzielono mnie do służby pewnemu Niemcowi. Ostatnie dwa miesiące byłem u Niemca na służbie.

Rodzice rozmawiali między sobą, co robić. Uznali, że trzeba się jakoś ratować i postanowili, że najpierw mama ze mną i dwiema siostrami wydostanie się z Lublina i uda się do swojej rodziny w Brześciu nad Bugiem. W końcu trzydziestego dziewiątego roku, w okolicy żydowskiego święta Chanuka, opuściliśmy Lublin we czworo: mama, siostry – Estera i Pola oraz ja. Tata z Maszą, Elką i Haną pozostali w Lublinie.

Zamierzaliśmy wydostać się z Lublina pieszo. Poszliśmy na ulicę Lubartowską, aby wypytać się, którędy trzeba iść i jaka jest sytuacja na drogach. Wskazano nam stojący niedaleko, na ulicy Ruskiej, wóz, zaprzężony w dwa konie, który jechał w kierunku, w którym chcieliśmy się udać. Za zgodą tego chłopca i opłatą wsiedliśmy. Na wozie byli także Polacy, co stanowiło okoliczność dla nas korzystną. Mimo to wozak szczelnie nas zakrył i do końca podróży nikt niepożądany nas, na szczęście, nie zauważył.

Gdy przybyliśmy do Włodawy, mama poszła do komendantury niemieckiej, aby dostać jakieś papiery zezwalające na przekroczenie granicy niemiecko-rosyjskiej na Bugu. Niemiec zapisał wszystkie podane dane, ale pod koniec rozmowy zapytał się mamy, czy jest Żydówką? Mama odpowiedziała, że tak. Wtedy ten wściekł się, że został oszukany, bo napisał – na darmo – cały protokół nie wiedząc, że mama jest Żydówką. Mama nie wiedziała, że jako Żydówce nie wolno jej było nawet tam wejść. W końcu wykrzyczał, aby mama nie myślała o żadnych papierach dla siebie i dzieci i wypędził ją z biura. Na szczęście, nie zatrzymał mamy, tylko ją wypuścił. Mógł ją przecież od razu zaarrestować, a wtedy już tylko wysłać na roboty, lub do getta, albo od razu na rozstrzelanie. Niemcy byli źli wobec Polaków, ale wobec Żydów byli jeszcze gorsi.

Postanowiliśmy jednak przedostać się na drugą stronę Bugu, już sowiecką. Wyszliśmy za Włodawę i szukaliśmy przeprawy na drugą stronę. Mama za-

płaciła polskiemu przewoźnikowi dużo pieniędzy i ten wziął nas do swojej łódki. W czasie przeprawy Niemcy zaczęli strzelać za nami, ale się udało. Po drugiej stronie przyjęli nas żołnierze rusczy. Dotarliśmy do Brześcia, tam znaleźliśmy rodzinę mamy.

Mój wujek Chaim Hazan, brat mamy, był mechanikiem kinowym. Wówczas to był dobry zawód, nie było dużo kin. Rodzice, jeszcze w Lublinie, myśleli, abym wyuczył się jakiegoś zawodu i to przesądziło, że właśnie ja uciekłem z mamą z Lublina, z tą myślą, abym u wujka nauczył się dobrego fachu. Zaraz też mama podjęła starania, aby wyciągnąć męża i pozostałe córki z Lublina.

Ojciec miał brata, który był pułkownikiem w armii sowieckiej. Wydawało nam się, że on może pomóc, że być pułkownikiem, to coś znaczy. Nie znaleźliśmy jeszcze radzieckiego systemu. Dowiedzieliśmy się, że wujek pułkownik przebywa w Odessie. Chcieliśmy pojechać do niego, aby prosić o pomoc w wydostaniu ojca i sióstr. Nie znaleźliśmy jego adresu, więc nie mogliśmy się z nim porozumieć. Posłaliśmy list, bez odpowiedzi. Na drugi odpowiedziano, że nie ma takiego, na trzeci list przyszła odpowiedź, że adresat wyjechał.

Wtedy zdecydowaliśmy się jechać do Odessy. Ruszyliśmy do Odessy, a dowieziono nas do jakiegoś kołchozu. Nie ma ludzi, nie ma nikogo, nic nie wiemy. Okazało się potem, że jesteśmy w kołchozie Michajewicze, 23 kilometry od małego miasteczka Kryczew. I tak życie nas wyprowadziło, dosłownie w pole... Z kołchozu wydostaliśmy jakoś i dojechaliśmy do Kryczewa.

Tam dalej staraliśmy się wydobyć siostry z Lublina poprzez Narodnyj Komisariat Innostrannyh Dieł. Już tylko siostry, ponieważ w międzyczasie doszła do nas tragiczna wieść, że ojciec nie żyje. Siostry napisały, abym odmówił kadisz za swego ojca. Byłem zrozpaczony...

Dopiero później dowiedzieliśmy się, jak zginął ojciec. Mosze Mandelmlach, który dzisiaj ma 90 lat, mieszkał wtedy na końcu ulicy Długosza, obecnie jest moim sąsiadem w Rishon leZion i słyszał, że tata został zaarrestowany i brutalnie pobity przez Niemców, tak że zmarł z wycieńczenia i ran.

Niestety, później zaginął wszelki śluch o moich trzech siostrach, które zostały w Lublinie. Zaczęła się wojna niemiecko-radziecka i straciliśmy z nimi kontakt. Z ich ostatniego listu wynikało, że zostały wysłane do getta bo pisały, że wszystkich z Włochy zesłano na ulicę Lubartowską. Myślałem natomiast, że w może mieszkają na Lubartowskiej, tam gdzie mieściła się drukarnia „Określ”, a to przecież chodziło o getto, o którym my nie mieliśmy żadnego pojęcia. Potem na pewno zginęły, tak jak tysiące innych Żydów. Interesowałem się przez wiele lat ich losem, pytałem wszędzie. Nikt nic nie wiedział i nie wie...

W czerwcu 1941 roku wybuchła wojna, ale zanim Niemcy wkroczyli w okolice Kryczewa, ewakuowano wszystkich, razem z fabrykami, bydłem. Wywieziono nas czworo, razem z innymi mieszkańcami, do Uzbekistanu i tam przeżyliśmy resztę lat wojennych, aż do końca.

Po wojnie udaliśmy się do Polski, do Krakowa. Tam próbowałem dowiedzieć się czegoś o moich siostrach, ale nie uzyskałem żadnych informacji. W tym czasie był pogrom w Kielcach i inne ekscesy antyżydowskie i doradzano mi, abym nie wracał do Lublina, że lepiej zostać w Krakowie. To był znowu czas koszmaru, niepokoju i nowych lęków.

## POWRÓT DO EREC ISRAEL

Wtedy postanowiłem udać się do Izraela. Z Krakowa pojechałem do Niemiec, z Niemiec do Włoch, a z Włoch statkiem do Hajfy, oczywiście nielegalnym rejsiem, wbrew postanowieniom brytyjskim. Anglicy blokowali bowiem dostęp Żydom do Palestyny. Do Izraela już prawie dotarłem, razem z mamą, w 1947 roku. Na morzu Anglicy odkryli nasz statek, postanowili nas jednak w wojskowym konwoju dowieźć do Hajfy. Dopłynęliśmy do wrót portu, zobaczyliśmy Hajfę... co to wtedy znaczyło dla nas, nie można tego sobie

wyobrazić ani wyrazić, czym był widok własnego kraju. Ale... nie zesłaliśmy na ląd! Ludzie demonstrowali i protestowali, aby dano nam zejść, ale nic z tego. Przeprowadzono nas w eskorcie na angielski statek więzienny i przewieziono na Cypr. Tam przebywałem przez dwa lata. Wszystko wyglądało tak, jak w obozach koncentracyjnych w Niemczech, tyle że nas nie zabijano. Dopiero, gdy Anglicy opuścili Izrael, przewieziono nas do kraju. Wtedy, w 1949 roku, razem z matką i moją żoną Awuwą z domu Nowak, pochodzącą z Rafałówki – żydowskiego miasteczka niedaleko Równego – i razem z moim synem przyjechaliliśmy do Izraela.

Siostry początkowo zostały w Krakowie. Następnie jedna pojechała do Ameryki, a druga przyjechała do Izraela. Estera umarła dwa lata temu, a Pola żyje do dzisiaj i ma około 80 lat.

Z całej naszej licznej rodziny wojnę przeżyła tylko moja mama, dwie moje siostry i moja kuzynka Edzia z Warszawy. Po innych pozostały tylko wspomnienia.

## POWRÓT DO LUBLINA

Ponownie przybyłem do Lublina tylko raz, w 1999 roku. Przyjechałem w składzie delegacji z Rishon leZion z prezydentem miasta Meirem Nitzanem. Wróciłem równo po 60 latach na ulicę Długosza – mój dom już nie istnieje, nie ma także owej ujęcia publicznego wody. Udało mi się zlokalizować miejsce położenia naszego domu, teraz znajduje się tam jakiś skład. Zrobiłem zdjęcie. Pozostał dom pod numerem 12, a z dalszych domów, pod numerem 14 i mój, pod 16, nie pozostało nic.

A jednak coś pozostało, coś drogiego i osobistego: moje przywiązanie do rodzinnego miasta, miejsce w sercu, które wypełnia pamięć o Włochach i Lublinie, o rodzinie w latach lubelskich.

Spisał i opracował: *Ryszard Montusiewicz*

## POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Lublin, to miasto mojego dzieciństwa i młodości. Tu się urodziłem w kamienicy przy ulicy Lubartowskiej 61. Później mieszkaliśmy przy ulicy Karłowickiej.

Pozostały mi w pamięci niektóre obrazy z beztrudnych lat dzieciństwa: jazda na łyżwach na specjalnie utworzonym lodowisku na placu Unii Lubelskiej, tor saneczkowy w Ogrodzie Saskim, pobliska cegielnia na Lemszczyźnie – obiekt dziecięcego zainteresowania. Z ciekawością przyglądałem się pracy konia, który chodząc w koło, poruszał kierat mieszający glinę na cegły. W okresach przerw w wypalaniu cegieł, kiedy olbrzymi piec był już chłodny, bawiłem się z kolegami w chowanego w zaułkach „zaczarowanych labiryntów”. Z balkonu naszego mieszkania przyglądałem się pogrzebom chrześcijańskim i żydowskim, które przechodziły ulicą Unicką na sąsiadujące ze sobą cmentarze.

Pamiętam, że jeszcze jako podrostek często odczuwałem niezrozumiałe dla mnie przygnębienie... Czy były to może złe przeczucia? Życie przecież było tak beztrudne i szczęśliwe.

Uczęszczałem do szkoły podstawowej nr 28 przy ulicy Zamojskiej. Z tego okresu zapamiętałem nazwisko nauczyciela Frachtera, który miał zwyczaj karać uczniów uderzeniem linijką w otwartą dłoń. I mnie zdarzyła się taka kara, a zapamiętałem ją, bo nie zasłużyłem na nią. Jeszcze jedno przykre wydarzenie, z okresu szkoły powszechnej utkwilo mi w pamięci. Było to w rocznicę śmierci marszałka Piłsudskiego, nauczyciel kazał mi przygotować referat na ten temat. Referat był udany. Wieczorem, kiedy wracałem do domu po uroczystości związanej ze wspomnianą rocznicą, natknąłem się na grupę chłopaków, idących z naprzeciwka. Zbliżywszy się do mnie sygnęli mi piaskiem w oczy. Przy-

stanąłem, aby przetrzeć oczy i wtedy jeden z nich przyskoczył i wbił mi nóż w plecy. Na szczęście rana nie była głęboka, ale blizna i wspomnienie pozostały...

Po ukończeniu szkoły powszechnej (podstawowej) rozpocząłem naukę w Gimnazjum Humanistycznym przy ulicy Radziwiłłowskiej. Od czwartej klasy gimnazjalnej uczniowie byli zobowiązani do przeszkolenia w zakresie przysposobienia wojskowego (tzw. PW). W święta narodowe defilowaliśmy przez Krakowskie Przedmieście z karolinami na ramieniu – były to francuskie karabiny z roku 1890, o reprezentacyjnym wyglądzie, ale niesamowicie ciężkie. Podczas ćwiczeń w strzelaniu silnie się odbijały, pozostawiając na prawym ramieniu bolesne siniaki. Moja dobra mama, uszyła mi poduszeczkę pod bluzę, abym mógł ochronić ramię przed obiciami.

Do miłych wspomnień owego gimnazjalnego okresu należały spacerunki do cukierni Chmielewskiego na wyśmienite pączki. Inne niezapomniane „radości podniebienia”, kierują moją pamięć do kolonialnego sklepu pana Proczka, słynącego z wyrobów mięsnych i smacznych wędlin.

W sierpniu 1939 roku zdążyłem jeszcze uczestniczyć w ćwiczeniach na letnim obozie przysposobienia wojskowego, a we wrześniu radosne dni młodości zostały brutalnie przerwane przez wybuch wojny.

Do szkoły już nie wróciliśmy, a w sobotę, 6 września, niemieckie samoloty zbombardowały Lublin. Wojskowy komendant miasta wydał odezwę. Jej postanowienia obowiązywały wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, których wzywano, aby opuścili miasto i udali się na wschód celem mobilizacji. Tak jak inni mężczyźni, ja także – szesnastoletni wówczas młodzien – wraz z moim



**Icchak Carmi** urodził się w Lublinie, który opuścił w 1939 roku wraz z ojcem. Uciekając na wschód, uniknął zagłady. W 1951 r. wyjechał do Izraela. Służył w wojsku w randze podpułkownika. Ukończył uniwersytet, założył rodzinę, jest ojcem dwóch synów i dziadkiem. Do Lublina przyjechał w 2000 r. (po raz pierwszy od opuszczenia go w 1939 r.) ze swoim 16-letnim wnukiem Nave. Fot. Iwona Burdzanowska.

ojcem, pożegnałem matkę i młodszego brata i udaliśmy się „na wschód”. Żegnaliśmy Lublin z nadzieją szybkiego powrotu. Jak się okazało była to złudna nadzieja.

Ruszyliśmy więc w kierunku wschodnim wraz z tysiącami uciekinierów z innych rejonów. Po drodze spotykaliśmy polskich żołnierzy w pełnym rynsztunku, którzy wraz z oficerami szli również... na wschód. W Łucku napotkaliśmy sowiecką armię. Nie zapomnę tego powitania. Uciekinierzy – cywile i polscy żołnierze – z wielką radością witali sowieckich „wybawicieli” w przekonaniu, że przyszli oni pomóc w walce z Niemcami. Ta nadzieja i chwilowa radość zamieniły się w straszliwe rozczarowanie...

Żołnierzy polskich rozbrojono, oficerów aresztowano. Rzeka Bug stała się granicą pomiędzy nowymi zaborami. Zostaliśmy odcięci i straciliśmy możliwość powrotu do Lublina. W Kowlu mieliśmy przyjaciół i tam wraz z ojcem postanowiliśmy się udać. Jeszcze tliła się w sercu iskierka nadziei, że ten koszmar szybko się skończy i wkrótce powrócimy do domu – do Lublina. Tymczasem zapisałem się do miejscowego gimnazjum i zdałem tam egzaminy maturalne.

Władze sowieckie przeprowadzały rejestrację wszystkich „uchodźców”, proponując przyjęcie obywatelstwa sowieckiego. Kto się zgodził, mógł pozostać na miejscu lub przenieść się w głąb sowieckiego „raju”, aby wojnę jakoś przetrwać. Z taką propozycją zwrócono się też do mnie i mego ojca. Odmówiliśmy. Po pół roku wraz z innymi, którzy postąpili podobnie, zostaliśmy aresztowani i zesłani na Sybir.

Wtłoczono nas do wagonów towarowych, które wlokły się przez długie dni i noce, aż do skończenia się linii kolejowej. Dalej możliwy był już tylko transport wodny. Na rzece Czuluym czekały na nas statki. Statkami dopłynęliśmy na tereny tajgi sybirskiej, a tam umieszczono nas w obozach pracy.

Głód, szkorbut, kurza ślepotą, chłód i mrozy nie do opisania... Warunki, w jakich pracowaliśmy i żyliśmy, trudno opisać. Pracowaliśmy przy wycięciu lasów oraz transportowaniu ściętych drzew aż nad

rzekę Czuluym. Ścięte drzewa, oczyszczone z gałęzi konie wywoziły z głębi tajgi do stacji kolejki wąskotorowej. Stamtąd pociągi przewoziły drewno nad rzekę. Na rzece budowaliśmy tratwy. Były to jakby przymy złożone z wielu warstw belek powiązanych ze sobą. Poszczególne tratwy łączone były jedna z drugą i w ten sposób tworzyła się długa kilometrowa karawana. Za nią budowano tak zwaną „tratwę matkę” o długości dwudziestu pięciu metrów i szerokości dziesięciu, na której płynęła załoga kierująca karawaną. Całą tę mozolną pracę wykonywaliśmy podczas mroźnej zimy, na grubym lodzie zamrożonej rzeki. Wiosną, kiedy lody pękały, karawanę opuszczano na wodę i ruszano w dół rzeki do stacji kolejowej w miejscowości Asino.

Uwolniono nas z obozu po podpisaniu umowy pomiędzy gen. Sikorskim a Moskwą. Tysiące zwolnionych ruszyły w długim marszu w kierunku południowo-zachodnim. Dopłynęliśmy na tratwie do najbliższej stacji kolejowej, oddalonej o około 200 km. Stąd udaliśmy się do Uzbekistanu, a potem do Kazachstanu. Przez pewien okres przebywaliśmy w Samarkandzie, następnie w miejscowości Kała-Kurgan.

Wtedy właśnie dotarła do nas wiadomość, że formuje się wojsko polskie pod dowództwem gen. Andersa. Ruszyliśmy wraz z innymi do najbliższego punktu zbiorczego. Wśród tysięcy ochotników było wielu Żydów. Na miejscu ustawiono nas w dwuszeregu i wtedy usłyszeliśmy komendę: „Polacy wyznania mojżeszowego krok na przód, wystąp!” Wystąpiliśmy i... wróciliśmy do miejsca naszego pobytu. Pomimo że byliśmy młodzi i gotowi do walki z Niemcami, odrzucono nas... Dodawali nam sobie animuszu, opowiadając gorzkie dowcipy o tym, że gen. Anders zabrał Polaków do Palestyny, a Żydów pozostawił Sowietom. Rok później w miejscowości Buzuług koło Moskwy formowała się dywizja Kościuszkowców. Znowu zgłosiliśmy się jako ochotnicy... i znowu nas nie przyjęto, nie podając nawet przyczyny. Wróciliśmy spod Moskwy do Kazachstanu, rozgoryczeni faktem, że nie przyjęto nas do polskiego wojska po raz drugi. To była prawdziwa ironia losu...

Po długiej tułaczce wróciliśmy wreszcie do Polski – był już rok 1946. Zatrzymaliśmy się w Krakowie. Pierwszym zamiarem mego ojca był powrót do Lublina, aby się dowiedzieć o losach naszej rodziny. Wrócił z Lublina kompletnie załamany. Jego oczy wyrażały wszystko. Pytania były zbędne. Z naszej rodziny nikt nie pozostał, tylko my dwaj. Przyrzekłem sobie wówczas, że, jak długo będę żył, nigdy do Lublina nie pojedę. Wszystko było stracone. Po takiej stracie zaczynać życie od nowa można było tylko gdzieś z dala od miejsc, które tak boleśnie przygniatały ciężarem rodzinnej tragedii i nie pozwalały myśleć o niczym innym, jak tylko o tym straszliwym dramacie. Postanowiliśmy opuścić Polskę i wyjechać do nowo utworzonego państwa – do Izraela.

Kiedy przybyłem do „erec Israel”, od razu zostałem włączony do wojska. Ukończyłem szkołę oficerską. Brałem udział w trzech wojnach. Zakończyłem służbę wojskową w stopniu podpułkownika. Ukończyłem studia na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Ożeniłem się z Krystyną, też pochodzącą z Polski, i zostałem ojcem dwóch dorodnych synów, a z czasem dziadkiem.

Wspomnienia o Lublinie pomału zacierały się, pozostawały gdzieś w głębi serca, w ciszy której starałem się nie płoszyć...

Minęło 60 lat... Niespodziewanie, jesienią 2000 roku zostałem zaproszony na spotkanie z prezydentem miasta Rishon LeZion, którego jestem mieszkańcem. Pan Meir Nitzan zaproponował mi, abym jako „lublinianin”, bo urodzony w Lublinie, towarzyszył mu wraz z oficjalną miejską delegacją w podróży do Lublina (!) na uroczystość w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. W dodatku, zaproszony został także mój 16-letni wnuk Nave.

Propozycja ta zaskoczyła mnie i wprawiła w zakłopotanie. Telefony z biura pana Nitzana przypominały o zaproszeniu, a ja ociągałem się z odpowiedzią.

Ja – w Lublinie? Czy potrafię przezwyciężyć uczucie krzywdy i żalu za to wszystko, co tam się wydarzyło!... Przyznaję, że decydujący wpływ na podjęcie decyzji miała moja żona, która powiedziała: „Nie możesz wiecznie trwać w tym smutku i po-

czuciu krzywdy. Przecież w tym twoim Lublinie bywały też chwile radosne. Powrót do Lublina może właśnie stać się dla ciebie powrotem do tej radosnej przeszłości”. Pamiętałem, że opuściłem Lublin mając dokładnie tyle lat ile mój wnuk. Jego hebrajskie imię Nave znaczy po polsku „oaza” – symbol życia na pustyni. I oto teraz – myślałem – mogę udowodnić, że życie jest silniejsze od śmierci i nawet na zgłiszczach powstaje nowe życie. Po takich rozważaniach i naleganiu mojej żony, postanowiłem odpowiedzieć pozytywnie na zaproszenie prezydenta Rishon LeZion.

W drodze do Polski wypełniała mnie mieszanina uczuć: radości, ciekawości, wzruszenia, ale zarazem jakiejś niepewności, może nawet pewnej obawy... Jak zareaguję, gdy po 60 latach nieobecności stanę przed domem, w którym przyszedłem na świat. Czy potrafię spokojnie przejść znanymi ulicami? Coraz bardziej wzrastała we mnie świadomość, że spotkanie z Lublinem nie będzie dla mnie wycieczką turysty – to będzie powrót do przeszłości, do trudnej przeszłości.

I oto przybyłem do „mojego” miasta. Wzruszającym echem odezwało się to wszystko, co leżało mi na sercu, tłumione przez wiele lat. Wspomnienia przebiegały jak szkiełka mozaiki w kalejdoskopie.

Oto dom przy ulicy Lubartowskiej, gdzie się urodziłem, mój dom. Stoi na miejscu! Jest również dawny sklep pana Proczka, w którym teraz, zamiast wędlin, sprzedaje się odzież. A tu – Brama Krakowska, w której codziennie o godzinie ósmej strażak wygrywał hejnał. Kolejne miejsca: Brama Grodzka, Krakowskie Przedmieście, pomnik Nieznanego Żołnierza i wiele innych ... Ile lat minęło? Zdawało mi się, że właściwie nigdy stąd nie odjechałem, że tymi ulicami przechodziłem dopiero co, może wczoraj...

Ale z drugiej strony nowy Lublin, nowe piękne dzielnice i nowe ulice przekonująco mówiły o wielu latach mojej tu nieobecności. Makieta dzielnicy żydowskiej w Bramie Grodzkiej wyraziście przypominała o już nieistniejącym Lublinie. W Muzeum Martyrologii na Majdanku, zachowującym dowody z czasów holocaustu i zbezczeszczenia człowieka,



zdawało mi się, że słyszę krzyk pomordowanych i umęczonych w tej fabryce śmierci. Krzyk, którego jeszcze i dziś – niestety – tak wielu nie słyszy i odważa się zaprzeczać temu, co się wydarzyło...

Zaproszenie naszej delegacji z Rishon LeZion przez arcybiskupa lubelskiego Józefa Życińskiego było dla mnie wielką niespodzianką. Jego życzliwa postawa wobec Izraela, wobec narodu żydowskiego, nappełniła mnie nadzieją, że rozwinię się pozytywny dialog i dobre relacje pomiędzy chrześcijanami i Żydami.

Podziwiałem wysiłki ludzi dobrej woli oraz owoce ich pracy na rzecz poznania i pojednania

obu naszych narodów, w postaci licznych książek, prac naukowych, inicjatyw społecznych i kulturalnych, które mają zachować pamięć o tym, co było związane z żyjącymi w Lublinie przez wieki żydowskimi mieszkańcami.

Ukoronowaniem mojej wizyty w Lublinie była pamiętna uroczystość „Jedna ziemia – dwie świątynie”, która odbywała się na Starym Mieście i terenie dawnej dzielnicy żydowskiej. Mój powrót do Lublina – powrót do przeszłości, nappełnił mnie optymizmem i nadzieją na lepszą przyszłość dla młodych pokoleń obydwu narodów – polskiego i żydowskiego.

Opracował: *Ryszard Montusiewicz*

Aleksander Szryft

## LUBLIN, JAKI PAMIĘTAM

Przed II wojną światową mieszkaliśmy przy ulicy Szerokiej 40, w kamienicy lubelskiego cadyka, Szlomo Eigera, przywódcy lubelskich chasydów. Mój dziadek był chasydem Eigera i za jego namową najął mieszkanie w tym domu. Przeniesienie się do domu Eigera miało związek z rzekomymi prorocत्वami cadyka. Moja babka przez dłuższy czas nie mogła zająć w ciąży, a jeżeli już zachodziła, to dzieci umierały w wieku niemowlęcym. Dziadek, jako pobożny chasyd, poszedł więc do swojego rebebo po poradę i ten stwierdził, że w jego kamienicy zwolniło się mieszkanie i jeżeli zamieszkają z babką u niego, wtedy dzieci będą żyły. Rzeczywiście, gdy dziadkowie przenieśli się na Szeroką 40, zaczęły się rodzić zdrowe dzieci. Jednak potem moja matka zmarła nagle na raka w wieku 42 lat, a wujek w wieku 43 lat został zamordowany przez Niemców.

W każdym razie rodzina zamieszkała przy Szerokiej 40. Od frontu do kamienicy przylegała bóżnica chasydów lubelskich. Miała ona wejście od ulicy Szerokiej i odgródzona była od niej parkanem. Przed bóżnicą znajdowała się suka-kuczka, którą wykorzystywano w święto Sukkot. Drugie wejście było od uliczki, która prowadziła do ulicy Nadstawnej. Przy tej przechodniej uliczce, naprzeciwko bóżnicy znajdował się skład węgla. Trzecie wejście do bóżnicy było od zachodniej ściany i przeznaczano je tylko dla cadyka. Miało ono połączenie schodami z jego mieszkaniem. Na tejże samej ścianie znajdował się Aron ha-Kodesz, a pośrodku bóżnicy umiejscowiona była bima. Za nią stały ławki dla modlących się. Tylko najzamożniejsi posiadali swoje miejsca przy Wschodniej Ścianie. Specjalnie je wykupywali.

Cadyk Szlomo Eiger posiadał duże wpływy w Lublinie i jeszcze większe na prowincji. W każdą sobotę przybywali do niego jego chasydzi. Wię-

kość tych osób była niezamożna. W szabat zostawiali swoje rodziny i przyjeżdżali do Eigera, by zasiąść przy jednym stole ze swoim rebe. Mówiono, że przychodzą łapać szirajim – pozostałości jedzenia, które pomiędzy swoich zwolenników dzielił rebe. Główne dania dzielono przede wszystkim pomiędzy najbogatszych, którzy mieli zaszczyt zasiadania najbliżej osoby cadyka. Oczywiście związane to było z pieniędzmi, które Eiger otrzymywał od nich, o czym będzie za chwilę. Natomiast chasydzka hołota, pospółstwo, siedziało dalej i właśnie szirajim zostawiano dla nich.

Chasydzi w ogóle przypisywali pieniądzwowi moc oczyszczającą. Głoszono wśród nich zasadę, że „pieniądze oczyszczają z różnych grzechów”. Każda porada u rebebo kosztowała, każde popełnione przewinienie można było odkupić odpowiednio wysokim datkiem, który szedł do kasy cadyka. W marksizmie mówi się o tym, że jest to fetyszizm towarowy. Nic więc dziwnego, że cadycy w Polsce byli bardzo bogaci. Jak mówi polskie przysłowie: „za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli”. Urzędowi, którzy siedzieli w rabinacie – w Lublinie rabinat mieścił się w kamienicy Rynek 8 – byli biedni, bo ich pobory zależały od stanu finansów gminy. Sam Eiger w lubelskim rabinacie nie zasiadał, chociaż tam również miał swoje wpływy. Dzieci Eigera chodziły bardzo elegancko i już całkiem po europejsku ubrane.

O wpływie pieniędzy na postawę cadyka i o jego autorytecie świadczy słynna historia o największym cadyku w Polsce, Alterze z Ger (Góry Kalwarii). By gerer chasidim mogli przyjeżdżać do swojego rebebo z Warszawy, puszczono ze stolicy do Góry Kalwarii specjalną kolejkę wąskotorową. Przed każdym szabatem podróżowały nią tłumy chasydów. Kiedyś w pociągu doszło do antysemickich



**Szaja-Aleksander Szryft**, s. Jakowa, ur. 1920 r. w Lublinie. Ukończył Liceum J. Zamojskiego w Lublinie, a studia w Warszawie. Jest architektem. Pod koniec lat 50. wyjechał do Izraela. Mieszka w Tel Awiwie. Jest prezesem Ziomkostwa Lubelskiego w Izraelu.

ekscesów, pobito kilku chasydów i wtedy cadyk zakazał korzystania z kolejki. Linia zamarła na kilka tygodni, a że była własnością jakiejś spółki belgijskiej, więc sami współwłaściciele przyjechali do Altera. Wybłagali, by znów nakazał swoim zwolennikom korzystać z kolejki. Błagania zostały poparte odpowiednio dużą sumą pieniędzy oraz obietnicą ochrony. I Alter zezwolił swoim chasydom na jazdę kolejką, a w każdym wagonie porządku pilnował policjant.

Wracając do Eigera, na święta żydowskie, gdy przyjeżdżało do niego szczególnie dużo chasydów, zwłaszcza z prowincji, cała Szeroka robiła się czarna od chasydzkich kapot. Ale Eiger, mimo silnej pozycji, nie miał aż tak wielkiego wpływu na lubelskich Żydów. Naprzeciwko jego okien, po drugiej stronie Szerokiej, pewna Żydówka miała sklep i otwierała go, ku zgrozie rebege i jego chasydów, w soboty. Nie pomagały żadne klątwy i moralne perswazje, bo kobieta ta nie znała nawet w ogólnym pojęciu znaczenia słowa moralność. Obecnie w Jerozolimie ten numer nie przeszedłby i musiałaby zamknąć sklep w sobotę.

O Eigerze lubelskim mówiono też, że zdetronizował w Lublinie swojego starszego brata, Azriela, któremu zgodnie z prawem dziedziczenia należało się stanowisko cadyka. Azriel wyjechał do Warszawy i tam dojeżdżała do niego część chasydów lubelskich, którzy nie chcieli uznać za cadyka Szlomo Eigera.

Oprócz chasydów lubelskich, w Lublinie były również grupy innych chasydów. Po nieparzystej stronie ulicy Szerokiej, już przy samej Ruskiej – to był ostatni dom na Szerokiej, nr 43 lub 45, mieścił się sztibł chasydów z Turzyska na Wołyniu i rezydował tam Trisker Rebe. Przy Lubartowskiej 21 znajdował się dwór cadyka z Białej – Bialer Rebe. Ten cadyk miał wielki problem przed wojną, ponieważ jego córka zakochała się w chrześcijaninie.

Przy Lubartowskiej 18 swój sztibł mieli chasydzi z Radzyna i rezydował tu rebe Leiner, pochodzący ze znanego rodu Leinerów, posiadającego dwór w Radzynie, gdzie przenieśli się z Izbicy. W czasie okupacji hitlerowskiej Leiner z Lublina walczył w par-

tyzantce, a po wojnie wyjechał do Izraela. Dzisiaj synagoga i jesziwa Leinerów mieści się w Bnei Braj koło Tel Awiwu.

Byli też w Lublinie chasydzi z Humania. Nazywano ich także chasydami z Braclawia lub di Tojte Chasidim – „Martwi chasydzi”. Ich dawnym przywódcą był cadyk Nachman z Braclawia na Ukrainie, który nie zostawił po sobie następców, stąd też ich nazwa „Martwi chasydzi” – to znaczy bez rebege.

Znanym miejscem na Szerokiej był dom pod numerem 28. Mieściła się tu dawna bóżnica Widyńskiego z Lublina. Na parterze tego domu znajdowała się piekarnia, która wypiekała ciastka dla cukierni. Piekaczem tam był Mordechaj. Na piętrach kamienicy mieszkali lokatorzy. Sama bóżnica usytuowana była za piekarnią, a wchodziło się do niej przez wejście prowadzące od uliczki przebiegającej od Szerokiej do Nadstawnej. Była to niewielka bóżnica, pozostająca pod administracją Gminy Żydowskiej i mówiło się o niej, że jest przeznaczona dla „modlących się w biegu”. Tu zawsze był minjan i każdy, kto szedł ulicą, a chciał się pomodlić, wiedział, że będzie tutaj dziesięciu Żydów gotowych do modlitwy. O minjan mówi się, że jest symbolem demokracji żydowskiej. Dziesięciu najmądrzejszych rabinów nie tworzy minjan, podobnie jak dziesięciu największych żydowskich profesorów, a dziesięciu prostszych, ledwie potrafiących czytać Żydów tworzy minjan.

Charakterystyczną dla Lublina cechą były również bóżnice przeznaczone dla stowarzyszeń zawodowych – tragarzy, kupców, krawców itd. Na przykład przy Szerokiej 40 była to synagoga Parnes.

Na Podzamczu mieściły się także chedery, do których posyłano chłopców z religijnych rodzin. Nauka w chederach była odpłatna, a płacono się w zależności od zamożności rodziny. Najbogatsi mogli sobie pozwolić na wynajmowanie płatnych melamedów, którzy przychodzili do domów. Przyjmowano ich bardzo elegancko. W piątki przed szabatem prywatny melamed egzaminował ucznia w obecności ojca.



Uroczystość otwarcia  
jesziwy przy ul. Lubar-  
towskiej w 1930 roku.  
Ze zbiorów ADM.

Dla najuboższych dzieci Gmina Żydowska prowadziła Talmud-Torę przy Jatecznej. Mieściła się ona z tyłu synagogi Maharszala. Chodziły tam dzieci z tych rodzin, których nie było stać na zapłatę w chederze. W Talmud-Torze, podobnie jak w chederach, uczono głównie przedmiotów religijnych, a ze świeckich wykładana była chyba tylko matematyka. W okresie międzywojennym znanym nauczycielem w tej szkole był Mojżesz Jisifower – Mojżesz z Józefowa. Był bardzo srogim melamedem. Nieposłusznych uczniów bił kańczugiem.

W prywatnych chederach melamedzi też byli bardzo surowi. Przy Szerokiej 12 funkcjonował cheder Icchaka Stoła. On także katował swoich uczniów. Na Zamkowej cheder prowadził Baruch Parech – Parchaty. Jego syn zginął później w walce z Anglikami w Palestynie.

Najwięcej chederów było w Lublinie przy ulicy Nadstawnej. W domu nr 20 było ich kilka. Dom był duży, dwupiętrowy, posiadał duże podwórko z dwiema studniami. Działające tam chedery znajdowały się na kolejnych piętrach, zgodnie z kolejnymi stopniami nauczania. Na parterze mieścił się cheder prowadzony przez derdyk melameda. Uczył on czytania i pisania, znajomości alfabetu hebrajskiego. Takimi melamedami byli ojciec i syn, Lejbusz i Eli Ganczerowie. Drugim stopniem było nauczanie Pięcioksięgu Mojżeszowego – Chumesz ve Raszi. Tego nauczał melamed Bencjon na I piętrze. Do jego chederu uczęszczał znany lubelski malarz Jehuda Razgour. Trzecim stopniem było studiowanie Gemary i Talmudu i to odbywało się na II piętrze, w chederze Hersze Reuwena. Potem już tak wykształcony chłopak mógł pójść na naukę do rabina, albo do jesziwy. Każda żydowska

Rabini na balkonie w je-  
sziwie przy Lubartow-  
skiej, 1930 r. Ze zbiorów  
ADM.



rodzina zawsze pragnęła mieć syna, a najlepiej kilku. Zawsze dbano o to, by przynajmniej jeden syn potrafił odmówić kadisz za zmarłych rodziców. Modlono się więc o syna.

Mełamedzi posiadali także pomocników, którzy nazywali się bahelfer. Od tego słowa powstało spolszczone belfer i bakalarz, czyli nauczyciel.

Najwyższym stopniem nauczania była jeshiwa, gdzie kształcono kandydatów na rabinów. W lubelskiej Jeszywas Chachmej Lublin kandydaci na studentów przy egzaminie wstępnym musieli znać na pamięć 200 stron Talmudu. Nauka odbywała się za pomocą wykładów, ale te musiały być następnie pogłębiane samodzielnie. Zalecane były samodzielne studia odbywane w parach studentów. Wynikało to z dwóch szkół Talmudu – Beth-Hilel i Beth-Shamay. Obydwie te szkoły zawsze prowadziły ze sobą walkę ideologiczną. Beth-Hilel pod-

wała rozwiązania nieskomplikowane, natomiast Beth-Shamay odwrotnie. Według Talmudu na padole ziemskim działamy zgodnie z Beth-Hilel, a w niebie zgodnie z Beth-Shamay.

Najbardziej uzdolnionym studentem w dziejach lubelskiej jeshiwy był Josef Bojm, zwany także Izbi-  
cerem, ponieważ pochodził z Izbicy. Już w wieku 22 lat był autorem dwóch ksiąg religijnych i sam rabin Szapira uważał, że Bojm jest najzdolniejszy. Wiecznie studiował i przy okazji był doskonałą partią dla córek religijnych bogaczy. Taki bogaty religijny Żyd przychodził do jeshiwy i tam szukał dla swojej córki religijnego i przy tym uczonego kandydata na męża. To był zaszczyt dla ojca posiadać tak wykształconego zięcia. Bogaty teść, zgodnie ze zwyczajem i umową, ofiarowywał zięciowi „esn kes”, czyli wliczone w posag utrzymanie. Zięć modlił się i studiował, a przez 10 lat – w zależności

od zamożności mógł to być dłuższy, albo krótszy okres – teść utrzymywał go wraz z żoną i dziećmi. Pracowała zazwyczaj żona. Ale dla takiego bogacza było też wielkim zaszczytem pójść w sobotę do bóżnicy z takim zięciem, by móc się nim pochwalić. Bojm trafił na teścia, który należał do chasydów z Radzyna.

Jedną z napisanych przez niego książek był traktat o Majmonidesie, zatytułowany *Beth Hamalchut*, a trzeba było być nie lada uczonym, by pisać o tym żydowskim filozofie.

Lublin był miastem mówiących po żydowsku. W Krakowie Żydzi mówili doskonałą polszczyzną, natomiast doskonałym językiem żydowskim posługiwali się Litwacy, Żydzi z Litwy. W Królestwie Polskim i w Galicji istniały już dialekty języka żydowskiego. Zaimek osobowy „ja” Litwacy wymawiali „ich”, po niemiecku, w Galicji mówiono już „ech”, w Warszawie „jach”, a w Lublinie „jeh”.

Wielka Synagoga znajdowała się w Lublinie przy ulicy Jatecznej. Była to Maharszalszul. Od strony góry zamkowej przylegała do niej Mała Synagoga – Maharamszul. Budynek synagogi Maharszala ukształtowany był zgodnie z biegiem ulicy Jatecznej. Przy jej skrócie ściana synagogi była zaokrąglona. Wchodziło się do środka przez przedsionek. Było to specyficzne miejsce, ponieważ jeszcze w XIX wieku, gdy jakiś Żyd został skazany przez bejt-din – sąd rabinacki za jakieś wykroczenie, w tym właśnie przedsionku odbywał karę. Nie wolno mu było wchodzić do synagogi.

Z boku tego przedsionka znajdowała się niewielka salka modlitewna dla codziennego minjan. Tu zbierali się Żydzi wtedy, gdy nie było konieczności organizowania dużych nabożeństw. Główne pomieszczenia synagogi otwierano dla modlących się na większe święta i w szabaty, gdy przychodzili tutaj wszyscy religijni Żydzi.

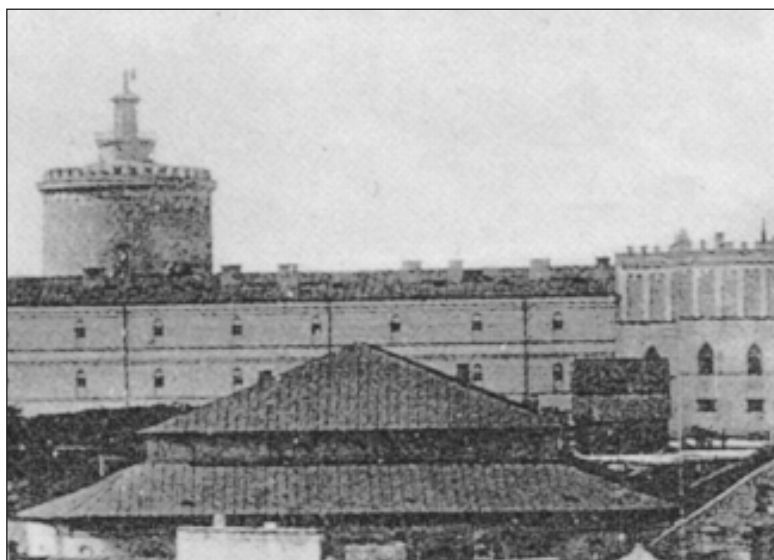
Synagoga Maharszala mogła pomieścić jednocześnie około trzech tysięcy wiernych, była ogromna. Miała wysokie sklepienia, podtrzymywane przez słupy przy bimie. Dla kobiet przeznaczone były parter przy ścianach północnej i południowej oraz pierwsze piętro przy północnej ścianie. Natomiast



Wschodnia Ściana – ojf di mizreh wand – to były miejsca dla zasłużonych i bogaczy.

W Maharamszul lubelscy Żydzi obchodzili święta państwowe i narodowe. Wtedy to uczniowie z żydowskich szkół szli odświętnie ubrani do synagogi. Z naszej szkoły podstawowej nr 28, która była żydowską szkołą dla chłopców, poczet sztandary prowadził Szulman, który niósł sztandar szkolny. Jego rodzice posiadali restaurację na rogu Ko-

Zdjęcie lotnicze:  
Na pierwszym planie budynek administracji więziennej, za zamkiem widoczny gmach Wielkiej Synagogi. Ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie.



Dach Wielkiej Synagogi. Fot. Semadeni.



Fragment Wielkiej Synagogi na Jatecznej.

ziej i Bernardyńskiej. W te wielkie święta do synagogi przychodzili także żydowscy żołnierze, którzy służyli w Lublinie w 8 pułku legionów. Do synagogi prowadził ich oficer, a przed Maharamszul żołnierze śpiewali chóralnie *Boże, coś Polskę*. Na wielkie święta rabin wygłaszał do wiernych odpowiednie przemówienie. Było też w lubelskim garnizonie kilku oficerów Żydów doskonale mówiących po polsku. Jednym z nich był kapitan Hertz, który był chlubą lubelskich Żydów. W każdą sobotę wraz z synami szedł do synagogi na Szeroką. Jeden z synów niósł jego tales i modlitewniki. Do dzisiaj któryś z nich mieszka w Izraelu.

Zazwyczaj w trakcie wielkich świąt lubelscy Żydzi zapraszali żydowskich żołnierzy do swoich domów na gościnę.

Przy Jatecznej znajdował się także Besmedresz, nazywany również Kuls Besmedresz lub Besmedresz de Kahal. Był to gminny dom nauki. Mieścił się on po przeciwnej stronie Maharszalszul. Budynek stał na zakręcie ulicy Jatecznej. Mój dziadek, który mieszkał naprzeciwko tego Besmedresz, wstawał bardzo wcześnie. Najpierw obmywał się rytualnie, ponieważ bez tego nie można było zrobić trzech kroków, następnie szedł do Besmedresz i studiował Talmud. Często miał tam też wykłady dla lubelskich Żydów. O dziewiątej godzinie rano wracał do domu i szedł do pracy.

Jak już wspominałem, uczęszczałem do szkoły podstawowej nr 28, która była przeznaczona dla żydowskich chłopców. Była to normalna szkoła podstawowa, tyle tylko, że nie uczyliśmy się w soboty i mieliśmy lekcje religii mojżeszowej. Lekcje odbywały się też w niedziele. Większość nauczycieli to byli Żydzi. Szkoła nie miała stałego lokalu. Jeden budynek mieścił się przy ulicy Zamojskiej 21. Za nim była ulica Wesoła i browar. Przy Zamojskiej odbywała się część zajęć, na inne trzeba było chodzić na Żmigród, na jeszcze inne, na przykład na doświadczenia z fizyki, aż na Czwartek, bo tam była pracownia fizyczna. Dyrektorem mojej szkoły był Elwer, zasymilowany Żyd z Galicji. Stamtąd pochodził również Kaj, który z wykształcenia był prawnikiem, a że w Galicji i w ogóle w Polsce było

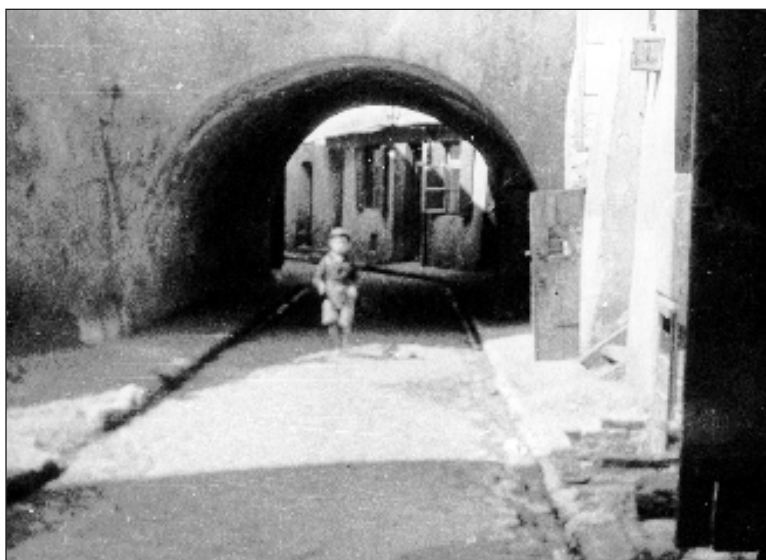
wielu żydowskich prawników, którzy nie mogli znaleźć pracy, więc w naszej szkole uczył gimnastyki. Dla uczniów był bardzo surowy. Matematyki uczył Hochgemajn, który w czasie wojny był członkiem Judenratu w lubelskim getcie. Moim wychowawcą był bardzo lubiany przez wszystkich Cwi Frakter, który uczył geografii, ale był lepszym działaczem syjonistycznym niż geografem. W 1915 roku zasłużył się tym, że w Lublinie organizował żydowską samoobronę. Po wojnie mieszkał w Izraelu. Były też dwie nauczycielki – Polki: pani Kochańska oraz pani Smereczanka, która pochodziła prawdopodobnie z Kresów. Dzięki nim wiele żydowskich dzieci, w domach których nie mówiło się po polsku, poznało bardzo dobrze ten język. Religii uczył nas bardzo mądry Izrael Isser Szper. Jego brat wraz z żoną prowadzili przez kilkanaście lat znane w Lublinie, mieszczące się przy Zamojskiej, Gimnazjum Szperów, które doprowadziło ich do ruiny majątkowej.

Ulica Szeroka, przy której mieszkałem, uchodziła jeszcze za ulicę zamożniejszą, przynajmniej w skali Podzamcza. Oczywiście różne były domy i różni ludzie w nich mieszkali – bogatsi i biedni. Zamożniejsze były np. domy przy Szerokiej 43 i 45. Te kamienice były bardziej eleganckie i lepiej utrzymane, ponieważ zamożniejsi lokatorzy, którzy w nich mieszkali, regularnie płacili czynsz. Inne domy przy Szerokiej były bardziej zaniedbane. Przede wszystkim nie miały kanalizacji. W żadnym domu nie było ubikacji w mieszkaniach. Mieściły się one na podwórkach i były wspólne dla wszystkich lokatorów. Nawet w polskich dzielnicach często nie było nowoczesnych ubikacji. W naszej szkole przy Zamojskiej była tzw. ubikacja arabska – kucalo się w niej nad otworem kloacznym.

Przy Szerokiej, od nieparzystych domów było wejście na ulicę Zamkową. Do Zamkowej można było przejść również nad Zastraną Bramą, która oddzielała Szeroką od Krawieckiej, Podwala i ulicy Podzamcze. Za Zastraną Bramą mieszkała już tylko biedota. Ulice Kowalska i Cyrulicza były bardziej kupieckie. Przy Furmańskiej mieściła się sprzedaż drobiu. Zamożną ulicą była Lubartowska. Znany



Ulica Szeroka 12 z 1936 roku. Fot. Stefan Kielsznia.



Brama Zastrana przy ulicy Podzamcze prowadząca w kierunku Szerokiej. Nad bramą przechodziła ulica Zamkowa. Fot. Stefan Kielsznia.





Odbudowa miasta w miejscu, gdzie przechodziła już dziś nieistniejąca ulica Szeroka. Zdjęcie z lat pięćdziesiątych. Ze zbiorów MHML.

był tam dom nr 15, stanowiący własność Kopela Wurmana. Od frontu w kamienicy tej mieszkały same zamożne rodziny.

Od Lubartowskiej, wzdłuż Czechówki, do Nadstawnej rozciągał się Targ Żydowski. Stały tam budki handlowe, które zamykano na noc. W pierwszym rzędzie budek handlowano rybami. Wzdłuż samej Czechówki do Nadstawnej ciągnął się rząd jatek z mięsem. Było tam ogółem pięćdziesiąt jatek, z czego w 45 handlowano tylko mięsem koszernym, a w pozostałych pięciu niekoszernym. Z tych pię-

ciu jedna należała do Żyda o nazwisku Biderman. Był to ewenement, żeby Żyd handlował niekoszernym mięsem. Potem Bidermana oskarżono o rozprowadzanie fałszywych pieniędzy. Pozostałe niekoszerne jatki stanowiły własność Polaków. Narożny dom na Targowej należał do Brajtenbrotów. Mieściła się w nim restauracja.

Niewielki rynek żydowski istniał także na placu przy zejściu na Szeroką i Kowalską, zaraz za Bramą Grodzką. Prowadzono tam dorywczy handel na rozwidleniu ulic. Między innymi sprzedawano spe-

cyficzny tylko dla Lublina przysmak – bubelach. Były to babki gryczane, pieczone w specjalnych naczyniach, które jedzono na ciepło z masłem. Wypiekano je przy Grodzkiej, dwa domy przed Bramą Grodzką. Na placyku tym sprzedawano także obwarzanki.

Niedaleko, róg Zamkowej i Krawieckiej, mieściła się także tania restauracja żydowska, należąca prawdopodobnie do Bessa. Stołowali się tutaj głównie lubelscy artyści, którzy często nie mieli pieniędzy na droższe lokale. W tej restauracji, gdzie kwi-

tło życie towarzyskie artystów, jedzenie można było dostać na kredyt. Był to zazwyczaj jakiś śledzik, zupa, pełne posiłki, smaczne i niedrogie.

Droga żydowska restauracja mieściła się przy Lubartowskiej 15. Należała do Dornfelda i przechodzili do niej ludzie zamożni, prowadzący interesy. Tutaj opijano zawieranie transakcji. Przy Cyruliczej natomiast tanią jadalnię, taką niewielką restauracyjkę, miał Westler. Była ona tańsza niż u Dornfelda.

Spisał i opracował: *Robert Kuwałek*